

Nicole Avril

Ja, Dora Maar

Wyprzedziłam falę
I już mogę swobodnie zmierzać
W stronę duchowego lata
Pojmuję
tajemnicę istnienia
tę tajemnicę dla mnie samej tajemną
DORA MAAR

I

Byłam fotografikiem, gdy dostrzegłam go na premierze filmu Zbrodnia pana Lange. Jakże nie zauważyć tego spojrzenia? Przeróżające oczy. Mroczne i przepastne. Przy wyjściu Jean Renoir chwycił go pod ramię, szepnął mu coś, konfidencjonalnie wywołując na jego twarzy uśmiech, a zarazem sprowadzając mars. Pod kosmykiem włosów rozbłysło ciemne spojrzenie. Dziecięca przekora.

Wydawało mi się, że wiem o nim wszystko. Znam jego słowa, jego szaleństwa, jego dzieła, jego triumfy i to, co można było uznać za jego klęski. Otaczającą go legendę małego wielkiego człowieka krzewili nawet ci, którzy go nienawidzili. Nie wiedziałam, że razem zobaczymy, jak pęka stulecie, ale czułam, że jego spojrzenia nie zapomnę nigdy.

Trzy miesiące później wkroczył do kawiarni Deux - Magots. Lewa ręka, w której ścisnęłam nóż, zamarła w pół ruchu. Wbiłam w Picassa spojrzenie. Pchnął obrotowe drzwi. Nie mógł się już cofnąć. Miałam go. Wszystko potoczyło się samo i nie musiałam się starać.

Powróciłam do mojej zabawy z nożem. To był scyzoryk, który ojciec kupił mi w Buenos Aires, gdy miałam chyba osiem lat. Mama była wściekła. Boże, przecież czegoś takiego nie daje się dziecku, a zwłaszcza dziewczynce! Dziewczynce, zapomniałaś? Nie daje się ostrych narzędzi. A pod żadnym już pozorem nie wolno dawać takich prezentów jak nóż, nieszczęście gotowe. Ojciec tylko pogorszył swoje położenie, bo powiedział, że dziewczyna powinna umieć się obronić. Mama z politowaniem wzruszyła ramionami i pogrzyżyła się w dąsach, które - jak zwykle - miały potrwać całą dobę.

Scyzoryk zachowałam i do dziś noszę w kieszeni. Być może nigdy bym go nie użyła, gdyby w burdelu, do którego umyślił sobie zaprowadzić mnie Georges Bataille, pewna Cyganka nie pokazała mi, jak można się nim pobawić.

Nazywała się Mirna i oczekując na klienta, oddawała się swojej sztuczce. Siedząc w szkolnej ławce trzymała w prawej ręce niewielki nóż, który w coraz szybszym tempie wbijała pomiędzy rozstawione palce lewej ręki. Przestań, Mirna!, krzyknął Georges. Chodź, nauczę cię, powiedziała, mężczyźni nie mają o tym pojęcia. Nie wyglądała na zdziwioną, widząc, jak wyjmuję z kieszeni mój argentyński scyzoryk. Włóż rękawiczkę, masz za ładne ręce, żeby je kaleczyć i wsłuchuj się uważnie w odgłos uderzeń, tym się kieruj, jak stukotem obcasów w tańcu.

Georges nie mógł znieść tych odgłosów. Gdy przestałyśmy, odetchnął z ulgą. Miałem wrażenie, rzucił, że zaraz zapalą się moje książki, że ogień w błyskawicznym tempie będzie je ogarniał po kolei. Cytował tytuły, autorów. Przywoływał swoją bibliotekę, swoje studia, swoją pracę. Po raz pierwszy słyszałam, jak mówi o swoim codziennym życiu. Bo jak na razie nocami wciągał mnie w swoją rozpustę, starannie zacierając po sobie ślady.

Klinga kaleczyła stół w Deux - Magots. Lewą ręką maluję, pieczę, otwieram drzwi. Lewa ręka trzymała nóż, podczas gdy prawa, spowita w czarnej siateczce wystawiała na zranienia rozcapierzone palce. Nie chciałam sprawdzać, czy mały wielki człowiek na mnie patrzy. By przyciągnąć jego wzrok, gotowa byłam odciąć czubkiem scyzoryka kawałek palca. Jego głos - jeszcze zanim podniosłam głowę, wiedziałam, że to jego głos - przerwał mi zabawę.

- Kim pani jest?

Co za szczęście, małemu wielkiemu człowiekowi towarzyszył znany mi już Paul Eluard. Prezentacje. Przytaknięcia. Podchody i pojedynki. Na jego hiszpański, którym mówił od urodzenia, odpowiedziałam hiszpańskim, który znałam z dzieciństwa. Chcąc mi za to podziękować, Pablo Ruiz Picasso postanowił spojrzeć mi głęboko w oczy.

- Mój dziadek produkował w Maladze rękawiczki - powiedział.

Ściągnął siateczkę z mojej prawej ręki.

- Wariatka, żeby tak się znęcać nad taką piękną dłonią, pani zwariowała!

- Proszę więcej tak nie mówić!

- A co powiedziałem?

- Że jestem wariatka.

- Tak się tylko mówi.

- Ale mnie się nie podoba.

- Obiecuję, że odkryję coś, co się pani spodoba, tak jak wpadłem na to, co się nie podoba. Jedno zawsze idzie z drugim w parze. Jak światło i cień. Radość i cierpienie. Jestem Hiszpanem.

- Rozumiem.

- A panią, panią widzę w czerwieni i czerni.

Był czas, gdy nie cierpiałam z powodu samotności. Ciągnął się długo po naszym rozstaniu. Czy żyjemy osobno? Słowa Jana od Krzyża podpowiadały mi, że więź nie została zerwana:

Ale gdzie się ukryłeś zostawiając mnie w jękach wprzód
mnie zraniwszy umknąłeś jak jelen biegłam wołając a ty
odszedłeś.

Pablo Picasso i Paul Eluard zasiedli przy sąsiednim stoliku w głębi sali kawiarni Deux - Magots. W powietrzu pełno dymu, jak na dworcu liońskim w chwili rozruchu wszystkich parowozów. Picasso obok mnie na kanapie. Nasze ramiona w końcu się zetknęły. Zsunął rękawiczkę z mojej prawej ręki. Czarna siateczka cętkowana małymi różyczkami. Bałam się, żeby obok różyczek nie zauważył ciemniejszych śladów mojej krwi. Wyschniętego granatu dawnych ran spowodowanych moją niezręcznością i całkiem świeżego rubinu skaleczeń doznanych przed kilkoma minutami, tuż przed przyjściem

małego wielkiego człowieka. Nic nie umknęło jego spojrzeniu. Palcem śledził plamy mojej krwi na rękawicze i ręce. Badał podobieństwo śladów. Spójrz, Paul. Spójrz. Czy widziałeś coś podobnego?

Paul trzymał się nieco na uboczu, z uśmiechem zakłopotania na twarzy, smakosz. Później przyzna się, że chciał odejść, żeby zostawić nas samych. W tej hałaśliwej piwiarni, gdzie wszyscy się znali, samotność była czymś iluzorycznym i Picasso nieprzerwanie wciągał swego przyjaciela w rozmowę. Musiał czuć jego aprobatę, by wykazać swoją przewagę. Tego dnia Paul wystąpił w roli antycznego chóru i dlatego występ jego przyjaciela wypadł jeszcze lepiej. Wszystko szło za szybko. Oboje, bez hamulców, rzuciliśmy się na siebie. Topór na skraju zranienia.

Czy Paul przypomniał sobie swoje spotkanie z Nush, swoją uroczą Nush, swoją kuglarzkę? Majowy wieczór 1930. Już sześć lat. Na chodniku przed Galeries Lafayette przechadzał się w towarzystwie Louisa Aragona i Rene Chara. Trzej kumple budzili przerażenie w ślicznej małej statystce z Grand - Guignol. Potrzebowała czasu, żeby się oswoić, podczas gdy my oboje, siedząc tam na kanapie w Deux - Magots, z miejsca pożeraliśmy się nawzajem niczym para głodomorów. Stolik ścieli drogę pożądania. Wierzę w pierwszą chwilę, w pierwszą kreskę, w pierwszą nutę. Początek. Niech się stanie światłość.

Mało, że ściągnął rękawiczkę, to jeszcze ją zabrał. Zatrzymam ją, powtarzał. Zatrzymam ją na zawsze. Do kolekcji? - spytałam. Paul roześmiał się, próbując zachować kontenans wobec naszych wybryków:

- Kolekcji? - powtórzył. - Chyba składowiska!

- Mylisz się, Paul, znam miejsce każdej rzeczy. Zwłaszcza gdy jest bliska mojemu sercu.

Twierdził, że nigdy nie widział równie pięknej dłoni tak zmaltretowanej. Pod pretekstem troski o nią ujął ją i już nie chciał wypuścić. Pozwoliłam mu, zbyt szczęśliwa, że mogę moją poranioną dłoń z wypiełgnowanymi paznokciami pozostawić w najbardziej twórczej dłoni na świecie. Przez jego dłoń przechodziły ludzkie marzenia i koszmary. Dłoń, która pracowała. Niech mnie urabia.

Kochałam jego oczy. Kochałam czarny kosmyk, w którym połyskiwały srebrne nitki. Kochałam ruch warg, szybki, drwiący, błagalny, przebiegły, niekiedy czuły, tą dziecięcą czułością przechodzącą w błysk okrucieństwa, usta zdolne połknąć głowę. Jego głos śpiewny, głuchy i radosny, donośny i zabarwiony rozpaczą. Nieuchwytny. Przechodzący od emocji do emocji, z francuskiego na hiszpański, w najniższych rejestrach pobrzmiewający kobiecymi akcentami. I ten oddech, nigdy niewysilony, nawet w chwilach najgorszego gniewu, ten oddech, czerpiący siłę z niespożytych zasobów. Później, gdy obserwowałam go przy pracy, miałam wrażenie, że u niego wszystko pochodzi z tego twórczego tchnienia, zamkniętego w zasobach jego klaty, klaty małego andaluzyjskiego byka. Owo tchnienie, pierwotne jak w Księdze Rodzaju, ożywiało jego ręce, jego oczy i pędzle.

Zimą w latach wojny, gdy cierpieliśmy taki chłód w wilgotnych pokojach przy rue des Grands - Augustins, widywałam go przy pracy w szortach i koszulce, gdy powtarzał jako oczywistość: „Hiszpanowi nigdy nie jest zimno!”. Hiszpanowi, nie wiem, ale geniuszowi, na pewno. Mam na myśli Victora Hugo, który zimą pisał przy otwartych oknach pokrytych szronem i jeszcze się skarżył, że się poci. Tajemnica twórczości i wymiany termicznej.

Nigdy nie nazywałam go Pablo. Tak naprawdę w ogóle go nie nazywałam. Gdy musiałam nazwać go przy innych, był Picassem. Czymś bezwstydnym wydawałoby mi się

nadawanie mu imienia innego niż ów matronim, który sobie przypisał w nagłym olśnieniu swoich dziewiętnastu lat. Yo, Picasso. Ja, Picasso.

Zapytał mnie, gdzie nauczyłam się jego ojczystego języka. Powiedziałam mu kilka słów o Argentynie. Mój ojciec był jednym z tych przybyłych z Europy architektów, którzy budowali Buenos Aires. Tam spędziłam dzieciństwo i wczesną młodość. Dziwił się, że pochodzę z innego kontynentu, mało tego - z innej półkuli. Dziwne, powtarzał, bardzo dziwne! Proszę opowiadać, proszę opowiadać, zachęcał, potrząsając bezceremonialnie moim ramieniem, żeby mnie skłonić do dalszego opowiadania.

- Uwielbiam historie. Proszę mi opowiedzieć o panu Maar. Roześmiałam się. „Widzisz, Paul, ona kpi sobie ze mnie. Uważa pani, że jestem śmieszny?”.

- Nie z pana się śmieję! - A z czego?

- Z pana Maar!

- Pani ojciec jest zabawny?

- Nie zawsze. Z tym, że nie nazywa się Maar. Maar to ja, Dora Maar.

- Namieszala mi pani! Pani jest Maar, a pani ojciec nie! On pani nie uznał, czy też pani go nie uznaje?

- Z domu jestem Theodora Marković. Z tego zrobiłam Dora Maar.

- Brawo, piękna robota! Najpiękniejsze nazwisko, jakie znam. Theodora też mi się podoba. Ale Dora Maar - płynie, toczy się, sunie, pieści, błyska!

Wstał i ku mojemu ogromnemu zawstydzeniu, ale też wielkiej radości, zaczął recytować moje nazwisko przed ludźmi - którzy najpierw osłupieli, potem szyderczo się skrzywili, by wreszcie wybuchnąć entuzjazmem - do tego stopnia, że niczym chór podjęli ten refren. Jednym

zmarszczeniem brwi, jednym gestem dłoni uciszył zgiełk i z powrotem usiadł. Król zamilkł.

Kiedy mnie kochał... tak, kochaliśmy się. Jeśli miłość istnieje, to kochaliśmy się. A jeśli nawet miłość jest złudzeniem, nie przeszkadza to mistykom odwoływać się do niej, by tym skuteczniej zwrócić się w stronę miłości Boga. Mały Janie od Krzyża i wielka Tereso z Avila, czyż nie opowiadacie nam historii miłosnych? Umierać, że umrzeć nie mogą. Que muero porque no muero.

Wtedy, gdy mnie kochał, uwielbiał wymawiać moje imię, to, które sobie nadałam, uwielbiał je zapisywać. Dedykował mi moje portrety, które namalował w roku 36 i 37, gdy nasza namiętność przybierała na sile, a mnie odrastały włosy. Dla Dory, 11 września XXXVI. Mougins. Miałam króciutkie rozczochrane włosy. Targa je ręką, palce lekko rozsunięte, jakby bawił się ze swoim psem. Mówi, że wyglądam jak chłopak i że narysował mnie niebieskim atramentem, tak jak mnie widzi. Przypominam młodego Rimbauda. Dzisiaj oglądam ten obraz. Wiem, że został namalowany przez człowieka zakochanego. I byłam taka młoda? Boże, czy to możliwe? Taka młoda, taka piękna i taka kochana? Dziękuję, panie Picasso.

Bawił się moim imieniem i niekiedy dodawał do niego A. Dla symetrii, mawiał - on, który nieustannie symetrię rozrywał. Nazywał mnie Adora. Jego Adora, Adora adorowana, czyli po prostu Adora - w dedykacjach eleganckim i omal uczonym pismem.

Gdy krzyczałam w jego ramionach, jak nie krzyczałam nigdy i krzyżeć nigdy nie będę, i gdy szeptałam tuż przy jego pysku Minotaura słowa, o których sile i namiętności już zapomniałam, nazywał mnie Conchitą. Przywracał mi życie, to samo życie, z którego okradziona została mała Conchita,

jego uwielbiana siostra, zmarła na błonicę w La Corogne.
Conception Ruiz nazywana Conchita.

Żyję w sobie nie żyjąc
i tak silne jest moje pragnienie
że umieram, że umrzeć nie mogę.

Od pierwszego spojrzenia wiedzieliśmy, że zostaniemy kochankami. Była w nas taka niecierpliwość, że zwłoka, jaką sobie narzuciliśmy, tylko pogłębiała rozkosz. Oczywistość tego faktu utrzymywała mnie tygodniami w stanie takiej ekscytacji, że nie było już we mnie miejsca na niepokój i niezdecydowanie. Przepęłniała mnie radość. Ten mężczyzna istniał i spotkałam go. Cokolwiek miało się zdarzyć, nie do niego ani nie do mnie należało przecięcie nici tego, co nas definitywnie połączyło. Mało tego, nie próbowałam nawet dowiadywać się, czy miał inne związki, mocniejsze czy starsze, które mogłyby zagmatwać nasz. Czułam taką niewinność, że jego reputacja Sinobrodego nie przerażała mnie bardziej niż jego sława jako geniusza. Jedno i drugie miało swoje dobre strony, bo gdziekolwiek poszłam, wszędzie o nim słyszałam. Ludzie z trudem powstrzymywali się od przypominania jego skandali i bezceństw, i wystarczyło pytanie, uwaga, by z miejsca rozpuszczali języki i przelicytowywali się w anegdotach. Im bardziej lekceważono jego postęпки i gesty, tym więcej krążyło wymysłów na ich temat. Muzyka jego legendy mnie upajała, a dysonanse wręcz oszalały. Wszystko wirowało. I czułam, że znajduję się w samym centrum, zespolona, zwarta, twarda. Już nic nie mogło mnie zranić. Byłam skupiona. Gęstniałam.

To było na przedmieściu Buenos Aires. A może w małej wiosce na prowincji. W każdym razie akcja nie rozgrywała się tam, gdzie zwykle mieszkaliśmy. Miałam pewnie cztery czy pięć lat. Widzę siebie, jak idę pomiędzy matką i ojcem, córunka jedyna pomiędzy swoimi opiekunami. Ulica ciągnąca

się bez końca wzdłuż jakichś chyba magazynów. Monotonia i długość cieni uwypuklały perspektywę jak na obrazach Chirico. W pewnym momencie córka wysforowała się naprzód, chcąc jak najszybciej zakończyć spacer, który wydawał jej się zupełnie pozbawiony uroku. Upojona tym, że jest przed nimi, nie zauważyła, że za nią rozsypał się trójkąt rodzinny, zapisany, jak wierzyła, na wieki. Szła. Nadal mówiła do ojca i matki. Na próżno czekała na odpowiedź. Gdy się odwróciła, ujrzała już tylko magazyny w odwrotnej perspektywie. Ojciec i matka zniknęli. Nigdy nie istnieli. Była sama. Sama jedna.

Zapomniałam o zawrocie głowy, o lęku, o pustce. Zapomniałam, jak długo tkwiłam nieruchomo, nogami wbite w ziemię, nie ośmielając się poruszyć i wypowiedzieć słowa. Nawet zanim poczułam się porzucona, wiedziałam, że już nic nie będzie takie jak przedtem. Chyba nawet nie krzyczałam. Chyba nawet nie byłam zaniepokojona. Osłupiała, oniemiała na środku chodnika patrzyłam, jak od moich nóg spływa długi czarny cień małej dziewczynki osamotnionej na zawsze.

Mocą jakiej sztuczki dwie nieobecne istoty powróciły do życia? Śmiały się ze swojego dobrego kawału. A kuku, to my! Niesamowite, co? To tylko na niby. Bagatela, mówią, żeby pokazać, że także pozostali dziećmi. No już, nie dąsaj się tak! Nie do twarzy ci z grymasami. Cały czas byliśmy, tylko schowaliśmy się za tym murkiem. Ale naprawdę ani na chwilę na straciliśmy cię z oczu. Przypomnij sobie Tomcia Palucha, dzięki kamykom zawsze odnajdywał drogę.

Ponieważ kolejny raz sprawiali wrażenie, że dobrze się rozumieją, więc nie zamierzałam psuć im zabawy. Objęliśmy się i dalej ruszyliśmy na spacer, aż do zmierzchu. Moja prawa ręka w dłoni mojego ojca, lewa w dłoni matki.

II

Zawsze byłam podglądaczką. I to podglądaczką perwersyjną. Nie zadowalałam się tym, co widzę. Zawsze musiałam się w to włączać. Uwielbiam dodawać coś do tego, co uważam za rzeczywistość. Moja córka, oczko w głowie, mawiał pan Markowicz ojciec. Podarował mi pierwszy aparat fotograficzny. Dzięki niemu zostałam portrecistką przyjaciółek z klasy. Obserwowanie ich przez obiektyw sprawiało mi ogromną przyjemność. Gdyby nie oddzielający nas przedmiot, nie ośmieliłabym się tak natarczywie obserwować ich twarzy. Ale nie przestawałam, jak te dzieciaki, które bez skrępowania obserwują chropowatości skóry, włos wychodzący z nosa albo krostę, która robi się czerwona, jak się ją za bardzo drapie. Wykorzystywałam swój aparat i schowana za nim z jednakim entuzjazmem tropiłam piękno i brzydotę.

W pracy nie improwizowałam. Do portretu zawsze musiałam wprowadzić jakiś osobliwy element. Stroiłam przyjaciółkę w dziwaczny kapelusz, innej podkreślałam pieprzyk za pomocą pałeczki antracytu. Kiermasze oferowały kotyliony i jarmarczne zdjęcia. Wkładało się głowę przez dziurę i zostawało się lotnikiem, markizą lub murzynkiem. Rzadko mnie widać na tych zdjęciach, ponieważ jestem fotografem. Zamiast odczuwać tę nieobecność jako brak, czerpię z niej pewność, niewyraźną, iż świat należy do tego, kto nań patrzy. I jeśli godzę się oddać komuś mój aparat, by mnie sfotografował, ustawiam się w ostatnim momencie, dopiero gdy sprawdzę wszystkie szczegóły. Przygotowując ustawienie czy naciskając na wyzwalacz, posługuję się wyłącznie lewą ręką, a do całej reszty muszę używać prawej.

Nieśmiała i skrepowana, jeśli chodzi o prawą rękę, z lewą się rozzuchwalam. Jest moją wolnością i tej wolności nie waham się czcić z pewną emfazą. Zachowałam ten foto -

autoportret z końca lat dwudziestych. Córeczka mieszka teraz w Paryżu ze swoją rodziną. Ma dwadzieścia kilka lat. Uczęszcza na kurs sztuki dekoratorskiej i do szkoły fotografii. Nie dla niej Les Beaux - Arts, która nie uznaje płci żeńskiej. Jej autoportret ukazuje ją z profilu, w zestawieniu z bliźniaczą głową śmierci. Uśmiecha się czule do swego sobowtóra. Na odwrocie zdjęcia pismem uczennicy: To jesteś ty, moja kochana! Pod tym wyznaniem podpis ze skróconym już imieniem, ale nazwisko jeszcze oryginalne: Dora Markowic. Nie mylicie się, to jeszcze nie ostateczne śluby: Muero porque no muero. Umieram, że umrzeć nie mogę. Tylko przechwałka.

Moje lewa ręka jest zastrzeżona dla tego, co kocham. Picassa nazwę kochankiem mojej lewej ręki. Po nim przestałam fotografować. Miałam przywilej utrwalenia na papierze Guerniki w różnych stadiach jej powstawania. Zdjęcia, które nie mogą się równać z niczym, bo z niczym nie może się równać dzieło, które je zrodziło. Po nim moje aparaty przestały być przedłużeniem mnie samej. Po co ciągnąć, gdy pragnienia nas opuszczają? Po co dążyć do wyostrenia obrazu, do jeszcze wierniejszego utrwalenia wspomnienia, jeszcze zachłanniej wyciągać ramiona, by ogarnąć życie? Gdy go już nie było, moje własne kończyny zaczęły mi ciążyć. Pamiętam te przebudzenia w środku nocy, gdy wślizgiwałam się do łóżka i zagrzebywałam się między prześcieradła i materace, na próżno szukając swoich nóg i ramion. Wszystkie nienależące już do mnie kawałki mnie samej leżały wokół porozrzucane.

Lato 1936 roku. To lato w Mougins było latem mojego życia. Były inne, gdy byliśmy zakochani, lecz to miało niepowtarzalny blask, siłę, smak. Na to szczęście czekałam dwadzieścia dziewięć lat. I teraz mnie spotkało. Czy to mało jak na jedno życie? Nikt nie był tak nienasycony jak ja. Wykończyłabyś wodospady Niagary, mawiała moja matka.

Od dawna czekałam na coś tak niezwykłego jak to lato. Nadeszło i przytrzymało nas bez pamięci w objęciach płodnej terażniejszości. Nie mieliśmy przeszłości i żadnej przyszłości. W jednej chwili wyczerpaliśmy z siebie całą swoją treść. Żadnego cienia pod słońcem stojącym w zenicie. Upadki gładkie i gwałtowne.

Jakże tu mówić, że nie było żadnego cienia, podczas gdy chodzi o rok 1936? Wojna już wylądowała w Hiszpanii. W Niemczech zamieszkała groza. W Saint - Tropez jeszcze nikt nie narzeka na tłumy wczasowiczów, lecz okazuje się, że prawie cały Montparnasse schodzi się na spotkania w porcie. Wojna, groza, tłum? Tego lata świata poza sobą nie widzimy. Stan łaski. Trzeźwe zaślepienie. Zaślepienie w jasnowidzeniu.

Picasso wychodził z trudnego okresu. Najgorszego w swoim życiu, powtarzał. Prawie sześć miesięcy spędził, nie biorąc pędzla do ręki. To nie zdarzało mu się nigdy.

- Niedługo skończę pięćdziesiąt pięć lat.

- I co?

- Pięćdziesiąt pięć, Dora! Pani może sobie gwizdać, jest pani taka młoda! Niech pani nie mówi, ile pani ma lat, nie chcę wiedzieć Umarłbym ze wstydu. Po spotkaniu w Deux - Magots chciałem przed panią uciec. Była pani zbyt wielka, zbyt piękna, zbyt wolna. Wiedziałem, kim są pani przyjaciele i nie lubiłem ich, oczywiście z wyjątkiem Paula. To wielki czarodziej miłości i miałem wrażenie, że rzucił na nas urok. Czy pani wie, że chciałem przed panią uciec?

- Byłam pewna, że pan przyjdzie. Czekałam na pana.

Faktycznie, przyjąłem zaproszenie Nush i Paula Eluarda do tej willi Salins w Saint - Tropez, której użyczyła nam nasza przyjaciółka Lise Deharme. Picasso miał być bliźniutko, w Mougins. Gdyby nie przyszedł na spotkanie ze mną, znalazłby mnie nieuchronnie w pobliżu Nush i Paula, bez których nie umiał się obejść. Koniec końców przyszedł i wcale nie

ukrywał, że z mojego powodu. Spacerowaliśmy po plaży, Nush i Paul siedzieli w cieniu skały. Dalej - my we dwoje. Wziął mnie za rękę. Przyszedłem po panią, powiedział. Brutalnie pociągnął mnie za ramię. Niech się pani nie odwraca, to z Biblii. Nie odwracaliśmy się. Doszliśmy do Mougins. I wejdzie pani do mnie, żeby już nigdy nie wyjść. Czy powie pani tak bez odwracania się?

Musiałam powiedzieć, że się zgadzam, mimo że byłam boso, a mój trykot ledwie przykryty był ręcznikiem, którego rąbek włókł się po piasku.

- A Paul? A Nush?

- Pod żadnym pozorem niech się pani nie odwraca, nie wolno. Już zrozumieli. Chętnie do nas dołączą. Daję im czterdzieści osiem godzin na przyście. Z radością ich przyjmujemy. Niech się pani nie odwraca. Lubię ich. Rozumieją wszystko i nie trzeba im nic wyjaśniać.

Georges Bataille, grupa Contre - Attaque, do której należałam, głupstwa! Powiedział, że to wszystko mi zaszkodziło. Ale Breton założył Contre - Attaque razem z Bataillem, a Breton podziwia pana bardziej niż ktokolwiek. Na dodatek dołączył do nas Paul, Paul Eluard, pański Paul, do Contre - Attaque, a bez Paula nigdy nie stalibyśmy się znani.

- Jest jeszcze szansa, że wejdzie pani z tego bez szwanku. Uważa pani, że Georges Bataille to towarzystwo akurat dla panienki przybyłej z rodzinką z Argentyny?

- Nie urodziłam się w Argentynie.

- Ale tak właśnie pani powiedziała w Deux - Magots, jestem pewien.

- Nie, urodziłam się w Paryżu przy ulicy d'Assas. Miałam trzy lata, gdy moja rodzina wyjechała do Buenos Aires.

Mój ojciec budował w Argentynie różne gmachy. Przypominam sobie zwłaszcza ambasadę Austro - Węgier, ponieważ przyniosła mu odznaczenie od Franciszka Józefa.

Order z dwugłowym orłem miał przyjechać z Wiednia - Wiedeń, Schubertgasse 26 - i statek się spóźnił. Ambasador po raz pierwszy musiał odwołać uroczystość. Gdy w końcu odkryłam skrzydlatego ptaka na piersi Josepha Markovića, mojego ojca, Chorwata z pochodzenia i ex - poddanego cesarza, w Europie wybuchła wojna i rozerwała podwójną szyję orła.

Minotaur kochał wyłącznie bardzo młode mieszczańki. Dobre wychowanie - obowiązkowo. Dziewictwo - pożądane. Preferowane włosy ciemne, w miarę możliwości długie i upięte z tyłu na modłę hiszpańską. A dlaczego nie mantyla? Zatrzymał się, nagły mars na jego ogromnej mrocznej twarzy, kwarcowy błysk pomiędzy powiekami. Ręką zmierzwił mi włosy, krótsze niż jego. Ależ świetnie, mantyla. Zrobię ci portret z mantylą, gdy zapuścisz włosy, jak Hiszpanka. Nie wzbraniałam się. Po raz pierwszy wysnęło mu się „ty”.

Hotel w Mougins nosił piękną nazwę - Vaste - Horizon - rozległy horyzont. Weszłam tam boso. „Chciałbym panią przenieść przez próg. Zdaje się, że w Ameryce tak się robi. Ale ja nie jestem Amerykaninem, a pani jest za duża!” - powiedział. Taras ocieniony matami. Ogród: pokój, w którym nie zamknąłeś mnie pomimo twoich gróźb czy obietnic.

Fotografowałam, w sąsiednim pokoju służącym ci za pracownię słów, które wylewały się z ciebie jednym potokiem bez znaków przestankowych: „...13 sierpnia 1936 roku to popołudnie, które rozplątuje labirynt tego rysunku wytańczonego przez tarantulę, co w oku byka wystawia ryjek i chrzęści u spodu pancerza, skrywając się za zasłonami z jedwabiu i miodu przed kulą, która przeszywa godzinę zawieszoną na linie przywiązanej do wynędzniałego balkonu...”.

Nasz śmiech. Po długim czasie powiesz, że z nikim nie uśmiełeś się tak jak ze mną. Z nikim. Kobieta płacząca? Nie

znam. Kobieta, która płacze? To dopiero później. Stanę się kobietą, która płacze, bo stanę się dla ciebie Kobieta. Cała ziemia przygotowuje się na płacz, a ty chcesz, by zapłakała moimi oczami, oczami Kobiety. To nieprawda, że zdławiłeś mój śmiech. Tamtego lata nie cierpiałam. Nie przygotowywałam się na cierpienie.

W następnych dniach kolejno przyjeżdżali przyjaciele. Ledwie Marcel, kierowca Picassa, znalazł czas, by odebrać moje bagaże od Lisy Deharme, a już rozeszła się wieść o moim uprowadzeniu. Czyżby Zeus postanowił związać się ze zwykłą śmiertelniczką? Wieść wywołała wielką wrzawę, choć tupotu nóg jeszcze nie było słychać.

Jednak ciekawscy nie osaczali nas w naszym ustroniu w Vaste - Horizon. Picasso, kochany czy niecierpiany, narzucał podwójnym błyskiem swojego spojrzenia i swojej sławy dystans, który mogli przekroczyć wyłącznie jego przyjaciele, pewni, że ich uściska, zadba o nich i zapyta o radę. Istniały reguły. Zachować ciszę, gdy mistrz tworzył i gdy kochał. Wpaść, by trącić się kieliszkiem, pośpiewać, pogadać, bez końca gadać... Rola przyjaciela Picassa wymagała talentu. Ci z Mougins tego lata należeli do wyjątkowych. Niektórzy meldowali się w Vaste - Horizon, inni w odległości zaledwie stu metrów od hotelu. Nush i Paul, oczywiście - staną się bywalcami Vaste - Horizon. Ale także Roland Penrose, angielski pisarz i kolekcjoner. Powróci za rok ze wspaniałą Lee Miller, z której uczyni swoją małżonkę. Latem 36 zadowoli się odkupieniem od Eluarda części jego kolekcji i zmienianiem Marcela w roli kierowcy.

Gdy Picasso dochodził do wniosku, że hispano-suiza jest za duży, wsiadał do forda Penrose'a. W drodze powrotnej do Cannes w promieniach palącego słońca, mieli wypadek. Penrose, który prowadził, nie był winien, ale sporo się potem nasłuchał. Na zakręcie samochód zjechał na lewą stronę i

obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Uderzenie było brutalne i ford został paskudnie pokiereszowany. Pablem rzuciło o karoserię. Ponad tydzień cierpiał wskutek urazów, do których nie chciał się przyznać, żeby nie urazić Rolanda Penrose'a. Ten ostatni, choć wyszedł ze swojego zgniecionego forda bez najmniejszego draśnięcia, wydawał się najbardziej poszkodowany. Nie mógł sobie wybaczyć wypadku, który naraził na cierpienie najbardziej przezeń uwielbianego człowieka na świecie. Bez przerwy bił się w piersi, a Picasso raz po raz udzielał mu rozgrzeszenia.

Przedemną Pablo nie ukrywał swojego cierpienia, które dla mnie było nie do zniesienia. Moja mama mówiła, że jestem odporna na cierpienie. To prawda, że biadolenie to nie moja specjalność. Lecz cierpienie Pabla odbijało się we mnie echem i potęgowało. Moje ciało doznawało straszliwej męki, a cierpienie, które od niego przejęłam, uświadomiło mi dotkliwiej niż kiedykolwiek przedtem, jak bardzo kocham tego mężczyznę. Jęczał przez sen. Któregoś ranka poprosiłam go, by pojechał do Cannes i się prześwietlił. Bałam się, że może mieć połamane żebra. W końcu zgodził się i wyruszyliśmy, nie zawiadamiając nikogo. Widzi pani, powtarzał, gdyby pani była ze mną, to na pewno do tego by nie doszło.

Marcel rozsiadł się za kierownicą hispano z uśmiechem zawiedzionego człowieka, który potrafi wybaczyć powracającemu wiarołomcy. Prowadził niezwykle ostrożnie, by pokazać, że jemu nie mogłoby się przydarzyć ściągnięcie samochodu na lewą stronę. Trzeba powiedzieć, że każdy wstrząs wywoływał u Picassa grymas. Mamrotał, że trzeba zrobić w tył zwrot, bo nie pozwoli nikomu zaglądać do swojego ciała. Nie pozwoli, zapewniał, miażdżąc mi rękę w swojej dłoni. Wykorzystał sytuację, oskarżając mnie o to, że bawię się przy nim w pielęgniarkę. Czy to nie jest ulubiona

zabawa małych dziewczynek? W Argentynie przecież chyba też?

Nie pozwolił mi obejrzeć prześwietlenia swojej klatki piersiowej. Bezwstyd! Jest pani fotografikiem, moja droga, i niech się pani zadowoli wyglądem zewnętrznym! A jeśli chodzi o Picassa, jego wnętrze, to trzeba pozostać ikonoklastą. Zniszczmy obrazy! Twierdził nawet, że w swoim wnętrzu zamienia się w fortecę i broni się przed wszelkimi najeźdźcami z zewnątrz, w tym przed promieniami X.

W rzeczywistości obraz jego szkieletu wypadł uspokajająco. Mężczyzna, którego kochałam, nie miał żadnego złamania czy pęknięcia. Powoli przestawał się skarżyć. Kąpiele morskie i moje pieczyoty dokonały reszty.

Wkraczam w jego życie. Wchodzę w jego malarstwo. Znowu zabrał się do pracy. Od 1 sierpnia, puk, puk, ja. Rysunek tuszem. Rysuje mnie w progu drzwi do siebie. Kurtka. Włosy schowane pod skromną chustką. Podbródek jakiś beczelny, choć tylko wysunięty. Patrzą, urzeczona, ten bożek z brodą i w wieńcu laurowym, który łaskawie objawia się swojej wielbicielce w teatrze swoich wyczynów. Bóg rysuje prawą ręką, a lewą liże mu pies. Odbiera należną chwałę. Moje spojrzenie i język wiernego zwierzęcia tchną oddaniem.

Mougins, 5 września XXXVI. Dora i Minotaur (kompozycja). Węgiel, tusz, kredki, skrobanie. W obliczu całego świata i w obliczu Boga ośmielam się stwierdzić, że to mój ulubiony obraz. Mam go dzisiaj przed sobą i chyba dopiero śmierć mnie z nim rozłączy. Niewielu go zna. Za każdym razem pokazywałam go tylko po to, by umknąć przed kimś, kto mi się naprzykrzał. Oglądał taki dzieło, z szeroko otwartymi oczami, oniemiały, następnie pod byle pretekstem wyjeżdżał i już nigdy o nim nie słyszałam.

Według mnie tylko jeszcze jeden obraz może wywołać podobny efekt. Odkryłam go w 1955 czy 1956 roku u Jacques'a Lacana, w okresie, gdy ten jeszcze próbował oderwać mnie żywcem od wspomnienia o Minotaurze. Chodzi o dzieło Courbeta L'Origine du monde. Lacan ukrył go w swoim biurze pod jakimś obrazem Andre Massona. Miał nadzieję, że zamiast skłonić mnie do ucieczki, konfrontacja z dziełem Courbeta tak długo trzymanym w sekrecie, okaże się etapem w moim powrocie do zdrowia. Jeśli chodzi o Minotaura, Picasso przedstawiał siebie jako mityczne zwierzę, jeszcze zanim mnie poznał. Głowa byka i oko Pabla. Znalazł się już na okładce pierwszego numeru czasopisma zatytułowanego właśnie „Minotaur”. Człowiek przemieniał się w zwierzę z tak wielką rozkoszą, że już na długo przede mną malował całą serię okresów godowych. Pyskiem potwór rozgrzebuje uległe ciało swojej ofiary. W tych latach ofiarą była Marie - Therese.

Zawsze wiedziałam, że istnienie Marie - Therese było nienaruszalnym składnikiem życia Picassa. Na plaży w Saint - Tropez, gdy poprosił, bym poszła za nim, nie odwracając się, pokrótce opowiedział mi o ich szamotaninie. Była Olga, jego żona, która nie chciała mu dać rozwodu. Dzień w dzień słała do niego napisany w kilku językach list pełen obelg i żądań finansowych. Była Marie - Therese i ich córka, mała Maya. Odwiedzał je w sobotę lub w niedzielę. Później, gdy Maya zaczęła chodzić do szkoły, w czwartek. Nie sposób było ukryć poprzedniego życia Picassa, wszystko, co przeżył, pozostawiało ślad w jego twórczości. Zgodziłam się nieodwołalnie na wkroczenie w życie Minotaura, nie powinnam więc się podniecać z powodu jego przeszłości.

Z kolei obraz, na którego odwrocie widnieje napis „Mougins, 5 września XXXVI”, należy wyłącznie do mnie. Nie istniał dla mnie nigdy inny Minotaur niż ta bestia, której

samcze spojrzenie mnie było przeznaczone. Znużone słońce nad krwawym pejzażem, pora pojenia. Potwór ćwiartuje Dorę, żeby dotrzeć do źródła. Krzywi swój czarny pysk. Patrzy złakniony. Coś błagalnego ma w spojrzeniu, coś, co zadziwia wobec tego całego gwałtu. Noga Minotaura unieruchamia nogę Dory. Ręka miażdży jej pierś. Skąd pochodzi ta zbyt biała kobieta, która jest mną? Biel ledwie człowiecza. Dlaczego zwierzę, którego pysk dotyka moich narządów płciowych, szuka mojego spojrzenia? Czy odbywamy tę samą podróż? Odwracam wzrok, zupełnie jakbym tylko z trudem się zgadzała. Zadajesz gwałt. A przecież nie trzeba mnie zmuszać. W głębi na lewo umieściłeś drabinę. Niepotrzebny przymus. Sama mogę pokonać jej szczeble.

Gwałt. Gwałtowność. Kontrast między skórą zwierzęcia - czarną, pokrytą smolistą łuską - a ginącą bladością kobiety zdołają docenić wyłącznie znawcy. Natręci, którzy chcieliby prawić ci komplementy, którzy przyszli, żeby obejrzeć całość twojej niezrównanej kolekcji Picassa, którzy będą liczyć na to, że więcej utargują na takim czy innym obrazie - ci wyjeżdżali stąd szybciej, niż przyjechali.

Spójrzcie, mili panowie, wy wszyscy, którzy przypisujecie mi takie znaczenie dlatego, że byłam kochana, że kochałam wielkiego człowieka - nie ma mowy, by przed nimi nazywać cię małym wielkim człowiekiem! - patrzcie więc, czego może dokonać geniusz. Mówicie: gwałt, przemoc i udajecie, że mnie bronicie. Nierówna walka, twierdzicie. Zapominacie, panowie, o spojrzeniu bestii. Czyż w głębi jej oczu nie kryje się prośba?

Czułość? Niepokój? Nie jesteście wrażliwi na poezję tego King Konga bawiącego się żywą lalką? Czyż nie stworzyła jej jego miłość? A jednak pozostaje niepokonana. Nie tak jak wróg, lecz tak, jak niepokonany jest zawsze drugi człowiek. To zasmuca King Konga. Na próżno penetruje swą zdobycz spojrzeniem i narządem płciowym, i tak nigdy nie będą

jednym ciałem. Jedno jest zbyt czarne, drugie zbyt białe. Czy wiecie, panowie natręci, że ten kontrast od zawsze funkcjonuje w przedstawieniach erotyki? Już w starożytnym Egipcie dla odróżnienia bliźniaczych piękności mężczyzn i kobiet podkreślano smagłość jednych i białłość drugich, jakby dla wykrzesania iskry niezbędne okazało się odtworzenie różnicy. U Picassa mały płomień przeradza się w pożogę, która budzi przerażenie natrętów. Zamiast krzyczeć, że pożar, wołają: uwaga, wariat! Spij, mój piękny Minotaurze, twoja kobieta nigdy nie przestała cię kochać.

Dzieło miłości się spełnia Odkąd wiem, że on tu jest
Dzięki dobru i złu we mnie Wszystkiemu nadaje jeden smak.

III

Niedługo miną trzy miesiące od chwili, gdy umarłeś, a ja po raz pierwszy wracam do Menerbes.

Przyjechałam wczoraj późnym popołudniem. Skorpiony już wzięły w swoje posiadanie dom. Znalazłam dwa na strychu spiżarni, tworzyły parę. Para skorpionów, coś nam to przypomina, prawda? W każdym razie przypomina nam o naszych znakach zodiaku, mimo że nie wierzyliśmy w te banialuki! Mówiłeś, że dwa kochające się skorpiony tworzą obraz! Czyżbyś go sobie nie wyobraził? Choćby twoja seria Kobieta płacząca. Obraz mojej wykrzywionej bólem twarzy mógłbyś zatytułować Dwa skorpiony darzące się czułą miłością.

Zwierzęta wybrały mieszkanie w moim muzeum wspomnień. Jeden nawet zwinął się w spiralę pod starym sedesem, który kiedyś pomalowałeś na zielono i ozdobiłeś girlandą kwiatów. Z upodobaniem powtarzałeś, że Dora będzie o tobie rozmyślać w trakcie srania.

Zabiłam je jednym uderzeniem łopaty. Zastanawiam się, co ta łopata robiła na strychu. Z miejsca zostały przecięte. Cięcie przez cały korpus. Z jednej strony głowa, z drugiej ogon, jak langusta, gdy chcemy z niej wyssać cielesną treść. Natychmiast zniosłam na dół ukwiecony girlandą sedes i umieściłam z powrotem na jego miejscu w toalecie. Oddajmy Picassowi to, co Picassowi należne. To był mój sposób na wypełnienie twojego rytuału pogrzebowego w domu, który mi podarowałeś.

Nie widziałam cię osiemnaście lat. I nigdy cię już nie zobaczę. Nie ma sensu mówić, że mi cię brakuje. Boję się, że pierzchnie mi twoje wspomnienie. Zapomnieć cię, to przestać żyć. Kiedy dowiedziałam się, że mają cię pochować w twoim zamku Vauvenargues, nie przyszło mi na myśl, żeby tam jechać. Zresztą, nie dopuściliby mnie, tak jak nie dopuszczono

twoich własnych dzieci. Stłoczone na sąsiednim pagórku tylko z daleka obserwowały trwającą ceremonię.

Bez znaczenia. Nie spocząłeś w ziemi, ponieważ noszę cię w sobie. Póki żyję, pozostanę twoim domem, w twoim domu lub gdzie indziej.

Przypominają mi się lata wojny, które spędziliśmy w Paryżu, ani na krok go nie opuszczając. Czasami, gdy noc była spokojna, wychodziliśmy na dach atelier Grands - Augustins. Obowiązkowe zaciemnienie spowijało miasto w mrokach ciszy prapoczątków. Nasz gołębnik, jak nigdy, wydawał się nam zawieszony nad otchłanią. Picasso snuł marzenia o podróżach. Ale nie Ameryka, nie miał w sobie nic z obieżyświata. Jego przygoda rozgrywała się między ścianami jego pracowni, choć straszliwie brakowało mu Hiszpanii. Tuż przed wejściem frankistów do Barcelony zmarła mu matka, i nie zdążył jej zobaczyć. Był przekonany, że nie będzie mógł już wrócić do Hiszpanii. Brakowało mu Morza Śródziemnego. Morze, morze naszych letnich miesięcy, mówił rozgarniając próżnię rękami, rozcapierzając palce, jakby obmywała je woda. Pamiętasz, Doro, poranne kąpiele w Mougins? Gdybym był artystą malarzem, malowałbym teraz obrazy marynistyczne, rysował najady fikające nogami w powietrzu. Nic nie rozweselało go tak, jak wchodzenie w konwencję artysty malarza. Była to, jak ją nazywał, postawa „iworyny”. A ty, Doro, co namalowałabyś, gdybyś była artystką malarką? Ja? Żdźbło ziela, może gałązkę oliwną lub pęd winnej latorośli, byle nie mury. Czasami śni mi się, że budzę się na wsi.

Niedługo po tym nokturnie na dachu w nasze życie wkroczyło Menerbes. Przedtem nawet nie słyszeliśmy o tej wiosce. Dalszy przyjaciel Picassa, a może przyjaciel przyjaciela, nabył w Prowansji dom z widokiem. W bardzo kiepskim stanie. Zamierzał go odrestaurować, gdy tylko

skończy się wojna, jeśli w ogóle kiedyś się skończy. Jego żona, którą uwielbiał, zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia. Kilka miesięcy później zginęła w wypadku samochodowym. Od tego czasu wdowiec próbował sprzedać dom, nie wyobrażał sobie w nim życia bez niej. Dowiedział się, że Picasso chce spełnić moje marzenie o życiu na wsi i zaproponował mu handel wymienny. Obraz w zamian za dom. Dom musi się podobać Dorze, nadmienił Picasso. Tamten wyjął z kieszeni zdjęcie. Picasso spojrział, potem podał je mnie. Co powiesz o tym domu na wsi? Spodobał mi się. Mężczyzna wybrał w pracowni martwą, jak się ją niesłusznie nazywa, naturę. Zrobił dobry interes. Ja też.

Picasso nie miał pomysłu na wystrój domu. Dom oznaczał dla niego pracownię. Miejsce, w którym się żyje, to znaczy, w którym się pracuje.

Kiedy go poznałam, posiadał kilka domów, ale nie miał żadnego. Wciąż mieszkał w swojej pracowni przy rue La Boetie, a wielki apartament piętro niżej zajmowała jego żona Olga, ale już go nie chciała. Głośno domagała się zameczku Boisgeloup w Eure - et - Loir opodal Gisors. Ostatecznie go dostała, ale jego progę nigdy nie przekroczyła. Chciała go mieć, bo był gniazdkiem miłosnym jej męża i młodziutkiej Marie - Therese. Chciała zawładnąć tą Wyspą Wielkanocną, na której Picasso stworzył niezwykle rzeźby Marie - Therese - głowy oraz blade i wyrafinowane popiersia. Monolity z zarania świata.

Boisgeloup poznałam tego dnia, gdy Picasso je opuszczał. Było to niedługo po naszym spotkaniu w Deux - Magots. Na tę ostatnią wizytę zaprosił mnie Eluard, a ja skwapliwie skorzystałam z okazji. Czyżby pomysł podsunięty mu przez mistrza? W każdym razie zaproszenie było mi na rękę. Gdy w zamieszaniu wycofywaliśmy się z zamku, mój przyjaciel Brassai, który często bywał w Boisgeloup, by fotografować

posągi i ogromne poetyckie obrazy z lat trzydziestych, poprosił Marcela, kierowcę, żeby oświetlił fasadę zamku reflektorami hispano-suizy. Dzięki temu oświetleniu Brassaiowi udało się zrobić ostatnie klisze z Boisgeloup. Jak pamiętam, to wyzwoliło w nim emocję, którą wyczuwa się w ostatnich ujęciach filmu Jeana Renoira, Reguły gry. Podczas „drole de guerre” żołnierze francuscy zajęli Boisgeloup. Na odchodnym zabawiali się w ogrodzie z rzeźbami Picassa, by wykorzystywać je jako cele i wprawiać się w strzelaniu. Po nich przyszli Niemcy.

Moją wielką dumą jest to, że znalazłam dom, który najlepiej odpowiadał człowiekowi, którego kochałam. To tam właśnie mieszkał niewątpliwie najdłużej. Poza tym, czyż lata wojny nie liczą się podwójnie? Wtedy nie było już mowy o opuszczeniu Paryża, nawet jeśli nosiło się nazwisko Picasso, zwłaszcza jeśli nosiło się nazwisko Picasso.

Ulica Grands - Augustins numer 7. Dom malarza. Według legendy Balzac, sto lat wcześniej, umieścił w tym patrycjuszowskim lokum nazywanym aż do rewolucji pałacem Savoir - Carignan, pracownię malarza Frenhofer, o którym mówi w swojej noweli Nieznane arcydzieło. Jego opis odpowiada w każdym szczególe temu, co zobaczyłam na miejscu. Akcję umieszcza w 1612 roku, a ostateczną wersję pisze w roku 1837. Sto lat później, dokładnie w 1937 roku, Picasso namaluje w tym otoczeniu Guernikę, arcydzieło nad arcydzieła, które jednak nie pozostanie nieznane. Picassowi uda się tutaj to, co nie powiodło się Frenhoferowi. Zaaranżował spotkanie idei i czynu, wyobraźni i rzeczywistości. U Picassa wszystko było z krwi i kości, nawet jeśli na płótnie ukazywał zniszczenie.

Adres Grands - Augustins 7 znałam przed nim. Dwa wyższe piętra tego domu moi przyjaciele nazywali

„poddaszem Barrault". Aktor Jean - Louis Barrault wynajmował je i zapraszał nas tam na próby teatralne.

Właśnie w tej dawnej rezydencji książąt Sabaudii Georges Bataille przeprowadził spotkania naszej grupy Contre - Attaque, jednostce bojowej rewolucyjnych intelektualistów.

Picasso nie chciał słyszeć o Bataille'u. Tę, jak twierdził, eroto - mistyczno - masochistyczną mieszaninę, w której ani de Sade, ani Marx nie rozpoznałyby swojego potomstwa, traktował jak bzdurę. W rzeczywistości Sinobrody był, jak się okazało, zazdrosny o, jak go nazywał, małego bibliotekarza. Nie mógł ścierpieć, że poznałam go trzy lata wcześniej. Gdy ośmieliłam się powiedzieć, że nigdy Georges'a Bataille'a nie kochałam, odpowiedział, że wszelkie porównania z nim potraktuje jako nietakt i że imienia małego bibliotekarza nie chce więcej słyszeć.

Pilnowałam się, by nie wspomnieć o Bataille'u i Contre - Attaque, gdy po raz pierwszy zabrałam go z wizytą na rue de Grands - Augustins 7. Moi rodzice mieszkali o dwa kroki, przy rue de Savoie 6, niezmiennie w starych okolicach książąt sabaudzkich. Rzekomo mieszkalam u nich, lecz na sercu leżało mi wszystko, co mogło mnie przybliżyć do człowieka, którego kochałam, choćby adresy.

Nadal mieszkalam przy rue de Savoie 6. Te piętra wychodzące na dziedziniec pozostaną moje aż do śmierci. Nikt nie wie, co kryją. To moje mieszkanie, pracownia, a zarazem twoje muzeum. Jedyne twoje muzeum w Paryżu w chwili, gdy to piszę. Muzeum, rzecz jasna, prywatne. Możesz mi wierzyć, bez skrupułów zachowałam je w tajemnicy. Gdy państwo francuskie okazało się więcej niż bojaźliwe w stosunku do twojej twórczości, wówczas kochance przyszło przechowywać u siebie najpiękniejsze obrazy stulecia, na które nie wiedzieli, jak patrzeć, pozbawieni wyobraźni urzędnicy. Ile płócien, ile rzeźb zakupili oficjele za życia

Pabla Ruiz Picasso? Niewiele. Śmiechu warte. Oficjalne zamówienia na plafony i freski otrzymywali inni. Ci, z których strony nie groziły żadne niespodzianki, bo powtarzali się od dziesięcioleci.

Nikt nie obejrzy na rue de Savoie 6 obrazów, rysunków, przedmiotów, drobnych dokumentów, strzał miłości, czułych słów. Prywatna kolekcja. Zakaz wstępu. Czyż na rysunku z 11 września 1936 roku w Mougins nie napisałeś „namalowane z pamięci”? Nasza historia ujrzy światło dzienne dopiero po nas.

Ledwie wszedłeś na Grands - Augustins, poczułeś się u siebie. Odetchnąłeś z ulgą. Na koniec postawiłeś bagaże. Przechodząc z pokoju do pokoju, na całe gardło śpiewałeś jakąś katalońską arię.

Otworzyłeś jedno z okien. Wychodzi na rue du Pont - de - Lodi, w oddali piękna perspektywa srebrzystych dachów. Rozpostarte ramiona, głowa odrzucona do tyłu, roześmiałeś się. Jestem u siebie! Doro, masz rację. Jak dobrze mnie znasz! Nigdy nie zapomnę, że tobie zawdzięczam Grands - Augustins. Co właściwie oznacza nazwa rue du Pont - de - Lodi? Z okna można by zdobyć ją ogniem na przestrzał. Mówię mu, że chodziło o zwycięstwo Bonapartego, jego pierwsze zwycięstwo. Ho, ho! Goi by się nie spodobało, tym mniej Hiszpanii! Uspokajam go. Pod Lodi nie czuło się jeszcze cesarza w małym korsykańskim generale, a młody Bonaparte nie miał nic z Napoleona. Właśnie we Włoszech jeszcze nie wierzy w rewolucję. Staje na czele garstki obdartusów naprzeciw dwukrotnie liczniejszego wroga. Pokonuje most i wkracza do historii. Skąd to wszystko wiesz? - pyta tonem wymówki. Można by pomyśleć, że lubisz wojnę. Nienawidzę jej. Odpowiadam, że nienawidzę jej do tego stopnia, że aż chciałabym wypowiedzieć wojnie wojnę.

Przy Grands - Augustins 7 na pozór nic się nie zmieniło. Piękna klasyczna patrycjuszowska fasada. W środku korytarze

i schody. Stare piece w kształcie dymienic i zużyte stopnie. Picassowska fala w kilka tygodni zalała po kolei wszystkie pokoje i Minotaur szybko odnalazł tu swoje wygodę. Podobnie jak ja nie był w stanie czegokolwiek wyrzucić, natomiast jego zdolność do gromadzenia rzeczy oraz siły twórcze przekraczały wszelkie ludzkie normy. Wprost z podłogi wyrastały stosy gazet i pustych pudełek po papierosach. Widziałam poustawiane na podłodzie i odwrócone do ściany najpiękniejsze obrazy na świecie, na których ledwie wyschła farba. Widziałam, jak materia słucha jego ręki i opanowana, wyrzeźbiona, uświęcona zasypia w cieniu pawlacza. Widziałam cuda - takie, które poszły w zapomnienie, i takie, które nieustannie poprawiał. Widziałam, jak wykluwa się, kielkuje, rozmnaża jego dzieło.

Ines poznaliśmy w Mougins. Pracowała w hotelu Vaste - Horizon. Przekonałam ją, żeby przyjechała do Paryża i zajęła się domem Picassa. Piękna, radosna, inteligentna, spodobała się mistrzowi i jego gościom. Wszyscy doceniali jej kuchnię. Do tego była Hiszpanką.

Wyglądało na to, że rue de Grands - Augustins biegła wcale niedaleko raję.

Odkąd cię utraciłam, nie czuję głodu. W Menerbes moim codziennym pożywieniem stanę się pomidory i czarne oliwki. Na pamiątkę po tobie lubię ich kolory. Czyż pierwszego dnia w Deux - Magots nie ujrzałeś mnie w czerni i czerwieni? Bez ciebie płowieję. Zatracam kształty i odcienie mojego życia. Czy to znaczy umierać dlatego, że umrzeć nie sposób? Mówiłeś mi, że mam w sobie ogień, teraz spalam się.

Dlaczego nie dałam ci wszystkiego, gdy był jeszcze czas? Dlaczego nie domagałeś się mnie? Przecież nieraz chwyciłeś mnie w ramiona omal mnie nie dusząc, prosząc, bym pokazała ci język. Jeszcze, mówiłeś. Zapuszczałeś spojrzenie w moje gardło i wchodziłeś we mnie do samego środka. Dopiero dużo

później pomyślałam o twojej biednej siostrzyczce Conchicie. Umarła na błonicę w La Corunie. Kiedyś opowiadałeś mi, że miała straszną agonię. Już wtedy pasjonował cię rysunek i malarstwo. Prosiłeś Boga, by uleczył twoją siostrzyczkę, obiecując mu, że poświęcisz swoje kredki i szkolne pędzelki. Ślubowałeś, że nigdy nie wrócisz już do malarstwa, jeśli Conchita ocaleje. Umarła, a ty zostałeś Picassem. U ciebie kobiety kochają, płaczą, cierpią z otwartym gardłem i wywleczonym jęzorem. Widywałeś same gargulce?

IV

Można by powiedzieć, że zabito cię po raz drugi. Tego ranka byłam w kuchni w Menerbes i czytałam jakieś czasopismo, które listonosz przyniósł z resztą poczty. Jakiś prawicowy amerykański pseudohistoryk napisał w „National Review”, że bombardowanie Guerniki w ogóle nie miało miejsca. Że chodzi jakoby o polityczne kłamstwo sprokrowane przez Komintern, podjęte przez prasę na rozkaz Moskwy i zilustrowane przez malarza, właśnie ciebie, który dopiero w październiku 1944 roku oficjalnie wstąpił do partii komunistycznej, ale ponoć długo wcześniej potajemnie do niej należał. Rozwija argumentację, dodając, że od Panien Awiniońskich nieprzerwanie się czepiałeś wartości chrześcijańskich, których obrońcą jest dzisiaj w Hiszpanii generał Franco, tak jak Stany Zjednoczone są nim w Wietnamie.

W noc mojego przyjazdu do Menerbes śniłam, że żyjesz. Byliśmy na Grands - Augustins i lampa oświetlająca masakrę Guerniki znajdowała się nie na obrazie, lecz u sufitu pracowni. Właśnie wymieniałeś w niej żarówkę. Niczego na nim nie widać, powiedziałaś, potrzebujemy czegoś mocniejszego. Dora, zacznij od pomalowania grzywy konia. Pokazałeś mi odarte boki klaczy pośrodku obrazu i zaczęłam bez końca nanosić pędzlem farbę. Im dłużej to trwało, tym większą sprawiało mi przyjemność, bo słyszałam za sobą odgłos twojego oddechu. Odkąd umarłeś, jesteś w moich snach bardziej żywy.

Guernica została namalowana trzydzieści sześć lat temu, a wciąż budzi kontrowersje. Tyle kataklizmów po niej się zdarzyło i ją przyćmiło. Tyle masakr. Czy gdyby nie Picasso - po Auschwitz, Birkenau, Buchenwaldzie, Oradour czy Katyniu - pamiętalibyśmy o zabitych w Guernice? Porażającą grozę musiał spotęgować porażający geniusz.

Franco okopał się w Madrycie i Picasso umarł, nie ujrawszy ponownie swego dzieła. Guernica od 1939 roku znajduje się w nowojorskim Museum of Modern Art. Amerykańscy intelektualiści i artyści żądali od muzeum, by oddało obraz. Po masakrach Song My i My Lai uznali, że Stany Zjednoczone nie są godne tego dzieła.

KoszMaar. Guernica była nie tylko koszmaarem, bynajmniej, lecz koszmaarem przesadzającym o charakterze dzieła, które stało się symbolem XX wieku. Słowo to jest pochodzenia pikardyjskiego. Jego drugi człon to zapożyczenie z niderlandzkiego mare, oznaczającego widziadło w przykrym śnie. W podstawie mare, którą odnajdujemy we wszystkich językach anglosaskich i słowiańskich, pojawia się samotne widmo. Choćby w angielskim nightmare - koszmarze. Zwróćcie uwagę, że nie ośmieliłam się napisać nightmar, co wiązałoby się ze zmianą wymowy tego słowa, a nawet jego znaczenia. Mare to po angielsku klacz. Widzę w tym wielką klacz z naszych przepelnionych grozą nocy, wierzchowca boga piekieł, tego, który zwiastuje śmierć.

Figuruje w centrum Guerniki, wypatroszone boki, powykręcane nogi, szeroko otwarty pysk. I język, wyciągnięty język, język w kształcie szydła. Jak Conchita, jak Dora Maar, jak Kobieta płacząca. Jest zwierzęciem poświęconym w corridzie stulecia.

Niegdyś koń pikadora szedł z odsłoniętymi bokami na ofiarowanie. Nic go nie chroniło przed atakami byka. Jako dziecko patrzyłeś urzeczony na te wielkie rzezie, w których wzdęte wnętrzości koni eksplodowały niczym granat. Na czubkach rogów byka krew tryskająca i flaki, on sam, choć zraniony przez pikadora, przygotowuje się do ponownej szarży. Byk, człowiek i koń. Fatalne trio Guerniki. Z akompaniamentem kobiet. Viva la Muerte.

Odległy jest czas Mougins, Vaste - Horizon, pierwszego lata naszej miłości. Odległe już słowa, które Paul dedykował Pablowi:

Wskażcie mi tego człowieka tak cichego zawsze Co twierdził że palce każą podnosić się z ziemi Tęcza która się zwija wąż który się toczy Zwierciadło ciała gdzie perłą jest dziecko I te ręce spokojne idące swą drogą Posłuszne takty co skracają przestrzeń Pełne obrazów i pragnień Jedna wskazówka za drugą jednego zegara.

(Cyt. za: Paweł Eluard, Pablowi Picasso. Przełożył Stefan Flukowski. Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków, Warszawa 1948, s. 33.)

Koniec z pieszczotami, delikatnymi portretami i uległą gliną klejącą się do palców. Trwa wojna i pożoga coraz bardziej się rozszerza. W roku 1937 Picasso zaczyna grawerować coś w rodzaju komiksu, którego inspirację stanowi bombardowanie Madrytu. Opatruje go tytułem Marzenie i kłamstwo Franco. W roli tytułowej groteskowy dyktator, który wypisz wymaluj przypomina tę fotografię, którą zrobiłam poprzedniego roku, zarodek jakiegoś hybrydycznego zwierzęcia. Zatytułowałam ją Portret Ubu.

Picasso sprzedał Marzenie i kłamstwo Franco na rzecz poszkodowanych Hiszpanów, a do obrazu dołączył wiersz: „... krzyk dzieci krzyk kobiet krzyk ptaków krzyk szkieletu krzyk cegieł krzyk mebli łóżek krzesel zasłon garnków kotów papierów krzyk kurczowo splecionych zapachów krzyk ostrego dymu kłującego ramię krzyków duszących się w kotle i deszczu ptaków zalewającego morze które zżera kość i wyłamuje sobie zęby przegryzając nić waty którą gąbka słońca wsysa z talerza który sakiewka i kieszeń ukrywają w odcisku jaki stopa zostawia na skale”.

Prawdę mówiąc, delikatne portrety nie całkiem poszły w odstawkę. Jeden z nich wzruszyłby nawet kamień. Nosi tytuł

Śpiąca Dora Maar. W rzeczywistości Picasso rzadko nadawał nazwy swoim dziełom. Śpiąca Dora Maar to jeden z moich ulubionych obrazów z rue de Savoie. To rysunek ołówkiem, opatrzony dokładną datą: „to 2 marca 37”. Leżę z uniesionymi ramionami, ręce splecione za głową. Mam na sobie skromny stanik, przymknięte powieki, niedostrzegalny uśmiech rysuje się na moich ustach ledwie naznaczonych przez sen. Kreskę znamionuje prostota i doskonałość Leonarda. A niewypowiedziana miłość, którą wyraża, twoja, moja, jest zarazem wzruszająca i cicha. Kto ośmieliłby się powiedzieć, że jestem jedna? A jeśli miłość musi dostarczać dowodów, to kto był bardziej kochany ode mnie?

Pamiętam 28 kwietnia 37 roku. Pędem przez most Carrousel na Sekwanie i po dwa stopnie steranymi schodami przy Grands - Augustins. Picasso był sam, siedział bez ruchu w swoim starym fotelu i patrzył na niedokończoną pracę. Co z tego zachować i czy w ogóle trzeba coś z tego zachować? Długo potrafił tak trwać, żeby niczego w sobie nie poruszyć, potem podejmował szybką wędrówkę między obrazem a fotelem. Popołudniem, aż do wieczora, nikt nie miał prawa wejść do pracowni.

Wiedziałam, że wstrząśnie nim to, co powiem, a byłam na tyle zarozumiała, by wierzyć, że wiadomość poruszy go jeszcze głębiej, ponieważ ja mu ją przyniosę. Liczyłam na pomoc Eluarda, ażeby go skłonił do zajęcia nieugiętego stanowiska. Nie można było dłużej milczeć.

Kiedy przyszedłam, poderwał się z miejsca. Bez słowa podałam mu gazetę. „Ce soir”, z 29 kwietnia 37. Odtrącił ją. Nie, ty mi przeczytaj, poprosił, żeby zyskać na czasie, czy to poważne? Gorzej.

„Bilbao, 28 kwietnia.

Straszliwa niewyobrażalna zbrodnia wywołała oburzenie cywilizowanego świata. Guernica, historyczna kolebka ludu baskijskiego i jego swobód, przestała istnieć!

W poniedziałek, normalny targowy dzień, niebywały tłum, Guernica, wieś nadbrzeżna, położona 27 kilometrów od frontu, nieposiadająca najmniejszego znaczenia strategicznego i przemysłowego, zamieszkała przez 7000 mieszkańców, udzieliła ponadto schronienia około 4000 uciekinierów z Guipuzcoa. Liczbę obecnych na targu ocenia się na 3000...

W momencie największego ruchu, o czwartej trzydzieści, pojawiły się pierwsze eskadry z bombami. Ludność rzuciła się do ucieczki w stronę pól, nękana przez samoloty myśliwskie ogniem karabinów maszynowych. Inne eskadry trzysilnikowych maszyn zrzuciły z powietrza setki pocisków, w tym wiele tysiackilogramowych, żłobiących głębokie leje. Bombardowanie kontynuowano za pomocą bomb średniego kalibru. W końcu na sterroryzowaną wieś spadł deszcz bomb zapalających w liczbie ocenianej na 3000. Na miejsce dojechałam samochodem. Sceny grozy, których byłam świadkiem, przekraczały wyobraźnię. Z miasta zostało już tylko ogromne palenisko, strzelające w niebo gigantycznymi płomieniami, zabarwiającymi chmury kolorem krwi. Straszliwy żar uniemożliwiał jakąkolwiek interwencję. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy spłonęli żywcem. Uwięzionych zostało pięćdziesięciu uciekinierów. Krzyki kobiet i dzieci niosły straszliwe katusze... Ci, co przeżyli, przeszukiwali ulice, próbując odnaleźć ciała swoich bliskich, lecz żar uniemożliwiał im to. Natknęłam się na niewypał aluminiowej bomby zapalającej. Mam ją. Widnieją na niej trzy niemieckie orły...".

Tekst na cztery kolumny w „Ce soir”. Mój głos silący się na bezstronność słowo po słowie, cyfra po cyfrze sączy

truciznę. Picasso nie ma wyboru. Musi zostawić wszystkie sprawy i bezzwłocznie wytworzyć antidotum.

„Zadzwoń do Jose. Nie chcę mu od razu mówić. Ale ty zapowiedz mu, że mój obraz lada chwila będzie. Żeby zarezerwował dla niego miejsce, dużo miejsca”. I dodaje, on, który zazwyczaj nie nadaje nazw swoim dziełom: Możesz mu powiedzieć, że będzie się nazywać Guernica, tak właśnie, Jose zrozumie.

Jose to Jose Bergamin. Jest pisarzem. Hiszpanem. Republikaninem. Od tygodni domaga się od Picassa obrazu do hiszpańskiego pawilonu na Światowej Wystawie, która zostanie otwarta w Paryżu za kilka dni.

Nazajutrz przystępuje do pracy. Pierwsze zdjęcia z Guerniki nadchodzą z poranną prasą. Przegląda je, oszołomiony. Zachowuje grozę oraz czerń i biel zdjęć. Świat jest czarny. Kolor nie znajdzie dla siebie miejsca w Guernice. Picasso próbuje go jednak wprowadzić pośrednio, poprzez kolaże. Na dwóch krańcach płótna rzucają się w oczy kobiety w spódnicach w paski i kwiatki, w całości wycięte z papieru. Niezadowolony z efektu, z miejsca wydziera zbędny rekwizyt. Za chwilę wycina z czerwonego papieru coś na kształt łzy, którą prowadzi po powierzchni obrazu w poszukiwaniu idealnego miejsca. Instaluje, zdążył już to szyderczo nazwać łzą uronioną ukradkiem. Pod okiem byka. Cofa się, patrzy i zde gustowany rzuca się, by ją usunąć. Udało nam się szczęśliwie tego uniknąć, wykrzykuje. Kolor nie zostanie już dopuszczony do Guerniki. Co do łez, nie będą już potrzebne. Kształt łez przyjmą oczy kobiet.

Nigdy nie widziałam go tak zapracowanego. Kiedy bierze się pod uwagę niepowtarzalną siłę i stałe odnawianie się jego dzieła, niekiedy zapomina się, że przez całe życie jego geniusz czerpał z pracy. Picasso był nie tylko amatorem corridy i kolekcjonerem kobiet, był bojownikiem. Dzień w dzień,

niewątpliwie aż po ostatni z nich, walczył o to, by sprostać przeznaczeniu, które sobie wybrał w dzieciństwie. W wieku dziewiętnastu lat nie jest już Pablem Ruizem ani nawet Pablem Ruizem Picassem. Odtąd nosi nazwisko swojej matki. Potwierdza to, podpisując się pod jednym z pierwszych autoportretów: Yo, Picasso. Ja, Picasso. Matczyne nazwisko łopocze niczym sztandar. Przypomnijcie sobie Napoleona na moście Lodi. Yo, Picasso, właśnie pod tym nazwiskiem postanawia przejść zwycięsko zapowiadające się stulecie, wiek XX.

Najczęściej pracuje w koszulce i szortach. Lubię na niego patrzeć. Przy Guernice pracuje jak w transie. Mogę się nim sycić, bo mnie nie widzi. Niekiedy aż mam ochotę go dotknąć. Nikt by się nie spodziewał, że ten bojownik ma taką delikatną skórę. Pomimo częstych kąpiei i pryszniców jego skóra zachowuje lekki zapach terpentyny. Podkpiwa sobie z tego. „Jestem panem Ripolin!”. Praca kolejnymi nieprzerwanymi falami wygładza jego ciało, wcale go nie zużywając. Niczym piękny gładki otoczak, którego wszystkie krawędzie zostały stepione. Została tylko gładka i ciepła powierzchnia, która domaga się pieszczot.

Przed rozpoczęciem wielkiego płótna trzeba wykonać rozliczne szkice. Nie ma już czasu na to, by zejść na śniadanie do Katalończyka, tej restauracji, gdzie zazwyczaj jadamy. Nie ma już rano korowodu gości oczekujących w przedpokoju, jeszcze zanim mistrz zdołał wstać. Od chwili rozpoczęcia Guerniki wstaje wcześniej i późno się kładzie. Niemal nie opuszcza pracowni. Natrętów każe przeganiać. Natomiast dopuszcza przyjaciół, i to nawet w zabronionej porze popołudnia i wieczoru - tych, którzy potrafią milczeć i zdobyć się na wyrozumiałość. Guernica nie potrzebuje wymówek. To trzęsienie ziemi. To ścierające się ze sobą wielkie europejskie płyty. Wciągają żywe istoty w swoje szczeliny. To dopiero

początek, pierwsze zadęcie trąby. Wydarzą się straszniejsze rzeczy niż w Guernice. Picasso to przewidział.

Maluje Guernikę, lecz Guernica obejmuje całą resztę, to, co było i to, co będzie. Idźcie i wylejcie siedem czasz gniewu Boga na ziemię.

Picasso nie chce gadaniny. A jeśli już musiałby mówić, to wolałby się zwracać do tego głuchego Goi. Rozstrzelanie 3 maja 1808. Okropieństwa wojny. Mój stary Goya, jestem taki jak ty, nie potrzebujesz opowiadać historii. To zostawiasz kronikarzom lub ewangelistom. Świat jest mroczny, a chwila ślepa. Gdy słowa ucichły, pozostał już tylko krzyk.

Po dziesięciu dniach, gdy przygotował ogromne ilości szkiców, zabraliśmy się do postawienia płótna. Nie było to proste. Picasso chciał, żeby było jak największe. Miało być tak wysokie jak mieszkanie przy Grands - Augustins, a nawet trochę wyższe. W rezultacie przy swoich ośmiu metrach szerokości i - zwłaszcza - trzech i pół wysokości przekraczało rozmiary pracowni. Trzeba je było ustawić w pozycji lekko pochylonej do tyłu, ażeby w końcu znalazło swoje miejsce pod grubymi belkami z litego dębu. Żeby ułatwić ewolucje mistrza, rekwirujemy w domu wszystkie stołki i drabinę sprzedawcy farb. Widząc go, jak nieustannie wspina się i schodzi po stopniach, myślę o Michale Aniele w kaplicy Sykstyńskiej, choć sprzedawca farb przesadza, mówiąc, że sam Bóg potrzebowałby tu przedłużaczy.

Picasso poprosił mnie, żebym fotografowała obraz w różnych fazach, nie po to, żeby utrwalić poszczególne etapy pracy, lecz ukazać jego metamorfozy. Wchodzisz do mojej głowy, mówi. Pokazujesz, jak sen czy raczej koszmar ucieleśnia się w rzeczywistości tworzenia. Ogranicza się do tego rodzaju komentarza, przekonany, że rzeczywistość Guerniki nie ma nic wspólnego ze słowami. Jedynie obraz fotograficzny może pomóc opowiedzieć historię jego obrazu. Zwierza się tylko, że

zmienił punkt widzenia od czasu Marzenia i kłamstwa Franco. W komiksie Franco był złem, wyłącznie złem. Dlatego z niego zrobił postać groteskową. W Guernice zło nie ma już twarzy i kształtu. Nie jest nim ani byk, ani koń, ani żołnierz. W przyszłych wojnach, dorzuca, nie będzie wiadomo, jak wygląda napastnik. Będą same ofiary.

Pewnego popołudnia, gdy byłam zajęta fotografowaniem początków Guerniki, na Grands - Augustins bez zapowiedzi przyjechała Marie - Therese Walter. Od początku wiedziałam o istnieniu jej oraz jej córki, małej Mai. Picasso opowiadał mi o nich na plaży w Mougins. I gdy znikał pod koniec każdego tygodnia, wiedziałam, dokąd chodzi. Chętnie opowiadał mi o Mai, do czego sama go zachęcałam. Ale już mniej mi się podobało, gdy przeczytawszy mi obelżywe listy, które dzień w dzień przysyłała mu Olga, kontynuował seans z czułymi liścikami od Marie - Therese, dodając, że cokolwiek by powiedzieć, ona jedyna naprawdę go kocha. Nie kocha malarza, tylko człowieka.

Co za niespodzianka! - zawołał, nie wstając z fotela. Ja, jakby nigdy nic, nadal ustawiam oświetlenie. Wygląda na to, że Picasso naprawdę nie spodziewał się przyjazdu Marie - Therese. Zwykle lepiej sobie radził z takimi zakłóceniami w cyrkulacji. Marie - Therese usilnie stara się mi pokazać, że na Grands - Augustins nie przychodzi po raz pierwszy i że ma gdzieś reguły podziału terytorium. Powtarza: „No popatrz, znowu się tu zmieniło. O mało co poczułabym się tu obco”. Picasso wstaje i łagodnie próbuje zażegnać katastrofę: „Przecież jesteś tu u siebie, moja droga. Guernica należy do ciebie! Jeśli ty nie podejdziesz do Guerniki, to Guernika podejdzie do ciebie!”. Uważam, że ta jego szczodrość jest niestosowna. Tylko nie Guernica, z żadną nie będę się dzielić Guernika. „Co ty opowiadasz? - pyta Marie - Therese. - O co chodzi? To zaproszenie? Nazwa restauracji? Nie rozumiem”.

Nieważne, odpowiada Picasso i ciągnie ją przed obraz. Na jego widok Marie - Therese odruchowo się cofa, co bardziej świadczy o przerażeniu niż niezrozumieniu. On nalega. Pokazuje jej, że widnieje na obrazie po lewej stronie ze swoim dzieckiem w ramionach. Ona odpowiada:

- Nie chcę wiedzieć. Wiesz, że nie lubię takich rzeczy. Kocham ciebie, nie twoje malarstwo.

- No to po co przyszłaś? Przecież tu się pracuje.

W tym momencie przestaję być asystentką, która zadowala się uwiecznianiem prac mistrza. Zmierzam w stronę Marie - Therese i wyciągając w jej stronę pomocną, jak mi się wydawało, dłoń, której ona jednak nie chce uścisnąć, mówię, jestem Dora Maar.

- Wiem, że pani jest Dorą Maar i gwizdzę na to. Mam dziecko z tym człowiekiem. I to ja jestem u siebie, a nie pani. Niech pani pakuje ten swój aparat i wychodzi. Ja zostanę z ojcem mojego dziecka.

- Nie dałam mu dziecka i kiedy tak na panią patrzę, odchodzi mi ochota, żeby mu dawać. Ale zastanawiam się, z jakiej racji mamy przerywać pracę, tylko dlatego, że pani tu jest.

Ponieważ miła rozmówka najwyraźniej go nie dotyczy, Picasso powraca do Guerniki. Marie - Therese rzuca się więc na mnie, chcąc mi wyrwać aparat wiszący na mojej szyi na końcu skórzanego paska. Musiałam się bronić, żeby nie dać się udusić. Marie - Therese wykorzystywała podwójną przewagę - atletycznych ramion i niebywalej wściekłości. Ojciec jej dziecka w bezruchu kontemplował naszą bójkę. Być może zgłębiał linie naszych ciał. W końcu nasze bojowe postawy mogły się okazać użyteczne w którejś z jego przyszłych kompozycji.

Marie - Therese wciąż próbuje ściągnąć mi ponad głowę pasek mojego aparatu, co nie przeszkadza jej krzyczeć do

arbitra: „Powiedz, miej odwagę powiedzieć, która z nas dwóch wygrała? Którą chcesz zatrzymać przy sobie?”. Arbitr tylko się roześmiał i powołał się na swoje dzieło: „Jestem tutaj, żeby potępić wszelką przemoc, nawet waszą”. Yo, Poncjusz Piłat!

Marie - Therese rozluźnia chwyt i wybucha płaczem. Bez słowa wracam do swojej pracy. Z dziedzińca słyszymy oddalające się kroki młodej kobiety. Nic się nie stało przy rue des Grands - Augustins.

Duma nie pozwalała mi na zazdrość. Łączyło nas coś niepowtarzalnego i nigdy nie porównywałam tego z tym, co Picasso mógł przeżywać przede mną, czy z tym, co później miał przeżywać z innymi kobietami. Wiem, że przypisano mi to zdanie: „Po Picassie już tylko Bóg”. Jeśli go nie wypowiedziałam, to żałuję. A jeśli tak, to nie wypieram się. Nie jestem w stanie kochać istoty, której miłość nie czyni mnie kimś niepowtarzalnym. Nie chcę być jedyna. Domagam się niepowtarzalności. Duma. Boska duma. Od Boga przecież nie żądam, by kochał tylko mnie, wystarczy mi, by moja miłość do niego była niepowtarzalna. Niczego mi nie nakazał. To ja zdecydowałam się trwać w tej miłości.

Myślę o Echnatonie, gdy - jako pierwszy - uczynił Atona jedynym bogiem na ziemi faraona. Zażyczył sobie, by wyobrażało go promieniste słońce. Bóg jedyny rzuca na znak życia niezliczone promienie. Bóg jedyny jest także bogiem wszystkich.

Nie żyjesz, a ja jestem w Menerbes. O ileż łatwiej zdobyć się na wyznanie, gdy namiętności są już martwe. Z zastrzeżeniem stylu. Gdyż te namiętności nie milkną nigdy. Na nic cierpienia z powodu tysięcy śmierci, nawet z powodu twojej, na nic wielokrotne zarzekanie się i wypieranie się swojej wiary przy pianiu koguta w szoku elektrowstrząsów,

namiętności powracają i szepcząc po kryjomu, zamieszkują w nas na wieczność.

Gdybym miała być zazdrosna, byłabym o Mayę czy Nush. Ta pierwsza, córka Picassa, stworzona na jego obraz, kochana przez niego jak żadna z kobiet i to zupełnie niewinnie. I Nush, bliźniacza niewinność, ze swoją niezrównaną urodą, jakby dziecięcość zachowana w stanie nietkniętym aż do brutalnej śmierci. Jej mogłabym zazdrościć bezgrzesznej doskonałości. Mogłabym pozazdrościć jej nadzwyczajnego daru wzbudzania u innych, kobiet czy mężczyzn, miłości. Moja przepiękna mała Nush, którą fotografowałam we wszelkich pozach, Nush, którą Picasso narysował z subtelnością koronkarza, którą Eluard kochał, ubóstwiał i czcił. Aż do strasznego Nie zestarzejemy się razem, nazajutrz po jej zniknięciu. Młoda zmarła o smukłym ciele, zużywaliśmy cię naszymi pieścizotami i spojrzeniami. Byłabym zazdrosna o ciebie, gdybym tak cię nie kochała i gdybyś nas nie opuściła w najgorszej chwili.

Ale zazdrosna o Olgę czy Marie - Therese? Niemożliwe. Ta pierwsza ofiarowała mi nienawiść, którą potrafiłam zrozumieć, a której nie chciałam odwzajemniać. Ścigała nas wszędzie swoimi zaklęciami. Wysyłała je codziennie pocztą i często wypowiadała osobiście. Bywało, że w Mougins czy gdzie indziej siadała w odległości kilku metrów od nas obojga i udawała, że kontynuuje rzekomy dialog na jeden głos, własny, z człowiekiem, który pozostawał jej mężem - rozvodu mu nie dała. Zwracała się do niego, markowała pauzę na spodziewaną odpowiedź, następnie podbijała bębenek. Nieznośnie przenikliwy głos. Jak kredą po tablicy. Kredą po tablicy. Zębami widelca o fajansową salaterkę. Patos monologu Jeana Cocteau w Głosie człowieczym. Picasso kochał ją, a ona nie wyleczyła się z tej miłości. Jej głos sprawiał mi przykrość. Nigdy nie miałam wrażenia, że ona

zapowiada mój własny los. Bez wątpienia duma. Można kochać Mozarta i nie chcieć słuchać, jak Leporello śpiewa popisową arię. Każdy jest niepowtarzalny. I tylko służący Don Giovanniego i kapo temu przeczą.

A jednak nie poprzestałam na samym unikaniu zazdrości. Chciałam ją smakować, wręcz na niej eksperymentować. Towarzystwo Georges'a Bataille'a nie przygotowało mnie na nią, tym bardziej towarzystwo moich przyjaciół surrealistów. Co prawda teoria niekiedy rozmija się z praktyką. Widziałam, jak niejeden cynik czy rzekomy obojętniak, niczym Hermiona albo jakaś midinetka, popadał w katusze zazdrości.

Zdarzyło się, że w sobotni wieczór wzięłam taksówkę i poprosiłam kierowcę, żeby mnie zawiózł do Tremblay - sur - Mauldre, czterdzieści kilometrów od Paryża. Tam właśnie Ambroise Vollard, marchand dzieł sztuki, posiadał stary dom, w którym urządził atelier. Chciał udostępnić je Rouaultowi, lecz noga malarza nigdy tam nie powstała. Także gdy Picasso musiał przekazać Boisegeloup Oldze, Vollard zaproponował mu pracownię w Tremblay. W końcu zamieszkała tam Marie - Therese z Mayą. Bliziotko Paryża, a jednak ukryte, miejsce to zachowało sekretność, którą na jaw wydobywały tylko dzieła Picassa.

Wiedziałam, że jedzie tam na koniec każdego tygodnia. Często przywoził stamtąd obrazy, które od razu mi pokazywał, zwłaszcza portrety Mai. Wiedziałam już, że jednego dnia może malować mój portret i portret Marie - Therese, z jednakim talentem i jednakim uczuciem. A jednak na darmo stroił nas w te same suknie i wkładał nam na głowy te same dziewicze wianki, cokolwiek by zrobił, nie upodobniłyśmy się do siebie. Wszystko było inne. Nasze historie, nasze rysy, pragnienia, nasza miłość, kolor włosów, nasze myśli i nasze sny.

Kierowca zatrzymał auto przed domem. Była chyba druga rano. Za gałęziami drzew dostrzegłam światło. Picasso zapewne pracował. Pomyślałam o dziecku, które spało w pokoju obok. Myślałam o kobiecie, której narysował piękny tęskny portret w krzywiznach - pogrążonej we śnie o spełnionej zmysłowości. Opuściłam szybę i zapaliłam papierosa. Czyż nie tak zachowywały się bohaterki w filmach międzywojennych? Poczułam, że cierpię, i syciłam się swoim cierpieniem. W drodze powrotnej zamierzałam zaprosić kierowcę na kawę do baru w Wersalu czy do jakiegoś dworcowego bufetu. Którejś nocy tak bardzo się roznamiętniłam, że przed wyjazdem do Tremblay przebrałam się w wieczorową sukienkę.

V

Picasso zachęcał mnie do powrotu do malarstwa. Rzuciłam je dziesięć lat wcześniej, żeby poświęcić się fotografii. Sposobność związana z Guerniką upoważniała mnie do przebywania w jego pobliżu, gdy pracował. Jak dotąd, nikt nie uzyskał takiego przywileju. Uwaga, mówił, Grands - Augustins to nie kino non stop, jeśli wchodzisz, to nie wychodź przed końcem seansu, nawet po to, by kupić karmelki.

Byłam uzurpatorką. Dwór mi zazdrościł, a Sabartes, najstarszy przyjaciel mistrza i jego totumfacki, nie cierpiał mnie. Ale czy aparat fotograficzny nie dał mi wstępu do Picassa? Co gorsza, nie zniknęłam, gdy praca została już ukończona. To, że przedtem nikt nie miał dostępu do powstającego dzieła, tylko potęgowało moje zainteresowanie i wzmagало przyjemność. Picasso co prawda zdecydował się na kilka wyjątków w przypadku Guerniki. Malraux został dopuszczony dwukrotnie. Zawinęło tu kilku hiszpańskich republikanów. Najbardziej wytrwały był Eluard. Gdy przychodzili ludzie, Picasso przerywał pracę, rozmawiał i wypychał szybko w stronę schodów. Tylko Paul bezszelestnie wślizgiwał się i siadał na stołku. Otwierał na kolanach notatnik i pisał, jakby inspirował go sam fakt przebywania tam. Oddalał się po godzinie czy dwóch, nie zamieniwszy z przyjacielem ani słowa. Porozumiewali się w ciszy swojej pracy.

Ja także miałam swój stołek. Któregoś dnia Picasso podał mi mały czysty blejtram. Zrozumiałam, że mam podjąć wyzwanie. Czyż sam nie zgodził się obnażyć przede mną w najbardziej bezwstydney z postaw, twórcy zmagającego się ze swoim dziełem? Teraz moja kolej na wyjście z za parawanu. Moja niezręczność była bez znaczenia. Któż przed Nim nie wypadł niezręcznie? Liczyła się sama zmiana. Ujął moją

twarz i obdarzył pieśczołą - zjednoczył, rozczłonkował, zsublimował swoim talentem. Podobnie ja zawładnęłam jego twarzą, próbując zrobić mu portret. Ikona wyższego rzędu. Pomieszane na sposób picassowski ujęcia en face i z profilu. Picassowskie, powiadacie? Owszem, picassowskie. Nie chciałam dochodzić pierwszeństwa, lecz nie mogę nie zwrócić uwagi na fotomontaż, który zrealizowałam kilka lat wcześniej. Nałożenie na siebie dwóch negatywów nadało temu podwójnemu profilowi aurę już picassowską. Może zanim cię spotkałam, już kierowałeś moimi poszukiwaniami.

Muszę jeszcze dorzucić coś, co tylko ja sama mogę poświadczyć. Ten portret Picassa, który namalowałam w 1937 roku, niewielu ludzi widziało i nikt nie mógł przeprowadzić porównania z obrazem mistrza datowanym 22 marca 1938, a zatytułowanym Artysta przed swoim płótnem. Tak, wielki Picasso wprowadził do swojego dzieła przedstawiający go mój rysunek, który zrobiłam rok wcześniej. Dostrzegam ironię obecną w tytule tego dzieła: Artysta przed swoim płótnem. O ile Picasso całe swoje życie poświęcił sztuce, o tyle wcale nie cenił słowa Artysta, a jeszcze mniej słowa Artysta malarz. Z trudem je wymawia, gdyż sądzi, że zmusza do strojenia się w szyderczą majuskułę i do przyjmowania pozy, postawy „iworyny”. A jednak ów Artysta przed swoim płótnem mocno przypomina autoportret. Wyłania się z niego wielki człowiek, który chce spojrzeć na siebie moimi oczami i to właśnie porusza mnie bardziej niż wszystko inne. W ten sposób za jednym zamachem zostaje przekreślonych kilka głupich plotek.

A czego nie powiedziano o tych Płaczących kobietach, inspirowanych moją twarzą i wykrzywających ją w spazmie cierpienia? Dora Maar płacze, gryzie chusteczkę i wystawia gargulcowy jęzor. Jej palce przypominają haki. Jej oczy mają kształt łez. Podziurawione długimi gwoździami. Jej czoło

wygina się, zarysowuje jak stary spękany asfalt. Gdzie jest ta piękna młoda kobieta, która zdołała przetrzymać Bataille'a i jego sadomistyczne doświadczenia? Mówią, że Pablo ją bije, że stosuje wobec niej niesłychaną przemoc, prawdziwy Hiszpan, prawda? Czyż swojej pierwszej żony nie doprowadził do szaleństwa? Gadajcie, gadajcie, i tak nic z tego nie zostanie. Geniusz malarza unieważnia wasze słowa. Płacząca kobieta? Płacząca kobieta? Przecież Picasso namalował tyle innych kobiet we łzach, nie tylko mnie! Z tym, że ja bardzo chcę być Płaczącą kobietą, mało tego, upominam się o nią. Dowody? Trzeba poczekać, aż umrę, ażeby drzwi przy rue de Savoie 6 otworzyły się i w końcu wyłoniła się cała epoka sztuki Picassa, to znaczy kawał XX wieku. Nie możecie więc wiedzieć, że Picasso nie stworzył tej Płaczącej kobiety wbrew mojej woli, ale właśnie za moją zgodą. Zgodziłam się być medium wszystkich terażniejszych i przyszłych cierpień, tego pragnęłam. Dowody? Monetą tego handlu okazują się nasze własne twarze. Pierwszym rytym inicjacyjnym wyznaczającym mój powrót do malowania jest namalowany przeze mnie jego portret. Od czasów Mougins często malował mnie bądź rysował. Manifestacyjna miłość. Manifest miłości. W momencie zakończenia Guerniki, gdy staję się Płaczącą kobietą, śpieszę się, żeby pożyczyć mu tę podobną do mnie mater dolorosa. Ja także maluję kilka obrazów Płaczącej kobiety. Moim celem nie jest odzyskanie mojego wizerunku. Nie utraciłam go, ofiarowując go Pablowi. Moje postępowanie przypomina raczej poczynania malarza ikon, którego ręka pozwala prowadzić się Bogu. Ja pozwalam, by mój gest spełniał podwójną wolę. Wolę Pabla i wolę Dory. Jego i moją. Twarz odnajduje swoje źródłowe znaczenie. To, co ja widzę w innym, to, co on widzi we mnie. To, co ja od niego biorę, to, co on mi daje. Sfera erogenna na styku portretu i autoportretu,

osoby i siebie samego. To nie ja płaczę. Płaczę za innych. Łzy ofiarne za czas, któremu prawdziwych łez nie zabraknie.

W tym okresie uprawialiśmy wszelkiego rodzaju gry na cztery ręce. Przypominam sobie malowidła na szkle przedstawiające moją twarz. Uzyskiwaliśmy je poprzez zetknięcie z papierem światłoczułym - owym papierem ar - gentique, który Picasso przechrzczył na papier argentyński dla uczczenia mojego dzieciństwa spędzonego na antypodach. Tę technikę przejęłam od Mana Raya, z którym swego czasu dzieliłam pracownię. Polegała na tworzeniu obrazów na światłoczułym papierze bez posługiwania się aparatem fotograficznym. Picasso, mający nienasycony apetyt, eksperymentował z nią, nakładając mój portret olejny na szkło koronkowe, pióro ptaka, moją dłoń. Jaki był podział pracy? Nie chcieliśmy wiedzieć. Kwestię tę regulował Pablo. Były to Picamaary. Głowa Pica, tułów Maar. Chyba że było na odwrót. Chciałam pójść jeszcze dalej, by ukryć swoją irytację, i zaproponowałam: Picamaar i Ska? Nie, uciał, Picamaar. Samo Picamaar, jako ktoś wielki. Picamaar to straszny siłacz, który gwizdże na wszystkie spółki.

Kobieta płacząca ośmiela się przemówić, w czasach, gdy świat zmierzał w stronę zguby, ona była szczęśliwa. Nawet nie radosna apokalipsa, jak w Wiedniu przed poprzednią katastrofą. Preludium, jakim była Guernica, wprowadzało nutę tragiczną, a my byliśmy w miejscu, w którym mogliśmy ją słyszeć. Były to jednak lata naszej miłości i Kobieta płacząca była szczęśliwa. Wiem, że nie wypada głosić takiej prawdy, gdy się pretenduje do miana Kobiety płaczącej. Zapytajmy o Pietę Michała Anioła, czy obcowała z hołotą w burdelach Trastevere? Albo o Olimpię Maneta, która naprawdę nazywała się Victorine Meurant, czy była dziewczicą? No dobrze! Kobieta płacząca Picassa nie jest tym, kim sądzicie. Dynamit

cierpienia rozsadził jej twarz, w rzeczywistości jest kobietą, która kocha, która cieszy się i która tworzy.

Wiedziała dobrze, że niebezpieczeństwo nadciąga. Była rewolucjonistką w grupie Contre - Attaque. Oczywiście, jej słowa sięgają dalej niż jej czyny, ale to ona z pomocą Eluarda skłoniła Picassa do zajęcia wyraźnego stanowiska po stronie broniących republiki współrodaków. Jest zapaloną bojowniczką tyleż porywczą, co efemeryczną.

Miłość rozerwała jej istotę. Stała się Chimera. Stała się ohydny zlepek źle dobranych kawałków. Pod twarzą Kobiety płaczącej Picasso mógłby namalować krągłe i ciepłe ciało, moje ciało, jeszcze omdlewające od uścisków, jego uścisków. W tych mrocznych latach byłam Kobieta płaczącą, a zarazem kobietą radosną.

Paradoks Dory. Jakże mogłam tak żyć pod prąd? Gdy przerażenie rozluźni swoje kleszcze i Paryż zostanie wyzwolony, pogrążę się w przeraźliwych otchłaniach, gdzie nie wiadomo, kim się jest, gdzie strata drugiego człowieka sama staje się karą.

Spójrz, jak silna jest miłość, Nie bądź mi, życie, męczarnią, Jedno ci tylko zostało, Zgubić się, by się odnaleźć.

Powiedziałeś mi, że w Guernice niosłam światło. A więc tak mnie widziałeś. Z latarnią w ręku, poszukującą wyjścia pośród rzezi. Ale byłam też tobą, ponieważ przejęłam twój gest. Bo przecież na długo przed Grands - Augustins, gdy jeszcze mieszkałeś na rue La Boetie, wyszłam od ciebie kiedyś w nocy, by dotrzeć do mieszkania rodziców przy rue de Savoie 6. Ciało wychylone nad poręczą schodów, ty oświetlałeś mi drogę osłoniętą lampą.

Oglądam klisze z Guerniką, które wykonałam na różnych stacjach tej drogi krzyżowej, jest na nich kobieta z osłoniętą lampą, niezmiennie, od pierwszego po ostatni. Wokół niej wszystko się zmienia, koń, byk, żołnierz, inne kobiety. Można

by powiedzieć, że różne komponenty obrazu będą układały swoje powiązania właśnie wokół tej nieruchomej osi.

W Menerbes, jak co wieczór, po zamknięciu zeszytu, w którym piszę, podejść do okna i powtórzyć gest z Guerniki. Moja lampa oświetla tylko twoje wspomnienie, które jej nie potrzebuje. Ze szczytu mojego małego fortu domyślam się w dole winnic i ferm, radosnego wakacyjnego zziajania i całej równiny w ciepłe i skwierczeniu lata. Morze, nawet morza mi już nie brakuje. Jakże mogłam tak ganiać? Dzisiaj odpowiada mi bezruch. Czasami zastanawiam się, czy nie zapomnę oddychać.

Jutro może ruszę do Avignonu. Może pójść zobaczyć w pałacu papieża twoją wystawę. Nie żyjesz od trzech miesięcy. Dlaczego wybiegłeś tak daleko przede mną?

VI

Rok 39 zaczął się źle. Picassa przykuła do łóżka rwa kulszowa, a trudno o gorszego chorego niż on. Prosi, żebym przychodziła i wieczorami dotrzymywała mu towarzystwa. Nawet jeśli tego ode mnie nie wymagał, i tak bym to robiła. Pod warunkiem, że wstępu na Grands - Augustins nie zakazywał mi Sabartes. Ponownie przejął służbę przy Picassie w pełnym wymiarze - jako sekretarz, archiwista, powiernik, osobisty ochroniarz, popychadło... Muszę przyznać, że te rozliczne funkcje wypełniał z całkowitym oddaniem i samozaparciem. Na powitanie Picasso miał dla mnie całą antologię cierpkich powiedzonek: Więc przyszedłeś zobaczyć leżącego człowieka? Jak to się mówi po ichniemu? Obłożnie chorego, o właśnie! Co ci to da, takiej młodej, że poprawisz poduszkę obłożnie choremu? Staralam się nie mówić o jego chorobie i żeby go rozerwać, sięgałam do mojego rezerwuaru anegdot. Zdarzyło mi się nawet przed przyjściem do niego obdzwaniać przyjaciół, czy wpaść do Flore, żeby tę moją codzienną kronikę zaopatrzyć w najświeższe wiadomości. Przepadał za tymi plotkami z półświatka, z których nie uronił nigdy ani słowa. To nie przeszkadzało mu zarzucać mi potem powierzchowności. Czyż nie cierpiał jak zwierzę? A ja, obojętna, tylko przy nim szczebiotałam.

Ledwie wyzdrowiał, a już pod koniec stycznia dowiedział się, że Barcelona padła, a dwa dni później, że jego matka zmarła w chwili, gdy frankistowskie oddziały szykowały się do wejścia do miasta. W jednym momencie stracił i matkę, i kraj. Ani matki, ani kraju nigdy już nie ujrzał. Trawił go strach.

Jego malarstwo staje się przerażające. Tak kocha zwierzęta, przecież nie może bez nich żyć, a na płótnie przemienia je w apokaliptyczne bestie. Jest tu wszystko. Koguty, głowy baranów i koty o morderczych szponach.

Świat zaczyna szczyrzyć zęby w grymasie, a Picassa ogarnia panika. Wieszczy. Paryż ma zostać zbombardowany, a wszystkie jego obrazy zniszczone. Szczęście jeszcze, że tego roku wystawia się je wszędzie za granicą. W Londynie, Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles. Te dzieła przynajmniej unikną losu zniszczonego Paryża. Guernica już przed rokiem opuściła Francję. Pokazywano ją w Londynie, Leeds i Liverpoolu. Rzuciły się tłumy. I wbrew wszelkim oczekiwaniom okazała się wielkim sukcesem. Na masową skalę. W 1939 roku Guernica ląduje w Nowym Jorku, w Museum of Modern Art. Picassowi nawet przez myśl nie przejdzie, że nie ujrzy już Hiszpanii i że trzydzieści cztery lata później, w chwili jego śmierci, obraz ten wciąż będzie się znajdował na Manhattanie.

Niepokój wzmaga się pod koniec dnia. Picasso nie chce, żeby zapalano światło. Rozbija się po pokojach przy Grands - Augustins, choć są tak pozostawiane, i powtarza słowa Rimbauda: jakież spustoszenie w ogrodzie piękna!

Lato nie olśniewało blaskiem poranków w Mougins. Skąd ten jego dziwaczny pomysł, żeby przyjąć zaproszenie od Mana Raya? Man Ray miał wielkie mieszkanie na siódmym piętrze nieruchomości w Antibes i użyczył nam je na czas trwania wakacji.

Mimo wspaniałego widoku, od razu zatęskniłam za hotelem Vaste - Horizon, jego tarasem osłoniętym matami, gdzie Paul godzinami rozmawiał z Picassem, a Nush tańczyła dla nas jak w czasach Grand - Guignol. Tęsknię za Lee, piękną Lee Miller. Rok wcześniej, w Mougins, wyruszyłyśmy we dwie na fotograficzne łowy i szczerkałyśmy na przemian wyzwalaczami naszych aparatów, opuszczając je dopiero wtedy, gdy nawzajem zrobiłyśmy sobie zdjęcia. Kochani przyjaciele, co z nimi? Został już tylko Sabartes, który łązi

wszędzie za Picassem z rozradowaną miną damy do towarzystwa prosto z Escorialu.

Niedługo po naszym przyjeździe do Antibes dowiadujemy się o śmierci Ambroise Vollarda. Niewiarygodna śmierć jak na marszanda. Spał sobie spokojnie w samochodzie. Prowadził Marcel. Jego kierowca także miał na imię Marcel, zresztą Picasso będzie się zastanawiał nad zmianą kierowcy, żeby oddalić klątwę ciążyącą na imieniu, ale się rozmyśli, jest przywiązany do swojego Marcela. Tego dnia Vollard przewoził niewielką rzeźbę Maillola, którą kazał umieścić na tylnym siedzeniu. Samochód gwałtownie skręcił i rzeźba uderzyła go w głowę. Zmarł nazajutrz w nocy w wersalskiej klinice. Sztuka, która była jego życiem, przyniosła mu również śmierć.

Przypomniał nam się ten jego portret namalowany przez Picassa na wiosnę 1910 roku, najlepszy obraz okresu kubistycznego. Picasso zaszokowany tym nedorzecznym wypadkiem powrócił na kilka dni do Paryża z Marcelem i Sabartesem. Uroczysty pogrzeb odbył się w Saint - Clotilde.

15 sierpnia Picasso kończy swój ostatni obraz w okresie międzywojennym. Mieliśmy jedną wojnę za sobą i nie wiedzieliśmy, że za kilka dni zacznie się druga. Boimy się jej. Nieuchronne odliczanie do końca. Obraz nosi tytuł Nocny połów w Antibes; ostatni wizerunek dawnego życia. Przypomina mi się nawiedzające mnie przecucie. Chciałam je przemilczeć, lecz musiało być na tyle jawne, że Picasso mnie ostrzega. „Proszę cię, nie powiększaj tragedii. Nie mów mi, że to się źle skończy. Popatrz, namalowałem cię, beztroską, po prawej stronie obrazu, z twoim rowerem, liżesz loda w rożku, dwie kulki. Czy życie w Antibes nie jest piękne? Nie jesteś już Kobieta płaczącą. Nie jesteś Kasandrą. Jesteś radosną młodą kobietą na wakacjach, w Antibes”.

To wersja różowa. Wiem, że nie wierzył w ani jedno słowo. On wie, że ja wiem, i to właśnie sprawia, że moja obecność staje się dla niego czasem nieznośna. Nocny połów w Antibes to nie jakaś malownicza scenka. Strukturą przypomina Guernikę. Tylko reflektor służący do nocnego połowu zastąpił moją osłoniętą lampę. Kolory mroczne, ale nie tylko z powodu nocy. Panuje jakiś niepokój.

Tydzień później pakt niemiecko - sowiecki. Po dwóch dniach, 25 sierpnia, uciekamy z Antibes. Picasso ze mną i Sabartesem jedzie pociągiem. Marcel z obrazami, materiałem, bagażami zabiera się z powrotem hispano. Świat się rozpada.

Picasso nie jest żołnierzem. Ubrał się w mundur tylko do jednej fotografii. W 1909 robi sobie zdjęcie w uniformie swojego przyjaciela Georges'a Braque'a, który akurat odbywa służbę wojskową. W chwili wypowiedzenia wojny w 1914 ma trzydzieści trzy lata, ale nie podlega mobilizacji. Jest Hiszpanem. Guernica z hukiem ujawnia jego stanowisko przychylnie republikanom. Jedyłą jego bronią jest malarstwo. W 1939 roku nadal jest Hiszpanem, mimo że ostatecznie skazał się na to, że nigdy nie powróci do swojego kraju. Ponadto w chwili rozpoczęcia wojny będzie miał pięćdziesiąt osiem lat.

Jego stanowisko nie pozostawia cienia wątpliwości. Zresztą, Picasso nie ma wyboru. Jego malarstwo w oczach faszystów świadczy niedwuznacznie przeciwko niemu. Jest głównym przedstawicielem sztuki zdegenerowanej. Vlaminck i spółka po powrocie z podróży zorganizowanej przez propagandę niemiecką nie omieszkają go zadenuncjować w kolaboranckiej prasie. Picasso, w przeciwieństwie do swych licznych przyjaciół, ani przez chwilę nie bierze pod uwagę opuszczenia Francji. A przecież zaproszeń nie brakuje.

Od Guerniki jego stanowisko jest jasne. Wrogiem jest nazizm. Co do sytuacji osobistej, to streszcza się ona w dwóch

pytaniach. Czy mojej twórczości grozi unicestwienie? Czy będę mógł jeszcze pracować? Genialny artysta i obsesjonista - czyż geniusz to nie obsesja? - całe jego życie, od dzieciństwa po śmierć, przechodzi przez sito malarstwa. La piz to po hiszpańsku ołówek. Matka Picassa utrzymywała, że było to pierwsze słowo, które wypowiedział jej syn, jeszcze zanim powiedział mama i tata. Kilka miesięcy wcześniej, gdy umarła, Pablo wyznał mi także, że próbowała ona odwieść Olgę od małżeństwa z nim. Jej syn, tłumaczyła, jest już poślubiony. „Chyba żadna kobieta nie mogłaby być z nim szczęśliwa. On nie należy do nikogo, należy wyłącznie do malarstwa”. Powód był oczywisty i wyraźnie czułam, że przytacza te słowa, dodając do nich szczyptę okrucieństwa. Skoro cierpiał, to chciał, żebym ja także cierpiała. Tym sposobem panna młoda okryła się śmiesznością, a ja odnalazłam się w Płaczącej kobiecie czy - co gorsza - w Wielkiej nagiej, która się czesze.

Nigdy nie poznałam donii Marii Picasso y Lopez, matki Pabla, czego żałuję. Pewnie nie powiedziałyby mi niczego nowego. Niby wiedziałam, że jej syn całkowicie poświęcił się swojej sztuce i że sztuka mu to odwzajemniła. Ale czy naprawdę chce się wiedzieć, gdy się kocha?

Picasso niczego przede mną nie ukrywał. Zachowywał się tak, jakby uważał mnie za wystarczająco silną i inteligentną, bym stawiała czoło trudnym okolicznościom. Czyż nie znałam Georges'a Bataille'a? Czyż takie doświadczenie na zawsze już nie uodpornia nas na truciznę? Po co więc te ceregiele ze mną? Czyż na wysokich obcasach i w kapeluszu nie byłam o głowę wyższa od małego wielkiego człowieka? A jednak bywało, że cierpiałam. Nigdy nie powiedziałam mu o tym ani słowa. Zamykałam się w milczeniu tak zwanej silnej kobiety, którą nie byłam i która nie była w jego typie. Im bardziej milczałam, tym usilniej poprzez mój wizerunek wyrażał to,

czego nie chciałam wyznać. Twarz, w jaką mnie wyposażał, często bardziej przypominała moją wewnętrzną rzeczywistość niż ta opanowana, wystudiowana, umalowana, którą ja sama zwracałam ku innym. W tym był bezwstyd, ale nigdy w nagości.

Na wieść o wypowiedzeniu wojny wyruszamy do Royan. Dlaczego Royan? Dlatego, że tam właśnie na wakacjach przebywają Marie - Therese z Mayą, a Picasso uznał, że będzie spokojniejszy, gdy tam zostaną.

Przy Grands - Augustins próbujemy pozbierać i ukryć prace. Picassa prześladowa myśl o bombardowaniach. Powtarza, że najpierw ucierpi ludność cywilna. Jak w Guernice. Mówi też, że tylko w jednym miejscu jego prace będą całkowicie bezpieczne, w lochach Luwru. Notre - Dame i Luwr są pod ochroną; nie ośmielą się. „Ale po co się łudzić? Skoro nie ma już prawa do ściany w Luwrze, no to lochy....! Ja, którego świętej pamięci republika hiszpańska mianowałaby dyrektorem Prado, zostałem odrzucony przez Luwr!”.

Trzeba działać szybko. Max Ernst jako Niemiec zostaje internowany niedaleko Aix - en - Provence. Eluard, pomimo swoich czterdziestu czterech lat i słabutkiego zdrowia, ponownie zostaje porucznikiem Eugenem Grindelem. A jednak to właśnie Eluard pisze do prezydenta Republiki, Alberta Lebruna, z prośbą o uwolnienie Maxa Ernsta, do której tamten się przychylił.

Picasso niecierpliwi się. Trzeba wyjeżdżać. Urządzić się gdziekolwiek. Tylko jedno się liczy. Praca. Troska o przechowanie wcześniejszych dzieł nie może dłużej zakłócać przyszłej pracy. Wszystko upchnięte w naszym hispano. Sprzętu po dach, pies Kazbek, Sabartes i jego żona, Picasso i Dora. Marcel prowadzi. Kierunek Royan. Jedziemy nocą.

U kresu długiej podróży Atlantyk. Jak najdalej od linii Maginota. Hotel nosi dziwną nazwę, nie wiem już, skąd się

wzięła. Hotel Tygrys. Zaraz po przyjeździe Picasso zabiera się do pracy. Co najwyżej rzuci okiem przez okno. Jego ironiczny komentarz: „Prawdziwe marzenie dla artysty malarza!”.

W rzeczywistości oboje nieprzerwanie kursujemy z Royan na Grands - Augustins. W Paryżu, jako obcokrajowiec, Picasso musi respektować zarządzenia administracji. Korzystam, żeby wpaść do rodziców, gdzie moja matka przyjmuje mnie coraz gorzej. To według niej skandal, że żyję z mężczyzną, który nie jest moim mężem. A poza tym, czy nie jest dwa razy starszy ode mnie? Nigdy nie omieszka też dodać, że jego „popularność” - upodobała sobie to słowo - że ta jego popularność niczego nie zmienia. Jestem ofiarą tego człowieka, tak jak ona sama od zawsze była ofiarą mojego ojca. Stara historia. Moje dzieciństwo to poufne zwierzenia, którymi karmiła mnie niczym gęś kulkami. Zdecydowanie za późno uwolniłam się od niej. Poza tym nasze rozmowy miały ustalony przebieg. Za każdym razem czekam na jedno pytanie. Czy ten wielce popularny człowiek zdecyduje się kiedyś na rozwód z tą swoją Słowianką? Chodzi oczywiście o Olgę. Moja matka bardzo dobrze wie, że ja nie omieszkać odparować identycznym pytaniem:

- A ty? Kiedy ty się rozwiedziesz z tym swoim Słowianinem?

- Jestem katoliczką. O rozwodzie nie ma mowy, nawet ze Słowianinem. A poza tym, Doro, to twój ojciec. Podtrzymałam to wszystko dla ciebie. Potrzebowałam ojca. Nie pamiętasz, przez co przeszłam. Na pewno nie pamiętasz. Byłaś za mała, nie możesz tego pamiętać...

Tak, mamó. Pamiętam. Wiem więcej, niż myślisz. W Buenos Aires słyszałam w moim pokoju wszystko, co działo się w sąsiednich pomieszczeniach. Zamiast nadstawiać ucha, często zagłuszałam odgłosy. Choć najchętniej ściszyłabym wszelkie odgłosy, tak jak w swoim radiu, które w Menerbes

towarzyszy mi wszędzie. Sceny zazdrości, imiona kobiet, przebijające się przez przeszkloną ścianę oddzielającą mój pokój od salonu. Wiedziałam, że nazajutrz rano moja matka pośpieszy z opowiedzeniem mi o swoich podejrzeniach i niezbitych dowodach. Nie sposób, by ojciec spotkał kobietę i matka od razu nie bredziła o romansie. Być może tango pomieszało jej w głowie.

Nie miałam pewnie nawet pięciu lat, gdy uczyniła ze mnie powiernicę swych cierpień. Mój ojciec, przyłapując nas na szeptach, uznał, że stoi na straconych pozycjach. Sprzymierzyłam się z matką przeciwko niemu. Wiele razy próbowali się rozejść, ale nigdy im się to nie udało. Ta powieść w odcinkach o wielu punktach zwrotnych była dramatem mojego dzieciństwa i wieku dojrzewania. Nowe odcinki miały rozegrać się jeszcze w Paryżu. Po pozornych odejściach i prawdziwych powrotach mój ojciec wreszcie odnalazł swój rytm. Od czasu do czasu wyprowadzał się z rue de Savoie i zamieszkiwał w hotelu. Ale wciąż nad nami czuwał.

Zazwyczaj przemieszkiwał w hotelu Palais - d'Orsay, kilkaset metrów od małżeńskiego mieszkania. Powracał stamtąd jak z wielkiej podróży i ponownie wprowadzał się na rue de Savoie, przynosząc upominek dla mojej matki i upominek dla mnie. Jego kaprysy ustały z wybuchem wojny. Jestem przekonana, że w hotelu d'Orsay nie robił nic naganego moralnie. Pewnie miał ochotę pobyć sam ze sobą, z dala od wymówek matki, w pobliżu dworca, który przywodził mu na myśl młodzieńcze podróże. Gdy owdowiał, ostatecznie zamieszkał w hotelu, pozostawiając mi mieszkanie przy rue de Savoie. Przeżył tam dwadzieścia pięć lat. Co niedzielę spożywaliśmy wspólnie śniadanie w restauracji Lutecja. Tak długo się kochaliśmy.

W Royan Marie - Therese zajmowała willę Gerbier - des - Joncs. Picasso i ja mieszkaliśmy w hotelu Tygrys. Poza tym zimą 40 roku wynajął mieszkanie w willi Les Voiliers od strony morza, które służyło mu jako pracownia. Kadet Rousselle miał więc trzy domy w niewielkim, dość martwym miasteczku. Mimo że bardzo zrecznie zmieniał obozy, nieszczęśliwie się składało, że Marie - Therese i ja spotykałyśmy się. Tym częściej, że moja przyjaciółka Jacqueline Lamba, szalona miłość Andre Bretona, przyjechała nas odwiedzić do Royan, i że jej córka Aube bardzo się zaprzyjaźniła z Mayą. Trzeba było robić dobrą minę do złej gry i kierować się pragnieniami dzieci. Między Marie - Therese a mną napięcie złagodniało w porównaniu ze spotkaniem na Grands - Augustins, które zakończyło się bójką. Czarująca Jacqueline umiała zażegnawać konflikty.

Jakże piękne miałam wtedy przyjaciółki. Gdzie jesteście: Nush, Lee Miller, Jacqueline Lamba? Oczy mnie już zawodzą? Jestem już otepiałą staruszką? Nie widuje się dzisiaj takich piękności, nawet w kinie.

Któregoś dnia Picasso, wiedząc, że po południu spotkałam Mayę z małą Aube, zapytał mnie: Czy to ci nie daje do myślenia? Okazuje się, że właśnie mnie narysował, czułą, łagodną, jak w pierwszych chwilach w Mougins. Zanim powtórzył, podsunął mi rysunek: Czy to ci niczego nie nasuwa? Nie odpowiedziałam. Nie mogłam mu powiedzieć, że zamiast mi coś sugerować, przykład Marie - Therese nie pozwalał mi jej naśladować. Nie żeby Maya nie wydawała mi się najbardziej rozkosznym dzieciakiem, ale że nie podobał mi się sposób, w jaki Marie - Therese wykorzystywała swoją córkę, żeby zatrzymać jej ojca. Niewątpliwie to moja zazdrość, choć z niechęcią się do niej przyznaję, sprawiła, że jestem tak surowa w stosunku do Marie - Therese. Być w wieku siedemnastu lat ukrywaną kochanką sławnego

człowieka, a potem zostać, nadal incognito, matką dziecka formalnie nieposiadającego ojca - z niesmakiem wyrażano się w tamtych czasach o pannach z dzieckiem - nie było oczywiście łatwo. Z pewnością naprawdę go kochała i wyniosłe lekceważyła plotki. Widywałam ją często, jak w środku zimy bawiła się ze swoją córką na plaży w Royan. Wielka, jasna, kragła, wydawało się, że kwitnie w świecie należącym wyłącznie do niej, Picassowska niema kąpiąca się kobieta z lat trzydziestych.

Nie bez racji podkreślał, że Marie - Therese kochała w nim człowieka, nie malarza. Malarza nie znała, nie chciała znać. Zresztą, prawie to samo można by powiedzieć na temat Olgi. Ledwie dostrzegła w nim malarza, a już chciała, żeby się zmienił. Zwłaszcza, żeby nie był taki, jak jest. Chciała innego, który malowałby w sposób bardziej akademicki, uładowy. Precz z geniuszem, który wszystko na swej drodze obala, niech żyje konwencja i podobieństwo! O ile Marie - Therese starała się nie zwracać uwagi na to, co malarz wyczyniał z jej wizerunkiem, o tyle Olga nie godziła się na zniewalanie. Jedna dała mu chłopca, druga dziewczynkę. Ale żadna nie powstrzymała triumfującej ręki, ramienia, umysłu Picassa. Geniusz musi pędzić przed siebie, drogie panie. Zamiast serca ma pędzel. Nie zamiast narządu płciowego. U źródeł słowa pędzel, pinceau jest peniculus, po łacinie mały penis. Jeśli chodzi o Picassa, to zdrobnienie było bardziej rozczulające niż realistyczne.

Duma. To prawda, że chciałam, żeby mnie kochał, ale kochał dla mnie samej. Picamaar było dziełem, a nie dzieckiem. Poza tym czułam, że nie mam prawa angażować losu niewinnej istoty w historię, którą przeżywałam tak namiętnie, że nie wiedziałam, czy, a tym bardziej jaki, będzie jej koniec. W oku cyklonu nie sposób planować przyszłości.

- Czy to ci nie daje do myślenia?

Ucinam, odpowiadając, że wojna to nie czas na rodzenie dzieci.

- Przy takim ojcu jak ja dziecko nic nie ryzykuje. Zamilkłam, a jemu ta moja cisza się nie spodobała.

- Jesteś jedyną kobietą, która zważyła w moją twórczość.

- Twoją twórczość?

- Tak, w moich synów i moje córki. Nie są moimi dziełami? Dziełami niewymagającymi poprawek!

- Nie wątpię ani w twoją twórczość, ani w twoje dzieło. Zwłaszcza w twoje dzieło...

- Moje dzieło, moje dzieło... Co z tego zostanie po wojnie? A wojna, skończy się kiedyś? Zbliżam się do sześćdziesiątki, Doro, i w najgorszych chwilach nigdy naprawdę nie bałam się, że się mylę. Bywały kryzysy. Nieuchronne, przerażające. Im człowiek młodszy, tym trudniej je przewyciężyć. Ale nigdy nie bałam się, że idę niewłaściwą drogą, ponieważ była to moja droga. Bywały poprawki, obrazy poniechane, i nieukończoność nieuchronnie okazała się regułą. Dzieło nie ma końca. Nigdy, nigdy, nawet gdy ramię i mózg słabły z wyczerpania, a głowę rozsadzało, jakby kielkowała w niej fasola, nigdy, nawet przy Pannach czy Portrecie Gertrudy Stein, nie przestawałem myśleć, że to moja droga, że ostatecznie ją znalazłem, że nie powinna być inna i że to lepiej, jeśli zaskakiwała mnie samego. Trudność pochodziła od innych. Nie byli przygotowani do odbioru Panien. Ci, którzy mnie kochali, uważali, że zwariowałem, albo bali się, że popełnię samobójstwo. Dzieło przerażało. Czyżby fetysz miał zabić kapłana?

Nie miałem zamiaru kończyć swojego żywota. Na sprzymierzeńca musiałem wziąć czas. Musiałem go zdobyć, zachować, wykorzystać. To był obowiązek. Weźmy Tycjana, który rozwijał swoje dzieło przez blisko sto lat, i

nieszczęsnego Giorgione, który nawet nie przekroczył trzydziestki.

Dzisiaj boję się, że ujrzę ruinę wszystkiego, co dzięki mojej sile w ciągu czterdziestu lat przeniknęło ze mnie na zewnątrz. Kto pamięta, że w starożytnej Grecji byli jacyś malarze? Ich dzieła zostały starte. A ich unicestwienie wymagało wieków. Jeśli chodzi o moje, to bóg Guerniki może osiągnąć swój cel po kilku bombardowaniach.

Istniał tylko jeden sposób na ten strach. Zabrać się z powrotem do pracy. Nić łącząca go z jego dziełem musiała pozostać napięta.

Jest piękny maj. W Paryżu spotykamy Paula na przepustce. 10 maja oddziały niemieckie atakują Holandię i Belgię. 13 następuje początek końca. Spotykamy Matisse'a, który idzie do krawca. On też nie chce opuszczać Francji. Nie wie, że front właśnie został przerwany.

- No a nasi generałowie, co robią? Picasso odpowiada z powagą:

- Nasi generałowie to akademia sztuk pięknych!

16 maja wyruszamy z powrotem do Royan. Z północy Francji nadciągają belgijscy uciekinierzy. Okropny exodus.

Picasso zabiera się do wstępnych rysunków do Nagiej czeszącej się kobiety. Olbrzymka. Monstrum. Mierzy wzrokiem, wygina się i tupie nogami. Pierś pod ramieniem, druga ponad barkiem. Wzdęty brzuch, sterczące żebra. Makijaż twarzy akcentuje rozwiązłość. To matka Ubu, która przechodząc, niszczy wszystko. Kobieta o wdzięku czołgu. Ohydna. Pretensjonalna. Portret uchwycony z dołu. Wykolejony wamp. Ikona spustoszenia. Picasso nie dowodzi. On demonstruje. Demonstruje monstrum. Jest czerwiec 40 roku.

VII

Royan nie interesowało go. Czuł się więźniem historii.

Gdy nadeszło lato 40 roku, nieszczęśliwi uchodźcy nie przejawiali chęci podziwiania rozświetnionej perspektywy Grande Cote, markiz w czerwono - białe pasy. Armia niemiecka już defilowała po Polach Elizejskich. Lato przestało być latem, a my straciliśmy ochotę na wczasy. Zeszłego roku byliśmy w Antibes, kochanie moje. Zeszłego roku nie wiedzieliśmy. Zeszłego roku nie było ani wojny, ani klęski.

Nagle, 11 września, twórca Guerniki rysuje dwa autoportrety. Niewielkie miałyoby to znaczenie, gdyby nie fakt, że Picasso od śmierci Apollinaire'a unikał własnego wizerunku. Jego przyjaciela powaliła hiszpanka w przeddzień zawieszenia broni w 1918 roku. Obserwując się w lustrze w hotelu Lutecja, gdzie dotarła do niego feralna wiadomość, Picasso poprzysiągł sobie, że już nie będzie robił autoportretów. Stracił i przyjaciela, i swój wizerunek. Wraz z drugą wojną odnajduje swoje odbicie w Royan, w odmęcie identycznej rozpacz i identycznej samotności. Czyż wojna nie rozwiązuje istnień i nie rozluźnia objęć? Picasso mi się wymyka, czułam to. Nigdy do mnie nie należał.

Były jednak chwile, gdy nasz związek można było porównać „do świec, które stoją tak blisko, że świecą jednym światłem, choć można je od siebie oddzielić; powiedziałabym jeszcze, jak płomień, knot i воск tworzące jedną świecę, które mogą jednak się oddzielić i odrębnie istnieć". To Teresa z Avila w Twierdzy wewnętrznej.

Przed opuszczeniem Royan na zawsze obejrzał wreszcie miasto. 15 sierpnia 40 maluje Le Bar des Bains, słynną kawiarnię znajdującą się w centrum życia towarzyskiego. Wakacyjny banał? Nie, ostatni sygnał wysłany przez tonący okręt. Nostalgia jako przecucie tego, co najgorsze. Albowiem wszystko zostanie zrównane z ziemią. Nie zostanie nic.

Kasyno rozbite na dwie części, domy zawalone, strawione przez ogień. Miesiące walk. Całe setki zabitych. A pośrodku tego rumowiska absurd toczący okropieństwo. I przenikające je podejrzenie: czy ta wielka rozwałka była potrzebna?

Powróciłam do Royan po jakichś dziesięciu, może więcej, latach. Zawsze byłeś w moim życiu i nigdy w nim być nie przestaniesz, ale ja w twoim byłam już nieobecna, a miasto, w którym się kochaliśmy, zniknęło. Słońce, morze, ogromna plaża, markizy w białe - czerwone pasy, krzyki dzieci. Było wszystko. Oprócz ciebie. Wszystko, oprócz Royan.

Czytałam o tym, co się stało. Historia bardzo sławnego atlantyckiego „worka”. Lecz na miejscu przypomniały mi o tym wszystkie głosy. We wrześniu 44 krajowe siły francuskie okrążyły Royan, gdzie przebywało pięć tysięcy Niemców, którzy blokowali port w Bordeaux, oraz osiem tysięcy uwięzionych tam cywilów. Oddziałom z Atlantyku nie udało się wziąć miasta. 5 stycznia 45 roku Royal Air Force unicestwiła miasto, nie niszcząc niemieckich sił obronnych. Anglicy, Francuzi i Amerykanie zwałali na siebie odpowiedzialność za to niepotrzebne bombardowanie. Siły FFI przyspuściły szturm regularnymi oddziałami, ale bez skutku. 15 kwietnia Royan zostało zbombardowane przez Amerykanów, którzy przy okazji przeprowadzili eksperyment z napalmem: 725 tysiącami litrów spuszczonego na Royan. W końcu alianci weszli do miasta, z którego nie zostało już nic. To nic nieprzerwanie płonęło.

Chociaż patrzyłam na nowe miasto, nie widziałam go. Co gorsza, nie udało mi się już zrekonstruować w myśli tego, które kiedyś istniało. Dawna plaża. Bar des Bains. Marie - Therese i Maya. Picasso w willi Les Voiliers. I ja na moim rowerze, paleta i przybory w bagażniku. Zadbłam o to, by mu powiedzieć, o której będę przejeżdżać rowerem na spacer, i widziałam, jak Picasso rozsuwa zasłony na drugim piętrze i

daje mi znak. Potem nieoczekiwane nadeszli Niemcy i wówczas w pięknej bombonierce pozostała już tylko śmiertelna trucizna.

Nic z tego nie zapomniałam. Mogę odnaleźć najdrobniejszy szczegół. A jednak na miejscu wszystko mi umknęło. Pozostała tylko ta widmowa sceneria mojej własnej historii, będąca tym, czym dla materii jest zapewne antymateria. Ocknięcie się po elektrowstrząsach. Cierpienie i zapomnienie w ogrodach Sainte - Anne. Umysły, tak samo jak miasta, mają swoje bomby zapalające.

Ażeby lepiej określić to uczucie pustki, zaniku pomieszanego ze znużeniem, mogłabym przywołać jego przeciwieństwo. Przeciwieństwem męczeńskiego Royan był Awinion, trwały i wietrzny Awinion, Awinion tętniący życiem, gdy Picasso wystawiał w pałacu papieskim. Obfitość i energia. I ta euforia, poczucie, że wraca się do domu, odnajduje się to, czego nigdy nie chciało się opuścić.

Dwukrotnie widziałam Awinion odmalowany w kolorach malarza. Dwukrotnie zapragnęłam w pojedynkę go odwiedzić. Lato 70 roku. On żyje, a ja nie widziałam go od piętnastu lat. Lato 73 roku. On już nie żyje. Na ostatnim autoportrecie po hiszpańsku patrzy śmierci w twarz. Wyzywa ją. Zwykle kolorowe ołówki tego rysunku z krańca świata. Otchłanie między życiem i śmiercią. Szczyt skrajności. Twoje spojrzenie, wciąż twoje, otchłanne bardziej niż kiedykolwiek. Czy wreszcie dostrzega to, czego zawsze szukałeś, a co nazywałeś nieznanym? Inni nazywają to nieskończonym.

Ani krztyny smutku w tej twojej wystawie. Gdy na nią poszłam, mijał właśnie cały tydzień, widziałam sarabandę życia tańczoną na pokrytych ochrą papieskich murach. Czyż nie mówiłeś, że przez całe życie dążyłeś do tego, żeby w końcu malować jak dziecko? W jednej z twoich ostatnich prac, Młody malarz, rozpoznałam chyba tę postać z fajką, z

rysunku w tuszu, który zrobiłeś u mnie na rue de Savoie, gdzie wciąż jest. To samo pogodne i wesołe oko, identyczne nakrycie głowy, coś pośredniego między kapeluszem muszkietera a czapką malarza.

Widziałam także Głowę - tu zniekształcenie dwóch części twarzy spowodowało wspomnienie końca lat 30, naszych lat. Ma moje włosy i moje ramiona. Ma twój nos, ten z twojego ostatniego autoportretu. Poza tym, co do tej Głowy, nie wiadomo dokładnie, czy chodzi o mężczyznę, czy kobietę. Dostrzegam tu spotkanie obojga. W obliczu śmierci nie ma już mężczyzn i kobiet. Na koniec obie płcie zespalają się ze sobą.

W Awinionie nikt mi nie towarzyszył, a jednak nie byłam tam sama. Może i mnie trzeba było całego życia, bym stała się dzieckiem.

VIII

Na Grands - Augustins zmieniły się przydziały Marcela. Ani benzyny, ani hispano. Chciałoby się powiedzieć: nie ma hispano, nie ma Marcela. Błąd. Marcelowi idealnie udało się przestawić. Samochód utknął w garażu z braku paliwa, lecz Marcel podwoił swoją aktywność. Niczym skazany na pozostanie na łodzi marynarz, który jeszcze długo chodzi kołyszącym się krokiem, przemierzał szybkim krokiem schody i korytarze. Przybory i obrazy ciasno dostawiał do ściany, obawiając się kolizji, walcząc z rozrastającymi się na wszystkie strony kłęczami twórczości i nieustannie wywracając ozdoby, usiłował przywrócić porządek, który nigdy nie istniał.

Nie próbuje udowodnić, że jest niezbędny, bo po prostu jest. Marcel przygotowuje płótna. Montuje ramy. Naciąga blejtramy. Na dużym drewnianym stole w pracowni układa w stosy otwarte płachty gazet. Picasso wykorzystuje je jako paletę. Farby, olej terpentynowy, olej lniany dzień w dzień nawarstwiają się. Znikają drukowane litery. Papier zamienia się w spēkany, pokryty grubą skorupą suchar. Marcel, trzeba się tego pozbyć i sfabrykować inny, Marcel, szybko, gazety!

Zorganizował z Sabartesem transport obrazów do bankowych sejfów. Nadzorował budowę wewnętrznych schodów, które uniezależniają ruch pomiędzy piętrami od ulicy Grands - Augustins. Udało mu się nawet wytrzasnąć duże piece, które rozstawił po pokojach. Rezultat był daleki od jego oczekiwań, tym bardziej że i węgla nie można było uświadczyc. Marcel błąka się po pokojach z termometrem w rękę i powtarza, wzdychając: Co za klęska! Co za klęska! Niebawem i kaloryfery staną się bezużyteczne, tak jak hispano. Picasso, słysząc jego utyskiwania, odpowiada niezawodnie, wciskając na uszy swój mały wełniany beret:

„Hiszpanowi nigdy nie jest zimno!”. I prawdą jest, że działanie go hartowało.

Widziałam, jak machinalnie zdejmował beret i rzucał go na ziemię, choć zęby szczękały z zimna. Widziałam, jak podwijał rękawy, żeby z powrotem zabrać się do roboty, a para buchała mu z pyska. Widziałam, jak Minotaur mroźną zimą otwierał okno, a żeby lepiej wykończyć dzieło, któremu i tak nie ma końca.

Znajduję się na znajomym terenie, mówi. To chłód mojej młodości. Dlatego właśnie nie dam się złapać w pułapkę. A chłód tak bardzo dawał mi się we znaki w Madrycie, nawet w Barcelonie. Nie miałem w kieszeni ani grosza na węgiel, a nikogo nie chciałem prosić. Zdarzało się, że aby się ogrzać, wrzucałem do pieca obrazy. I to żeby czyste blejtramy! Skądże, paliłem własne prace! Szaleniec, który chcąc wprawić lokomotywę w ruch, wrzuca jej do gardła banknoty. A teraz mam sposób. Hop, biorę głęboki wdech! Nie ma to jak dobrze przewietrzyć się i z nowymi siłami powrócić do walki.

Wieczorem rozgrzejemy się na pierwszym piętrze kawiarni Flore. To była nasza najdalsza podróż w ciągu tych trzech lat. Picasso zamawia pół butelki wody Evian, której nigdy nie pija. Zadowala się gauloise'ami palonymi jeden po drugim. Do swojej skórzanej kurtki przypiął od wewnątrz małą kieszonkę, w której trzyma nasze drobne i papierosy. Natomiast u Katalończyka, gdzie mniej więcej co dzień spożywamy śniadanie, tej kieszonki nawet nie otwiera. Patron nie chce jego pieniędzy, woli od czasu do czasu przyjąć dzieło mistrza.

Wracamy wcześniej, przed zaciemnieniem. Świat się skurczył. Picasso nie przyjmuje już żadnych zaproszeń. Nie godzi się na wystawianie swoich prac i próby nakłonienia go do tego tracą na natarczywości. Jego marszandzi musieli wyemigrować. Reżym Vichy uwierzytelnia pogląd, że Francję

zdemoralizowali jej artyści, metekowie pokroju Picassa. Niebawem w prasie pojawią się wzmianki o kolaboracji. Masowo zamyka się galerie, a w tych, które są otwarte, zmieniają się właściciele. Nowi starali się zapomnieć o metekach i zwalczać ducha dekadencji.

W następnym roku nie wyjdziemy już nawet na kieliszek do Flore czy na obiad do Lippa. Picasso nie ma ochoty na spotkania z Niemcami na bulwarze Saint - Germain. W porze śniadania u Katalończyka dołączają do nas przyjaciele. Restauracja mieści się na rogu rue du Pont - de - Lodi i Grands - Augustins, dokładnie naprzeciwko pracowni.

Ranek, jestem u siebie przy rue de Savoie, pracuję. O 13.30 dzwoni do mnie, żeby uprzedzić, że wychodzi. Odpowiadam, że jestem gotowa. Dzieli nas pięćdziesiąt metrów. Stukot moich drewnianych podeszew. Powstrzymuję pośpiech. Lubię, jak pierwszy pojawia się na rogu. Żeby mi się przypodobać, udaje, że się niecierpliwi. Nigdy nie mówimy sobie dzień dobry. Nasze mieszkania są tak blisko siebie, że przechodząc z jednego do drugiego mamy wrażenie, iż przemierzamy się we wspólnej przestrzeni. Zwłaszcza że pies Kazbek, który podąża za swoim panem niczym cień, cień wychudzony i niedorzeczny, zapewnia swego rodzaju zmysłową więź między nami.

Picasso twierdzi, że Kazbek, zwany panem K., nigdy się nie myli, zawsze niezawodnie odgaduje, gdy jego pan do mnie telefonuje. Gdy telefonuje do innych, pan K. nie reaguje, tułów przyklejony do dywanu, w który się wtapia swoją afgańską chudością. Ledwie Picasso wypowiada moje imię, Kazbek prostuje się na swoich długich pajęczych zreumatyzowanych łapach, prycha niecierpliwie i rozrzuca na wszystkie strony sierść O'Cedar. Nie żeby mnie tak bezgranicznie kochał, lecz widzi we mnie znak zapowiadający przyjemności. Nareszcie wyjdzie i choć droga jest krótka, to

on postara się ją sobie wydłużyć, ganiając w tę i z powrotem. A potem Katalończyk mu dogadza. Pan K. jest traktowany stosownie do swojej rangi, niższej oczywiście niż jego pana, lecz wyższej niż jego współbiesiadników. A to liczy się w czasach czarnego rynku. Pan K. baczy, by nie zdradzić się przed swoimi dobroczyńcami i utrzymuje swoją przeraźliwą chudość pomimo wszystkiego, co pożera.

W Royan Marcel zrobił obchód po masarniach w poszukiwaniu baranich mózdków, które pan K. wcina jeden po drugim. Picasso toleruje wszystkie swoje zwierzęta, psy, koty, mały czy ptaki. Żarłoczność pana K. wprawiła go w zakłopotanie. Oddawał się okrucieństwu, malując baranie głowy, którymi jego pies nieprzerwanie się żywił.

Faktycznie wszyscy mieliśmy coś z pana K. W obawie przed niedostatkami każdy zachowuje ostrożność. Tym sposobem Sabartes skłonił Picassa do odlania w brązie jego pięknych odlewów gipsowych, do zamiany ich mleczonego i kruchej ciała na solidny metal. Brąz stał się rarytasem. Armie okupanta wciąż pożerały go najwięcej. Odzyskiwano wszelkie metale, cynk z knajpek i postumentów posągów. Trzeba działać szybko.

W Boisgeloup wiele gipsowych odlewów poobijali francuscy żołnierze. Czy nie czas zabrać się do ratowania najbardziej kruchych prac? Picasso w końcu się zgodzi, gdy któregoś dnia dowie się, że zarekwirowany przez Niemców brąz idzie nie tylko na armaty. Idzie na zaopatrzenie pracowni Arno Brekera, oficjalnego artysty Trzeciej Rzeszy, z czego Jean Cocteau zrobił taką sprawę. Czyż rzeźbiarz Hitlera nie był pięknym chłopcem? Jego posągi nie zaszczycą męskiego akademizmu? W żyłach Picassa wrze krew. Lejmy, lejmy brąz. Przynajmniej nie dostanie się temu okropnemu Arno Brekerowi.

Nie wiem, gdzie się to zdarzyło. Wiem tylko, że było to w nocy i że do przetransportowania wszystkich prac wykorzystano wiele ręcznych wózków, które w drodze powrotnej były wyładowane bliźniaczymi odpowiednikami dzieł w brązie. Było takie małe piękne moje popiersie, którego brąz wydał się Picassowi za bardzo błyszczący. Ażeby go szybciej spatynować, wypróbował nowy sposób. Codziennie na niego sikał. Brąz nabrał paskudnego zielonkawego odcienia. Nie był to oczekiwany rezultat.

Czyżbyś dlatego stworzył drugie, by przeprosić za to, że sikałeś na mój wizerunek? To twarz młodej olbrzymki, która jest do mnie podobna, jakby była potężną i tajemniczą siostrą, kimś w rodzaju Ateny. Tak często malowałeś w transach cierpienia bądź miłości, a teraz noszę tę antyczną maskę łagodności.

Olbrzymka długo będzie królować na Grands - Augustins. Kiedy Picasso odleje ją w brązie, jej rysy stwardnieją, a kark zeszywnieje. Długo po mnie opuści pracownię przy Grands - Augustins i stanie na skwerze Saint - Germain - des - Pres, upamiętniając Guillaume'a Apollinaire'a. Jak kiedyś można było zostać straconym „in effigie”, tak ja zostałam „in effigie” uhonorowana. Zniknęłam z twojego życia, zostałam już wykluczona, więc nie zaproszono mnie na uroczystość. Ta miłość na odległość, której nie wybierałam, pozwala mi lepiej dzisiaj interpretować fakty, które niedawno cię dotyczyły.

Wiem, że od wielu lat prosili cię o zrealizowanie tego pomnika. Odrzucałeś ten pomysł. Twój przyjaciel Guillaume nie żył już od ponad trzydziestu lat, a ty nadal nosiłeś w sobie ranę, nieuleczalną. Pamiętasz obietnicę, jaką złożyłeś w Lutecji w listopadzie 1918, tego dnia, gdy nagle dowiedziałeś się, że już nigdy go nie zobaczysz. Nie znaleźć już własnego odbicia w zwierciadle autoportretu. Nie chciałeś, by twój wizerunek przetrwał wizerunek twojego przyjaciela.

Guillaume'a. Tak często go malowałeś, rysowałeś, karykaturowałeś za życia, że teraz nie zamierzałeś z niego robić martwej natury. Twoja miłość do niego, twoja nienawiść do śmierci udaremniały próby nadania formy temu, co jej już nie posiadało.

A jednak zamówienie było. Udawałeś głuchego tak długo, jak tylko się dało. Ostatecznie odpowiedziałeś. Wezmę Dorę, Dora w kaftanie z brązu użyczy swojej głowy przyjacielowi Guillaume'a. Zostanie wetknięta w ziemię zaledwie parę metrów od Deux - Magots, gdzie po raz pierwszy się spotkaliśmy. Nie ma znaczenia, że pojawiła się w moim życiu kilkadziesiąt lat po tym, jak zniknął z niego Guillaume. Nie ma mowy o malowaniu zmarłego poety, stałby się w ten sposób zbłąkaną duszą. Zaklinałem się także, że nie będę próbował autoportretu. Więc kogo mam wziąć, pytam się? Kogo, jeśli nie tę wariatkę Dorę? Pamiętają państwo, jak mnie kiedyś kochała?

Gdy siebie odnajduję - głowa z brązu na pomniku dedykowanym Guillaume'owi Apollinaire'owi - jest czerwiec 1959. Ponownie spotkałam Picassa tylko raz, u wspólnych przyjaciół w zamku Castille. Nie widzieliśmy się od lat i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze się zobaczymy.

Nieobecność? Powiedzcie, co znaczy słowo nieobecność? Noc w noc mijam cię w moich snach od ponad dziesięciu lat. Doszło do tego, że wzbraniałam się przed snaniem, z obawy, że znowu cię spotkam. Nieobecność? Chyba żartujecie!

Rok 42 był straszny. Oczywiście wojna. Nie straciłam jej z pola widzenia, lecz chroniona przez mojego sławnego kochanka, patrzyłam, jak pogrąża się w coraz większym okropieństwie. Chłód był znośny, a odosobnienie zaledwie krępujące. Dobrze widziałam, że inni cierpią bardziej niż ja, lecz wcale nie czułam się odpowiedzialna za to, co ich

przytłaczało. Byłam pięknoduchem przeżywającym swoją miłość. Nie miałam prawa?

Dziś z największym trudem odnajduję nić 1942 roku. Wiem tylko, że w ciągu miesięcy poprzedzających nasze nieodwołalne zerwanie w październiku, nić przez cały czas pozostawała napięta. Z perspektywy lat nieprawdopodobne wydaje się, że w maju 1942 przeciwności mogły się jeszcze stykać. Dowód? Ten rysunek Picassa datowany 4 maja 42 roku. Dodatkowe uściślenie: godzina 3.30. Przed moją pracownią przy rue de Savoie, tuż nad mieszkaniem moich rodziców. I co mamy? Mężczyzna z papierosem w ustach, zawadiacką fryzurą sadowi się przed moją sztalugą. Maluje portret drugiego mężczyzny. Ten chyba nie obawia się obróbki, której zostanie poddany. Noga założona na nogę, spokojnie popija coś, co ma przypominać kawę. Pierwszemu użyczyłam pracowni i sztalug, to Jean Cocteau, wiadomo. Drugi użycza portreciście swojej twarzy, to Paul Eluard. Jeszcze dowód, rysunek węglem na płótnie zatytułowany Portret Paula Eluarda Jeana Cocteau nosi datę 4 maja 42. Picasso rysuje tę grupę w bocznej perspektywie (nie wiem, czy to fachowe określenie), a Kazbek, znakomity pan K., zwinięty w kłębek na dywanie, uwierzytelnia autentyczność sceny.

Tak, 4 maja 42 roku. Była chyba piękna pogoda. Zapewne okna otwarte na wewnętrzny dziedziniec, a mieszkanie dozorczyni zastawione doniczkami z kwiatami. W drugim pokoju pracowni, którego drzwi pozostały uchylone, widać nawet mój aparat na statywie. Wszystko wydaje się tchnąć spokojem i ciszą. Jak to możliwe? Jest 4 maja 42 i ta trójka jest wciąż razem. Cocteau i Eluard wyraźnie rozpoznawalni. A ten trzeci, a faktycznie zawsze pierwszy, to Picasso, niewidoczny, lecz obecny niczym oko Boga.

Między Cocteau i Eluardem nigdy nie było najmniejszego pokrewieństwa. A Paul już wtedy postanowił, że wstąpi do ruchu oporu jako zwolennik nielegalnej partii komunistycznej. W tymże pięknym miesiącu maju Jean Cocteau wydrukował na pierwszej stronie pisma „Commedia” swoje Pozdrowienie dla Arno Brekera. W kolejnym zeszycie tego pisma Vlaminc, przekonany, że obrazi Picassa, zestawia jego dzieło z Talmudem i kabałą. Jego elukubracje ukazują się w prasie akurat wtedy, gdy Żydzi zostają zmuszeni do noszenia żółtej gwiazdy. Ażeby okazać solidarność, Eluard każdemu, kto chciał go słuchać, oznajmiał, iż jest Żydem. Ze strony babki Salahum. Picasso innym pozostawi troskę o swoją obronę i będzie utrzymywał, że także ma żydowskie korzenie, jak wszyscy Hiszpanie.

Jakże mogłam wbrew naturze przyjmować u siebie tych trzech ludzi? Cocteau oczywiście wiedział, jak mnie podejść. Cukier dla Kazbeka. Komplementik dla Dory. Nie umiał sobie odmówić podrywania wszystkich bliskich w otoczeniu mistrza, którego uwielbiał. Im bardziej Picasso go beształ, tym większe Cocteau okazywał zadowolenie. Właściwie tylko po to, by rozzłościć Pabla, zabłądził w pobliże Arno Brekera. Przynajmniej tak utrzymuje, i wszyscy nabierają się na jego grę, gdyż tak opanował sztukę pochlebstwa. Albo znowuż znajduje u kogoś skazę i kropla po kropli sący swoje komplementy, ażeby przyspieszyć zabliznienie tej rany. Gdy w atelier odkrył moją rozpoczętą pracę, od razu podkreślił jej oryginalność, gratulując mi, że nie musiałam uwalniać się spod wpływu mistrza. Powiedział mi także, iż zna Picassa od dawna i że nigdy nie widział, by żył z kobietą w takiej harmonii jak ze mną. Powiedział pan „harmonii”? Tak, wspólność, wymiana, komunizm ciał i dusz, wszystkich trosk - kadził. Jakże po tym wszystkim miałam nie otworzyć drzwi przed przyjacielem Jeanem? Nawet jeśli ślini się na widok

pięknych nazistowskich atletów, jest przecież tylko człowiekiem.

W rzeczywistości poznałam go, zanim spotkałam Picassa i jeszcze przed wojną go fotografowałam. Przed wojną, to wyrażenie w tych latach w sposób naturalny ciśnie się na usta. Odwołuje się do prostej i przerażającej chronologii, którą ani myślałam kiedykolwiek się posłużyć. Od tego czasu jest przed wojną. Picassa poznałam przed wojną. I jest czas terażniejszy. A przecież nikomu jeszcze przez myśl nie przejdzie rozpatrywanie zuchwałej ewentualności jakiegoś po wojnie. Czy nasza miłość przetrwa wojnę?

Ceniłam wirtuozerię Cocteau. Miałam do niego prawdziwą słabość. I czułam się w obowiązku powstrzymać ją z obawy, że mógłby ją wyśmiać. Niewykluczone, że podobne uczucia żywił względem mnie. Między nami utrzymywał się stan zbrojnego pokoju - żadna ze stron nie chciała zostać wyszydzona przez drugą.

Gdy kochany Paul wychodził z mojej pracowni ze swoim portretem podpisanym przez swego wroga, Cocteau zaproponował, że mnie namaluje. Kłusowanie na terenach Picassa przerodziło się u niego w manię.

Po przyjacielu malarza musiał sportretować jego kochankę. Propozycja padła w niedobrym momencie. Właśnie przyszedł, wychwalając wystawę Arno Brekera, a ja zarzuciłam go dotkliwymi wymówkami. Picasso nie chciał o nim słyszeć. Prosiłam, żeby może zaczekać na koniec lata. Jakby tego roku lato miało jakiegokolwiek znaczenie!

Jean, choć chwiejnych poglądów, potrafił być pod wieloma względami twardy. Minęło lato, a on obstawał przy swoim. Nie mogę sobie wytłumaczyć nagłego zwrotu Picassa, który tym razem zachęcał mnie, bym przyjęła propozycję. Złożył nawet u Cocteau dokładne zamówienie, narzucając mu format - 92 na 73 centymetry - i ogólną kompozycję. Miał to

być portret en face, w czerni, na białym tle. Tak postanowił. Miał to być Cocteau w wykonaniu Jeana Cocteau, a nie imitacja czegoś, co było poza jego zasięgiem. Nie powinien próbować naśladować tego, co było poza jego zasięgiem. „Spójrzcie moimi oczami”!

Na rue de Savoie przyjechał na rowerze, jedna ręka na kierownicy, w drugiej płótno - format 92x73. Była to trudna operacja, ale wybrnął z tego cało. Spinki nawet nie pogniotły mu spodni. Picasso mawiał z ironią: Cocteau urodził się w spodniach z kantem. Urodził się uprasowany!

W końcu zgodziłam się. Usadowił się za moimi sztalugami w roli malarza. Byłam taka smutna, że utrwalił to nawet na swoim rysunku. Spontaniczny, jeśli chodziło o dowcipne powiedzonka, potrafił w jednej chwili skoncentrować się na pracy. Był subtelny, nerwowy, energiczny, z tym niespokojnym i ruchliwym spojrzeniem, wciąż oczekujący aprobaty. Narysował mnie węglem z delikatnością, od jakiej Picasso odzwyczaił mnie od słodkich czasów w Mougins. Co prawda z Cocteau wylądowaliśmy bliżej Greuze'a niż Płaczącej kobiety.

Wieczorem Picasso przyszedł nadzorować wykończenie prac. Oszacował, że w jedno popołudnie powinno być po sprawie. Jeśli chodzi o Cocteau, można sobie wyobrazić niedogodność jego sytuacji. Żadnych okoliczności łagodzących, żadnego opóźnienia, żadnych poprawek. I jako jedyne zwieńczenie, werdykt mistrza. Mistrz wypowiedział się natychmiast. Doskonały, portret był doskonały. Jednym tchem dodał, że to czysty Cocteau. Rzecz jasna nie był to komplement, lecz Jean, który odetchnął z ulgą, uwierzył we wspaniałomyślność swojego sędziego. Podziękował i odjechał na rowerze.

Portret pozostawił na sztalugach. Picasso od razu go zagarnął. Jeden mały retusz, skoryguje tylko jeden mały błąd.

„Bardzo dobry Cocteau”, powiedział, pociągając kreskę. I jeszcze farba, żeby migiem ożywić całą tę jałowiznę! Do czego to podobne, pytam pana, śmiał się. Cocteau! Cocteau! Nie będziesz paskudzić swojej pracowni obrazem Cocteau! Zabieram to, moja słodka, i przyniosę ci w zamian pięknego Picassa. Mnie o zdanie nie spytał. Mój wizerunek do niego nie należał? Czyż nie był jego surowcem? Czy nie zabrał mi go na zawsze? Jak Zeus, powiedział mi, już pierwszego dnia w Mougins, unieśmiertelnię panią. W ustach kogoś innego ta obietnica brzmiałaby śmiesznie. A jednak od tej chwili dotrzymywał jej. Za pomocą pędzelków i ołówków przeobraził mnie w symbol tamtego okresu. Będzie figurował we wszystkich przybytkach sztuki. Zresztą, w wyniku tego narzuconego mi przez malarza mimetyzmu poczułam w końcu, że rozpadam się na kawałki, jak to stulecie, które dobiegało swej połowy: Oboje oczu po jednej stronie twarzy, nos po drugiej, kapelusz w kształcie ryby, tułów wydrążony. Czy ta przeklęta epoka ma w sobie coś normalnego?

Subtelny węgiel Cocteau, znikając pod pazurem Picassa przeobraża się w pojemnik nieodgadnionego cierpienia.

Tego wieczoru byłam na Grands - Augustins. Wokół nas cisza nocnych zaciemnień. I tylko świergot ptaków w klatce stojącej w kuchni. Idealna ciemność, gdy każda gwiazda lśni na pustyni chłodnym i niepokojącym blaskiem. Miasto ponownie stawało się archaiczną ziemią nękaną przez głód, chłód i śmierć. Picasso w tajemnicy ponownie wynajdywał bożków, ażeby złapać w sidła bogów. I w tej ciszy rozmowa telefoniczna między mną a moją matką.

Nie wiem już, kto dzwonił, chyba ja. Matka nie ryzykowałaby telefonowania na Grands - Augustins, żeby nie trafić na Picassa czy Sabartesa. Posprzeczałyśmy się jak zwykle, a może bardziej niż zwykle. Mam wracać do domu, zarządziła matka. Starła się już nie mówić, że mnie

potrzebuje, powtarzała tylko, że przez tego mężczyznę straciłam poważanie. O ile Kazbek domyślał się, kiedy Picasso przez telefon zwracał się do mnie, o tyle jego pan rozpoznawał moją rozmówczynię po rozdrażnieniu mojego głosu. Matka nie cierpiała go. Picasso nie znał jej. Nie byłam wystarczającym powodem, by się poznali, a tym bardziej podtrzymywali znajomość.

Tego wieczoru dał mi znak, żebym odłożyła słuchawkę. Zaciemnienie! Zaciemnienie! - mamrotał. Było jasne, że nie chciał widzieć, jak ustępuję przed życzeniem matki, podczas gdy sto metrów dzielące oba domy można było pokonać bez większego niebezpieczeństwa. Często pokonywałam tę drogę w przeciwnym kierunku dla własnej przyjemności i przyjemności mojego kochanka. Próbowала tłumaczyć matce, że nie przyjdę, gdy usłyszałam jakby lekkie uderzenie po drugiej stronie kabla, a potem już nic. Sądziłam, że rozzłościła się i odłożyła słuchawkę, albo że linia została przerwana. W tamtym okresie jedno i drugie zdarzało się często.

Następnego dnia rano bardzo wcześnie przyszedłam na rue de Savoie. Portierka rzuca się w pośpiechu na spotkanie. I od razu mówi: Jaka szkoda, pani biedna mama! Przeszłam przez dziedziniec i pędem pokonałam oba piętra. Drzwi przymknięte. W środku ojciec z lekarzem, który przyszedł, żeby stwierdzić zgon. Po przebudzeniu ojciec zastał matkę leżącą na podłodze, w prawej ręce ścisnęła słuchawkę. Nie żyła.

Picasso, gdy dowiedział się o tym, przyszedł z Marcelem na rue de Savoie. Ledwie spojrzał na ciało mojej matki leżące na łóżku ze splecionymi rękami, wycofał się, Marcelowi pozostawiając złożenie kondolencji. Po pół godzinie wrócił z Sabartesem i uciekł się do tego samego wybiegu. Człowiek o wzroku absolutnym mógł widzieć wszystko prócz śmierci.

Raz jeszcze powrócił po południu, tym razem z Paulem. Obecność przyjaciela sprawiła, że przy mojej matce wytrzymał pięć minut, choć ukrył twarz w dłoniach, żeby nie patrzeć. Gdy wziął mnie w ramiona, miałam wrażenie, że tylko po to, by oderwać się od tego nieznośnego widoku. Już w samym pragnieniu pocieszenia mnie wyczuwałam wyznanie winy. Czyż nie uczestniczyliśmy w zмовie obojętności, która zabiła moją matkę? Moje słowa były dla niej tylko słowami ostatnimi, choć być może także przyniosły jej śmierć.

Przypomina mi się Buenos Aires i nasz rodzinny trójkąt. Jeden z jego wierzchołków zawsze był tak ostry, że można było zginać, nie dostrzegłszy dwóch pozostałych. Na tej drodze między magazynami uświadomiłam sobie swoją skończoną samotność, gdy matka i ojciec ukryli się, pozwalając córeczce wypuścić się samotnie w stronę tego, co było już życiem. Matka nie miała siły, żeby wytrzymać tego rodzaju traktowanie. Leżała martwa ze słuchawką w ręku i moją obojętnością w uszach.

Jakże uprzedzająco grzeczny się okazałeś. Ten moment oznacza jednak zmianę w naszych stosunkach. Zapowiada poważne przyszłe pęknięcia. Wiedziałeś, niewątpliwie lepiej od innych, czym jest strata matki. Swoją jednak opłakiwałeś jak niewinne dziecko, jej dziecko. Nie ukrywałeś, że twoja nieobecność ją rujnuje, a jednak wychwalałeś łączącą was nieporównywalną z niczym miłość. Nie wpisywała się ona w prawo natury, które chce, by matka dawała życie, nawet tracąc własne. Jeśli do tego obdarowany nim szczęśliwiec jest geniuszem, to matczyne poświęcenie staje się jeszcze wznioślejsze. Czyż nie jesteśmy zawsze zmuszeni do tego, by zabijać to, co kochamy?

Kilka miesięcy wcześniej Eluard w tajemnicy poprosił grafologa, Raymonda Trillata, o przeanalizowanie i zinterpretowanie listu napisanego przez Picassa we wrześniu

1936 roku, w cudownym okresie Mougins. Paul oczywiście zataił tożsamość autora. Analiza grafologiczna okazała się tak trafna, że Picasso ani razu nie zaprotestował w trakcie jej lektury, którą nas uraczył Paul.

„Pragnienie zbliżenia się do drugiego człowieka, stworzenia nieziszczalnego pomostu. Pochodzi z innego czasu, z innego świata: rycerskiego, dziecięcego. Nietzsche całujący końskie chrapy. Przedobry Baudelaire. Bardzo łagodny i bardzo surowy, ignorujący otoczenie i nieznający umiaru”.

„Jego zmysłowość bywa spontaniczna, zdobywcza, zrazu uwodzicielska i skomplikowana. Poszukiwanie wzniosłego popędu, lecz zarzucone w momencie, gdy można czerpać zeń korzyść”.

„Kocha intensywnie, a tego, kogo kocha, zabija”.

„Ma smutne usposobienie. Poszukuje wyjścia i z tego smutku wychodzi dzięki czystej twórczości. Radość, szczęście mu szkodzą. Służy mu smutek. TWÓRCA, twórca, dla jednych szalony, dla innych wzniosły. Wielką zaletą...”.

Eluard notował te uwagi, podczas gdy Raymond Trillat mówił. Gdy odczytuję je dzisiaj, trudno mi przyjąć, że grafolog nie wiedział, kim był słynny autor listu. Przypadkiem wolę słowo pisarz od słowa rzeźbiarz, tak widzę podobieństwo między Picassem a twarzą z obrazu Pochylony pisarz w Luwrze. Przyjaźń łącząca Paula i Pabla była ówczesznie znaną sprawą. Dlaczego Raymond Trillat miałby na to nie wpaść? Jakże miałby nie przeprowadzić porównania między rękopisem a dziełem? To w niczym nie ujmowałoby jego analizie subtelności, przenikliwości, ani tym bardziej prawdziwości.

Najważniejsze zdanie było przeznaczone dla mnie: „Kocha intensywnie, a tego, kogo kocha, zabija”. Nie była to prawda mi nieznana, lecz nie chciałam spojrzeć jej w oczy.

Czerpałam nawet swego rodzaju rozkosz, bawiąc się tą myślą. Umieram dlatego, że umrzeć nie mogę, natrętny refren. Ilu z nas zdumiał ten boski ton albo też ludzki, zbyt ludzki? Powiedzcie, ilu z nas? Jak dobrze policzę, odnajdę tych, których kocham: Teresę Avila, Jana od Krzyża, Paula Eluarda. Miłość zwałała nas z nóg. Nie jesteśmy zabójcami. Picasso zabija to, co kocha.

Nazajutrz po uroczystym pogrzebie poprosił, żebym przyszła pozować na Grands - Augustins, i zgodziłam się. Myślałam, że uda mi się okiełznać przed nim mój ból. Nie zamierzałam ofiarować mu na tacy głowy Płaczącej kobiety. Chusteczka, gwoździe w kącikach oczu, język w kształcie szydła, wszystkie te przybory wypożyczone z półki sadomasochizmu należały do innej epoki. Moje cierpienie uobecnia się ponad tymi trikami. Picasso niech poprzestanie na patrzeniu na mnie i odtworzeniu tego, co widzi. Na płótnie uzyska twarz z roku 42. Roku najczarniejszego.

Portret ten, datowany 9 października 42, zajmuje miejsce rysunku Cocteau. Picasso piecze dwie pieczenie na jednym rożnie. Z jednej strony odzyskuje modela, mnie, na którego, jak mniema, posiada wyłączność. Z drugiej strony utrwała moją twarz w najtragiczniejszym momencie. Żałoba i poczucie winy ubiegają się o moje ciało. Picasso instynktownie rozpoznaje, że poczucie winy może zranić najbardziej. Tu właśnie naciśnię, aby wypuścić ropę.

Ty też, moja miła, powiedział tylko. Podskakuję na stołku. Mętne światło dnia pada mi na twarz. Co, ja też? Wtedy on pyta mnie, czy pamiętam analizę grafologiczną? Mnie o to pyta! Bywa, ciągnie Picasso, że zabija się to, co się kocha. Tak przynajmniej twierdzi wasz czarnoksiężnik, Raymond Trillat. Ty i Paul zgodziliście się z tym. O mały włos, a postawilibyście mnie natychmiast w stan oskarżenia. Lecz ty

też, moja miła, właśnie pokazałaś nam, że jesteś całkiem zdolna do zabicia tego, co kochasz.

Nie posądzał mnie o spisek przeciwko sobie. Chciał obarczyć mnie winą za śmierć mojej matki. Nie odpowiedziałam. Zresztą, nic sobie nie robił z moich protestów, z mojej nienawiści czy mojej miłości. W tym momencie pragnął tylko jednego - żeby wzbudzić we mnie najsilniejsze z cierpień. Miał je już na końcu pędzla. Miało uporczywość mojego spojrzenia i twarz afrykańskiej maski, ogromne czoło, zaledwie ściągnięte i zniekształcone, prawe nozdrze rozszerzone przez oddech.

Tę ikonę bólu chciał nawet zrazu zamknąć w celi, nie zakonnej, lecz więziennej. Jest wszystko. Okno z kratami. Dzban i kawałek chleba. Więzienny mrok. Skazał mnie. Za pomocą pędzla zrobił ze mnie, jak to się mówi, matkobójczynię. Zbladłam, gdy się zobaczyłam. Picasso zakrył rysunek Cocteau. Nic z niego nie zostało. To, co widzę, pogłębia moją udrękę.

Myślał, że zemdleję. Dlatego pozwolił mi usiąść na fotelu, który zazwyczaj jest zarezerwowany wyłącznie dla niego. Poszuka nawet za gąbką rękawiczek, które miałam na sobie w Deux - Magots w dzień naszego spotkania. Zachowam je na zawsze, powtarzał, pokazując mi plamy mojej własnej krwi, widniejące między maleńkimi kwiatami koronki.

- To nieprawda, mówię. Nie zabijam tego, co kocham. Samą siebie zawsze chciałam zabić.

- Ani siebie, ani nikogo innego! Przecież nawet muchy byś nie skrzywdziła. Spójrz, wypuszczę cię na wolność. Wystarczy przesunąć w twoją stronę pionowe linie okna. Usuam kraty i w zamian zrobię ci pasiak. W czerwone pasy. Wypuszczam cię z więzienia, ale niczego już nie zmieniam. Twarz masz idealną, zwłaszcza spojrzenie.

Tym właśnie sposobem ostatecznie znalazł się na mnie ten strojny stanik, nigdy nieistniejący. Okno i kraty znikły pod grubą powłoką nocy. Znikła kromka chleba i dzban z wodą. Co ciekawe, utrata tych akcesoriów, zamiast odciążyć mój portret, utrwaliła go w ekspresji cierpienia w stanie czystym. Żadnego powabu, żadnego ustępstwa. Przerażliwa kamienna nieustępliwość. Gdzie się podziała pełna wdzięku lalka o bladym ciele, którą Minotaur pieścił swoim pyskiem?

Chciałeś mnie jako Hiszpankę. Pod maską widniała już donia Elwira. Zraniona kobieta żąda zadośćuczynienia. Zawsze udawało ci się zawrzeć w moim wizerunku coś, co dopiero miało nadejść. W październiku 42 roku świat się pogrąży, matka nie żyje, a ty zatrząskujesz mnie w poczuciu winy. Ale w październiku 42 jeszcze cię nie straciłam. Jesteś tu. Blisko jesteś, tak blisko, że trzymasz nóż i wbijasz go w moje ciało. Takie spojrzenie miałam dopiero w następnym roku. Spojrzenie Hiszpanki, donii Elwiry.

IX

Tego rana wyjechałam z Menerbes. Fale turystów nieprzerwanie rozbijały się o stromy brzeg. Co prawda, moje pragnienie samotności wyolbrzymiało skalę zjawiska. W rzeczywistości tylko niektórzy goście zapuszczali się do samego miasteczka. Na szczycie mały opuszczony kościółek z prezbiterium o sklepieniu ostrołukowym. Każdego dnia rano przychodzę tutaj, żeby się skupić. A że proboszcz musi teraz opiekować się wieloma wsiami, więc często go nie ma. Powierzył mi zapasowy klucz. Czasem jakieś zbłąkane dusze wślizgują się za mną przez uchylone drzwi. A ja, najbardziej zagubiona ze wszystkich, przyjmuję ich w trzyprzęsłowej nawie, jakbym mieszkała tu na stałe.

W tym roku chciałam wyjechać już na początku sierpnia. Może wrócę jesienią dla rozkoszy widoku doliny rudziejącej pod moimi oknami. Będzie jeszcze piękna pogoda, a wokół nikogo.

Do Paryża wpadam w sierpniu. Lubię iść pod prąd. Kwestia przyzwyczajenia. W tym ciepłym i prawie milczącym mieście, gdzie przechodnie jakby się nie liczą, w sklepach zaciągnięte żaluzje, a klienci biorą nogi za pas, snują się wspomnienia wojny. Śmierć i zdrada, rzeź i ludobójstwo rozluźniły kleszcze. Zostaje ta cisza. I samotność.

Rue de Savoie jakby znieruchomiała. Gdy taksówka zatrzymała się przed moimi drzwiami, mieliśmy czas na swobodne wyładowanie bagaży. Żaden samochód za nami nie zatrąbił. Portierka wyjechała na wakacje. Przechodząc przed zamkniętą portiernią odnalazłam świat niezmienny. Chociaż wiedziałam, że od 43 roku zmieniło się tutaj pięć czy sześć portierek i że nie należy już nazywać ich portierkami, lecz dozorczyniami, to miałam poczucie stałości rzeczy.

Wchodzę. To mój dom dokładnie od trzydziestu lat. I na pewno długo nim jeszcze pozostanie. Jestem u siebie, a więc u

ciebie. Przed wejściem do żydowskiego domu należy uściskać się w progu pod mezuzą. Ja, już w środku, głaszczę palcem owady, które narysowałeś na ścianach przed trzydziestu laty. Gdy dwadzieścia lat później dom był odnawiany, poleciłam, by nie usuwano tego bestiarium. Po zakończeniu prac nie brakowało nawet jednej łapki.

Przypominam sobie. Po śmierci mojej matki zaczęłaś przychodzić na rue de Savoie. Ojciec zostawił mi mieszkanie. Powrócił pod swój ulubiony adres, hotel Palais - d'Orsay. Chciałaś od razu odcisnąć swój ślad. Na każdej dziurze w ścianie narysowałeś coś w rodzaju skorupy zaopatrzonej we włochate łapki. Złuszczył się gips? Na zdrapanej powierzchni umieszczałaś żuka, tarantulę albo jakiegoś innego pająka. Piętro wyżej, w mojej pracowni barwne plamy, którymi ochlapałam ścianę, przerabiałaś na takie same, wciąż wspinające się małe zwierzątka...

Twój dom żyje, Doro. Spójrz, jak roi się życiem. Kazbek, przyklejony brzuchem do dywanu, nigdy nie omieszkał zaaprobować słów swego pana dwoma machnięciami ogona. To jednak nie przeszkadzało mu porzucić malarza i jego chińskie tusze i podążyć za mną do kuchni, by wyżebrać jakąś strawę. Kilkakrotnie na ulicy zaczepiali nas przechodnie, którzy wskazując na pana K., wołali: „Wstyd, żeby tak zagłodzić biedne zwierzę!”. W czasach ścisłego racjonowania żywności wytykano nam chudość psa, najbardziej przekarmionego zwierzątka na ogarniętej przez wojnę planecie. Próbując ograniczyć apetyty Kazbeka, Picasso na drzwiach do kuchni zawiesił nawet tabliczkę, na której umieścił napis: Wejście wzbronione. Na nic się to zdało. Pies, choć bystry, udawał, że nie umie czytać.

Historia naturalna Buffona leżała jak kiedyś na stoliku. Picasso zilustrował ją serią sztychów wykonanych w roku 42. Przyszedł do mnie, żeby mi zadedykować ten egzemplarz.

Data: 17 stycznia 43. Podpis: Picasso. A pod spodem wielkimi literami: ADORA MAAR. Tekst: per Dora Maar tan rebufona. Bufon to po katalońsku czarująca i Picasso bawił się podobieństwem do nazwiska autora książki. Dorzucił re - w katalońskim stopień najwyższy przymiotnika. Gra miłosnych słówek podkreślona przez przepyszny rysunek mojej postaci. Sfinks? Kobieta - ptak? Mam szpony, pióra i bardzo długie, niewinne rzęsy. Poza tym mistrz nieustannie oddawał się swoim przyjemnościom. Dobrze mi się u ciebie pracuje, Doro! Na każdej niezapełnionej stronicy wymyślone kolejne owady, szkielety ptaków opatrzone w niesklasyfikowane przez Buffona skrzydła, dziwne głowy. Była to całkowicie spontaniczna emanacja geniuszu. Te ilustracje z mojego osobistego egzemplarza staną się w 1957 roku przedmiotem publikacji zatytułowanej wówczas 40 rysunków Picassa na marginesie Buffona.

Kilka dni później, ale jeszcze w styczniu 43 udaję się do Picassa. Gdy doszłam na skrzyżowanie naszych ulic, zauważyłam trzech mężczyzn ubranych w te długie zielonkawe nieprzemakalne płaszcze, unieśmiertelnione później przez kino. Właśnie otwierali drzwi przy Grands - Augustins. Jeden z nich pozostał na chodniku na straży. Orientuję się, że chodzi o gestapo. Robię półobrót i wracam biegiem na rue de Savoie, żeby natychmiast zatelefonować do Andre Dubois.

Pan Dubois jest byłym zastępcą dyrektora Surete. Choć odwołany przez Vichy, zachował stosunki i możliwości działania. Picasso poznał go, gdy nastąpiło wypowiedzenie wojny. Andre Dubois pozwala mu odnowić kartę obcokrajowca bez pośrednictwa ambasady frankistowskiej Hiszpanii, z którą Picasso nie chce mieć do czynienia. Na szczęście jest u siebie. Pyta mnie tylko, ilu ludzi widziałam u wejścia, i zapewnia, że jak najszybciej uda się na miejsce.

Dodaje: „Proszę się nie ruszać z domu i nie telefonować do pana Picasso. Proszę czekać, aż do pani zadzwonię”.

Wydawało mi się, że te trzy kwadranse nie skończą się nigdy. Telefon zadzwonił i nareszcie usłyszałam głos Pabla: „Przyjdź, jeszcze żyję. Czekam na ciebie z naszym przyjacielem Dubois”.

Gdy przyszedłam na Grands - Augustins, jednym ramieniem objął mnie, a drugim Dubois. Moi wybawcy! - zawołał. W rzeczywistości gestapo odjeżdżało akurat w momencie, gdy Andre Dubois przyjechał. Natknęli się na siebie na dziedzińcu. Mężczyźni w nieprzemakalnych płaszczach poprosili go o dokumenty. Poza tym nic nie powiedzieli.

Picasso zachował najwyższy spokój. Opowiadał, że chcieli go zastraszyć, traktując go a to jak degenerata, a to jak komunistę, a to jak Żyda. Te trzy określenia skwitował sfinksowym milczeniem. Oskarżyciele wymierzyli parę wściekłych kopniaków obrazom odwróconym do ściany, ale ramy trzymały się. Wyszli niezadowoleni z powodu tego, co zobaczyli, a jeszcze bardziej z powodu tego, czego nie zobaczyli. A gdy jeden z nich pogroził, obiecując, że jeszcze wróca, Picasso wręczył mu jedną z moich odbitek fotograficznych Guerniki: „Proszę, moja wizytówka na pamiątkę”. Niemiec, nie rozumiejąc, skrzywił się i schował zdjęcie do kieszeni.

Często powtarzano, że Picasso kilka dni później opowiadał we Flore, że gestapowcy, wskazując na zdjęcie Guerniki, zapytali go: „Pan to zrobił?”. A on skwapliwie miał odpowiedzieć: „Nie, to wy!”. Całkiem możliwe, że na poczekaniu wymyślił taką odpowiedź, miał do tego głowę. Osobiście nie słyszałam, jak opowiada tę anegdotę.

Nie wrócili, choć obiecali. Niektórzy doszli do wniosku, że Picasso cieszył się potężnym poparciem. Wymieniano nawet nazwisko Arno Brekera, który miał ponoć powiedzieć:

nie ruszać Picassa. Sam Arno Breker po wojnie zaprzeczył, jakoby interweniował, choć mógł z tego zrobić tytuł do chwały. Czy broniła go i chroniła sama twórczość? Sama twórczość nie. Jesienią 40 roku, gdy właśnie wróciliśmy do Royan, Niemcy zażądali udostępnienia im wszystkich prywatnych bankowych sejfów. Picasso musiał ich uhonorować swoimi dwoma skarbcami. Niemcy odkryli coś w rodzaju jaskini Ali Baby. Ten chaotyczny stos przeraził ich i nawet nie podejrzewali jego niewiarygodnych bogactw. Wyciągnęli jeden z obrazów i z kwaśną powątpiewającą miną zapytali malarza: „Co to przedstawia?”. Ponieważ malarz odpowiedział tylko: „Co chcecie”, nie ustępowali: „Ile to jest warte?”. Picasso dla zabawy podał jakąś śmieszna sumę: „Osiem tysięcy franków! Jakieś osiem tysięcy franków!”. Uznali, że cena jest tak wygórowana, że dali sobie spokój i z powrotem zajęli się rewizją.

Picasso przestał się lękać. W pierwszym okresie wojny bał się bombardowań. Teraz przewyciężył panikę. Potrafił kontynuować pracę nawet w najgorszych warunkach i nie żałował, że został w Paryżu. Niemieccy oficerowie czasami wpraszają się na Grands - Augustins, co świadczy, że nie podzielają oficjalnej tezy na temat sztuki zdegenerowanej. Picasso nigdy nie zapomni, że w prezencie dał im, bez słowa komentarza, zdjęcie Guerniki.

Klęska obu krajów, najpierw Hiszpanii, potem Francji nadszarpięła mu nerwy. Strach, że jego dzieło może ulec zniszczeniu, nie paraliżuje go - ogarnięty gorączką pracy wciąż działa na podwyższonych obrotach. Bada rozmaite nowe drogi. Zniekształcenia, dysharmonia, w jednej chwili skłaniają go do diametralnej zmiany kierunku. Albo to upojenie, popychające go do gromadzenia rysunków szkieletów i głów zmarłych. Czaszki mnożyły się już na niezapisanych stronach mojego egzemplarza Buffona.

Zamknięty w łazience, jedynym ogrzewanym pomieszczeniu na Grands - Augustins, Picasso rzeźbi teraz głowę śmierci, poleruje, zżartą przez całe wieki agonii. Bryła błędnego kamienia, powie Brassai. Albo w tej chorobliwej materii kształtuje, doświadczenie po doświadczeniu, Człowieka z jagnięciem podejmującego życiowe wyzwanie. Uformuje go tak, by jego gliniane ciało, nieustraszone i wyprostowane, wzniosło się w całej swej okazałości, ażeby tym skuteczniej odpowiedzieć na wezwanie tych, którzy tak jak jego przyjaciel Paul rozpoczęli walkę. Ci wszyscy poeci cieni.

Picasso prawie przez rok myślał o Człowieku z jagnięciem. Studiował bryły i budowę obu tych ciał - człowieka, wolnego, oraz zwierzęcego, zniewolonego. Spokój i jęk. Idący wolno i spętany. Żadnej w tym symboliki, twierdzi, ewangelicznej czy wojowniczej. Nic, tylko prosta odnaleziona harmonia. Ziemia już nie drży. Bombowce nie rozdzierają nieba. Wszystko znowu tak, jakby nigdy nie musiało się zmieniać. Chciałabym, żeby dodał, a ty, Doro, opierasz głowę na moim ramieniu, a ja cię zniewalam, jak w czasach Minotaura. Ale ty tego nie powiesz. Wolisz przywołać Kazbeka, który, skoro powrócił spokój, bez końca liże ci rękę, upajając się zapachem terpentyny.

Fotografię porzuciłam już dawno. Lwia część mojego sprzętu została u ciebie. Moje reflektory oświetlały teraz dzieła, nad którymi właśnie pracowałeś. Moje wielkie czarne narzuty służyły jako kotary zaślepiające okna przy Grands - Augustins w nocie zaciemnienia. Zgodnie z zasadą naczyń połączonych nie fotografuję, już tylko maluję.

Zaczęłam malować drobiazgi, prościutkie. Sama dochodzę do wszystkiego. Rysuję dzbanek do kawy albo budzik. Zabieram się do martwej natury, odosobnionego przedmiotu wpisanego w moją samotność. Jak dziecko uważnie przyglądające się nieznanemu osobie, zbyt blisko przysuwam się

do obiektu. Muszę się go uczepić. Rzeczywistość, choćby najskromniejsza, czy aby nie usunie się? Gdy nie starcza już kolorów do maskowania udreki, próbują ją spijać moje mizerne słowa w zeszytach:

Spoczęłam w ramionach moich ramion,

Już nie spałam

Była noc latem zimą dzień

Dygot wieczny myśli

Trwoga miłość Trwoga miłość

Zamyka okno otwiera okno

X

Tak, urządziliśmy święto. Święto. Choć przecież wojna. Jej końca wyczekiwaliśmy od Stalingradu, choć nie wiedzieliśmy, kiedy i jak. I najważniejsze, w jakim stanie. Bo śmierć już się dobijała. 22 lutego 44 gestapo zatrzymało Roberta Desnosa. Potem przyszła kolej na Maxa Jacoba, którego żandarmi doprowadzili do Drancy, gdzie powaliło go zapalenie płuc.

Ale święto i tak miało być. Potem opowiadano, że okazało się zapowiedzią mającego nastąpić wyzwolenia. Przeżyłam je, przypominało mi śródpoście w oblężonych średniowiecznych miastach. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Dlatego przez całą noc potajemnie zalewaliśmy się słowami i winem. Krótka dygresja, poza nawiasem czasu. Ale datę chyba można ustalić. Święto urządziliśmy 19 marca 44 u Michela i Zette Leirisów, przy quai des Grands - Augustins, dwa kroki od pracowni, z okazji czytania sztuki Picassa Pożądanie schwywane za ogon.

Napisał ją trzy lata wcześniej, w styczniu 41. Był przeraźliwy ziąb, a Marcel nie zdobył węgla, żeby nakarmić kaloryfery. Picasso porzucił wtedy na cztery dni swoje pędzle i ołówki i oddał się pisaniu. Rzecz właściwie nie była nowa. Od 1935 prowadzi coś w rodzaju dziennika poetyckiego. To potok zapisu automatycznego na modłę tego, co w latach dwudziestych uprawiali surrealiści. Dziennik zaczyna się - Boisgeloup, 18 kwietnia XXXV - od jakże picassowskich słów: „Nie mogę już tego znieść, tego cudu, że nie wiem nic o świecie i że nie nauczyłem się niczego innego, jak kochać rzeczy i żywcem je pochłaniać”. I 1 lutego XXXVI pisze dalej: „Miłość to pokrzywa, którą trzeba co chwila ścinać, jeśli się chce dla wytchnienia usiąść w jej cieniu”.

W styczniu 41 postanawia zatamować ten potok i nadać mu w przybliżeniu formę sztuki teatralnej, z podziałem na sceny, zarysowanymi postaciami i akcją. Ten utrzymany w

tonie facecji strumień obrazów był żartem na temat ówczesnych obsesji, głodu i chłodu, ale także codziennych trosk, miłości i uwodzenia.

Trudno powiedzieć, jaką wartość miała dla E ta dodatkowa działalność. Czasami złościł się na widok swoich wielbicieli, chowających do relikwiarzy najdrobniejsze okrawki jego paznokci. To nie przeszkadzało mu zachęcać mnie do starannego wycinania obrusu u Katalończyka, tylko dlatego że naszkicował tam mój portret albo mojego pinczera o kędzierzawej sierści, którego śmierć opłakiwałam. Jeśli chodzi o pisanie, nic nie wskazywało na to, żeby traktował je poważnie. Chociaż jako pierwszy śmiał się z błazeństw rzucanych niby od niechcienia na papier, zarazem jednak chciał, by wszystko, czym emanował, stanowiło wzorcowy materiał do studium Człowieka, za którego prototyp się uważał. Kiedyś fotografia służyła mu do archiwizowania życia, ale po śmierci Apollinaire'a musiał się jej wyrzec. Teraz zadanie to przejął zapis automatyczny. Słowa, hiszpańskie, francuskie, dowolnie kojarzyły się w kaskadach dźwiękowych obrazów na zgubę składni i rozumu.

Spotretował się na rysunku 14 stycznia 41 w trakcie pisania Pożądania schwytanego za ogon. Był to jeszcze jeden sposób na spotkanie siebie samego.

Michel Leiris wezwał przyjaciół, jeszcze zanim Picasso wyraził ostateczną zgodę. Mistrz był pod wrażeniem zgromadzenia. Wszystkich nie znał, ale każdy z nich był wschodzącą gwiazdą na jeszcze zaciemnionym i ciasnym firmamencie. Wprowadźcie artystów wieczoru! Zapowiedziano udział samego Jean - Paula Sartre'a z Simone de Beauvoir, Raymonda Queneau i Alberta Camusa. Aktorka. Poeta. Oboje Leirisowie oczywiście. A ja, choć wcale nie było mi do śmiechu, śmiałam się jeszcze bardziej...

Michel Leiris poprosił, żebym zagrała Ekierkę.

- Dlaczego ja? Dlatego, że na scenie występuje nago?
- Dlatego, że jest to główna rola żeńska.

W swej uprzejmości posunął się do tego, że nadmienił, iż Picasso najwyraźniej myślał o mnie, pisząc Pożądanie schwymane za ogon. W sztuce, powiedział, wszyscy umizgują się do Ekierki. Tak jak ty jest malarką: „...róże jej palców pachniały terpentyną”. Wielokrotnie wprowadzał aluzje do jej rąk. „Twoje były znane z fotografii Man Raya i obrazów mistrza, tego mistrza, który pośród swoich dzieł trzymał zakrwawione rękawiczki z waszego pierwszego spotkania”. W innym momencie Picasso pisze w związku z Ekierką: „Jej kaprysy, jej ciepło i chłód, nadziane nienawiścią, są w samym środku posiłku po prostu kolcem żądz przyrywanych duserami. Chłód jej skierowanych ku sobie paznokci i ogniste ostrza jej lodowatych warg... włócznia bukietów kwiatów, chwymana przez nią w locie, krzyczy w jej rękach o królewskim uwielbieniu ofiary”. (Cyt. za: Pablo Picasso, Pożądanie schwymane za ogon. Przełożył Mieczysław Bibrowski, „Dialog” 1966 nr 7. Przekład modyfikuję - przyp. tłum.)

Miał też kto zagrać Wielką Stopę, główną rolę męską. Mówi na przykład: „panny awiniońskie od trzydziestu już lat są na rencie...”. I dodaje: „Teraz, kiedy Ekierka odeszła, posłuchajcie mnie. Ta szalona dziewczyna chce nas podejść tym swoim zmanierowanym pozowaniem na królową. Oczywiście, kocham ją i podoba mi się. Ale do tego, żeby została moją żoną, moją muzą czy moją Wenus, daleka jeszcze i trudna droga. Choć jej piękność mnie podnieca, jej zapach oszalał, to jej sposób zachowywania się przy stole, ubierania się i jej zmanierowane maniery drażnią mnie i złością...”.

Cała sztuka, napisana w 41 roku, nurza się w oparach bogatej w ekscesy kuchni. W ówczesnej epoce ograniczeń

marzyło się o zapachach. Stąd taki opis Ekierki: „twój tyłek to porcja gęsiny z fasolką, a twoje ramiona to zupa z płetw rekina, a twoje gniazdo jaskółcze to ogień zupy z gniazd jaskółczych. Mój kotku, moje kaczątko, mój wilczku, ja za tobą szaleję, szaleję”.

Ekierka, przytłaczająca rola. Odmówiłam zagrania jej. Nie czułam się na siłach, by unieść wyzwanie, tym bardziej że Picasso nie chciał użyć swojego głosu Wielkiej Stopy. Rolę Wielkiej Stopy czytał Michel Leiris. Nie pomyliłam się, „czytał”. Tekst przy swojej nieprzewidywalnej składni, braku interpunkcji, załamaniach tonu i potoku słów płynących kaskadami, które doprowadzały do upadku cnotę, okazał się za trudny do pamięciowego przyswojenia... Zadowolona się skromniejszą rolą, która lepiej pasowała do mojego ówczesnego nastroju. Zagrałam Chudą Trwożę, siostrę Tłustej Trwożi, mieszkającą w willi Trwóg. Adres, który nie wydawał mi się obcy.

Wystawienia na scenie, a raczej włożenia w usta, bo o to w tym wypadku chodziło, podjął się Albert Camus. Ściągnął nas, żeby przygotować premierę. Tego dnia poznałam Simone de Beauvoir. W sztuce zagrała Kuzynkę. Kiedy słuchałam, jak z przekonaniem wygłasza swój tekst z V aktu, zrozumiałam, jak bardzo Picassa zainspirowało to, co razem przeżyliśmy. To, co kiedyś wydawało się zabawne, nabrało teraz bardziej tragicznego wyrazu.

Kuzynka: „Już lecę opowiedzieć wszystko twojej matce. Pięknie, cudownie! Zupełnie naga przed jednym panem, pisarzem, poetą... ale z tego nie wyniknie ani Wenus, ani muza, ani rodzaj, który przystoi młodej szanującej się dziewczynie. A co powie twoja matka, kiedy dowie się wieczorem w pralni o twojej haniebnej, wyuzdanej konduicie publicznej dziewczki zepchniętej w rynsztok Studia

Artystycznego Wielkiej Stopy lubieżnymi jego zachciankami?".

Od śmierci mojej matki... A ja, co zostało ze mnie?

Nie miałam już wyuzdanej konduity publicznej dziewczki, która kochała Wielką Stopę. Pozbawiając mnie roli, mistrz niezwłocznie powierzył ją innej. Czułam, że nowa adeptka szybko się ujawni. Chyba mignął mi na płótnie zarys jej twarzy. To nieomylny znak. Ukazała się na obrazie, jeszcze zanim zaistnieje w życiu.

Niebezpieczeństwo pojawia się zawsze tam, gdzie nikt go nie oczekuje. Nadchodzi bez pawich piór i nie towarzyszą mu fanfary. Przychodzi po cichu. Ma plisowaną spódniczkę. Potrafi w maju zaśpiewać dziecinnym głosem, rzucając w twarz jego tnące brzmienie. Choć nie chciałam się do tego przyznać, nadeszło właśnie to, czego obawiałam się najbardziej na świecie.

Scena odbyła się w pięknym miesiącu maju. Co prawda, w maju 43. Tak jak co dzień weszliśmy z Picassem do Katalończyka. Na Grands - Augustins wpadła po nas nasza przyjaciółka Marie - Laure Noailles i wspólnie jedliśmy obiad. Katalończyk został sprzedany. Nowy patron miał również stoisko na Halach i w tych latach głodu zgromadził takie zapasy, że policja musiała na tydzień zamknąć jego zakład z powodu nielegalnego handlu.

Rozmowa była jak zwykle ożywiona. Marie - Laure potrafiła z talentem doprawić oryginalnością najbliższą anegdotę, a jej werwa wprawiała w kołyszący ruch kolejne piętra jej fryzury. Ze względu na rurkową architekturę jej włosów Picasso, który doceniał jej talenty, nazywał ją Ludwikiem XIV Tego dnia jednak Marie - Laure, choć błyszczała, miała bardzo nieuważnych słuchaczy. Picasso, ledwie usiadł, zaczął zdradzać wszelkie oznaki roztargnienia. Najpierw wyładował się na Kazboku, choć zwykle nie

zachowywał się wobec niego jak pan. Następnie odwrócił się do mnie i Marie - Laure plecami, by niczego nie uronić z rozgrywającego się przy sąsiednich stolikach widowiska. W końcu całą uwagę poświęcił stolikowi aktora Alaina Cuny, którego ledwie znał. Zaśmiewał się na całego przesadnie głośno. Istny Zeus rzucający gromy i tnący chmury na paski.

Podjeżdżałam, że bóg bogów nie wykosztowywał się wcale dla Alaina Cuny. Wymieniłyśmy nawet z Marie - Laure porozumiewawcze spojrzenie. Pojęła, że wiem, o co chodzi. Zmusiła się też do przepysznej anegdoty, chcąc zobowiązać Zeusa, żeby do nas powrócił. Nie przeszkodziło to jednak temu ostatniemu, którego nie można było już powstrzymać, złapał misę z wiśniami, podaną nam właśnie, i bez pytania zaoferował ją sąsiedniemu stolikowi.

Ale to oczywiście nie aktor absorbował ciekawość mistrza od początku obiadu. Alainowi Cuny towarzyszyły dwie bardzo młode dziewczyny, obie piękne. Gdy Picasso usadowił się przed nimi z kompotierką pełną wisien, nie były zbytnio speszzone, tak że spotkanie nie sprawiało wrażenia przypadku. Picasso zawołał, nadużywając swego wdzięku i hiszpańskiego akcentu: „Więc przedstawi mnie pan swoim przyjaciółkom?”. Rzeczony przyjaciółki najwyraźniej orientowały się co do tożsamości właściciela wiśni. Nie trzeba czarodzieja, by wiedzieć, że u Katalończyka można spotkać Picassa i wystawić mu się na widok. Nawet jeśli nie wiedziały, to aktor z przyjemnością poinformował je o tym. Moje przeczucie przerodziło się w pewność, gdy mężczyzna z wiśniami po powrocie do naszego stołu chciał nas zawiadomić o odkryciu, które uważał za wprost niewiarygodne. Obie młode piękności uważały się za malarki! Roześmiał się, połykając łakomie garść wiśni, których kolejną kompotierkę właśnie nam przyniesiono. Wyobraźcie sobie, kontynuował, kąciki ust

zakrwawione sokiem z wiśni, dziewczyny, które tak wyglądają, nie mogą być malarkami!

- Wyglądają jak? - zapytała Marie - Laure. - Jak, Pablo? Siedzi pan tutaj przy stole, gdzie wszyscy zajmują się malowaniem i chyba jakoś szczególnie nie wyglądamy.

- Miałem na myśli ich wiek - uściślił w dobrej wierze.

- Pograża się pan - odparła Marie - Laure.

- Ależ to dzieci - upierał się.

- Piękne księżniczki - wtrącam.

Nadmienił jeszcze, nie bez dumy, że obie dziewczyny właśnie mu się zwierzyły, że akurat wystawiają przy rue Boissy - d'Anglas. Od razu miałam potwierdzenie, że zastawiły na niego pułapkę i że on z rozkoszą w nią wpadnie. I rzeczywiście, po kilku dniach oznajmił mi, że idzie obejrzeć wystawę dwóch Gracji. Ich dzieła nie są jeszcze dopracowane, ale za to obiecujące. A która z nich wydaje się bardziej obiecująca? - zapytałam podstępnie.

- To naprawdę jeszcze nie jest jasne. Są takie młode, że jeszcze nie można ich od siebie odróżnić. Powiedziałbym, że na razie funkcjonują razem.

- Zapewne podoba się to panu.

- Niby co?

- Temat dwóch kobiet, stale obecny w pańskiej twórczości. Pojawiające się równocześnie albo na zmianę.

Chcąc lepiej zilustrować mój zamysł, dodałam, że któregoś dnia przyszła na mój adres sukienka akurat w rozmiarach Marie - Therese. Można się było domyślać, że Marie - Therese otrzymała sukienkę przeznaczoną dla mnie, sprezentowaną tego samego dnia dzięki szczodrości tego samego niezdarnego kochanka. Czyż nawet w swoim życiu nie lubił zilustrować sławetnego tematu dwóch kobiet?

Zebrałiśmy się wszyscy u Michela Leirisa, żeby czytać Pożądanie schwytnie za ogon. Muszę robić dobrą minę do złej

gry. Zresztą samego zwrotu, robić dobrą minę do złej gry, nie cierpię prawie tak samo jak sytuacji, do której się odnosi. Nie chcę wiedzieć, czy ponownie spotkał się z tymi uczennicami, a już na pewno, którą wybrał ze szkodą dla drugiej. Sztuka, do której czytania przed wybraną publicznością się przygotowujemy, ma naprawdę odpowiedni tytuł.

Na czwartym piętrze przy quai des Grands - Augustins, dwa kroki od Picassa, okna u Leirisów wychodzą na Sekwanę. Od siódmej wieczorem zajęte są wszystkie krzesła, jakie zdołaliśmy ustawić. Goście siadają na podłodze albo plecami podpierają ściany. Są tu wszyscy: cała rodzina włącznie z pociotkami, a także ci, którzy się za rodzinę uważają. Georges Bataille przyszedł sam. Całe lata się nie widzieliśmy. Niezmiennie z tą swoją obojętną słodyczą, która nadaje mu wygląd nadto utemperowanego diabła. Spojrzeliśmy na siebie przeciągle, bez słowa, bez gestu, ledwie witając się. Jesteśmy kombatantami innej wojny, która dzisiaj nie ma już żadnego sensu. Sylvia Bataille też przyszła - ze swoim nowym towarzyszem, Jacques'em Lacanem. Ten ostatni jest od dłuższego czasu osobistym lekarzem Picassa. Zajmuje się wyłącznie lekkimi zadraśnięciami. Często spotykałam go na rue des Grands - Augustins, wymienialiśmy wtedy pełne dystansu, lecz przeciągle uśmiechy. Niejasno przeczuwałam, że w razie nieszczęścia mógłby mi być wielką pomocą. Z Sylwią Bataille tworzą osobliwą parę. Aktorka jest spontaniczna i delikatniutka, psychoanalityk opiekuńczy i afektowany, w spojrzeniu ma nienasyconą ciekawość. Kiedyś wyruszy, żeby odszukać mnie w piekle. Takich podróży się nie zapomina.

Do największych aktorów nie zaliczają się ci, którzy za takowych uchodzą. Na scenę wychodzą aktorzy pozorni. Ci prawdziwi pozostają na widowni: cudowna Sylvia Bataille, Jean - Louis Barrault, młodziutki Mouloudji. Ale także poeci,

malarze, wydawcy. Jest jeszcze Braque, wielki Georges Braque, przyjaciel Pabla. Przez długi czas byli nierozłączni. Czyż takie spotkania nie są wzruszające? Brakuje tylko Maxa Jacoba. Max zmarł w Drancy, a my nie zdołaliśmy go uratować. Był pierwszym francuskim przyjacielem niejakiego Picassa, który wylądował w Paryżu. Poeta wpoił młodemu hiszpańskiemu malarzowi upodobanie do języka i poezji francuskiej. Jakież sens ma urządzenie tego czytania przed portretem biednego Maxa, który P naszkicował ołówkiem w 1915 roku?

Styczeń 1915, to właśnie wtedy Max się ochrzcił. Picasso grzecznie rysuje nowego chrześcijanina, trochę mnich, trochę wieśniak, w jednym oku smutek, w drugim szaleństwo. Umarł - ten, którego przyjaciele nazywali psotnikiem. Spotkałam go tylko raz, kiedyś w 37.

Poszliśmy go zaskoczyć w jego klasztornej celi, całkiem blisko kościoła Saint - Benoit - sur - Loire. Tak się ucieszył z ponownego spotkania z Picassem, że w porywie przezwiał mnie piękną etruską damą. Obiecaliśmy sobie, że ponownie się spotkamy, lecz Max zabrał się do pisania do magazynu „Occident”, głoszącego apologię Franco. Mistrz wykreślił go wtedy z pamięci. Picasso celował w sztuce kreślenia.

24 lutego 1944 roku Max został zatrzymany jako Żyd, którym był - przed nim cała jego rodzina. Wyciągnięto go z mnisiej celi w Saint - Benoit - sur - Loire. Umiera w Drancy na odoskrzelowe zapalenie płuc - równie gwałtownie jak jego rozpacz. Ze wszystkich ludzi, których kochał, a kochał ich na wszelkie możliwe sposoby, Picasso, jak stwierdził, był tym, którego wybrał. Tego wieczoru, 19 marca, będziemy czytać Pożądanie schwyttane za ogon. Za dwa dni, 21, pójdziemy do Saint - Roche na mszę żałobną za Maxa - ramię w ramię, Michel Leiris, Picasso i ja.

Albert Camus chwyta laskę i uderza nią trzy razy. Zapada cisza i Camus trzeźwo proponuje dekorację, w której mielibyśmy grać, a której tego wieczoru brakuje. Przy II akcie będzie się dłużej rozwodził nad opisem korytarzy hotelu Sordid's, gdzie rzekomo toczy się akcja. Na razie Leiris jako Wielka Stopa i Sartre jako Koniuszek z zadziwiającą wprawą otwierają bal. Farsa! To tylko wdzięczna farsa na wzór Cycków Tejrezjasza, orzekła Simone de Beauvoir podczas próby. Picasso dobrze zdawał sobie sprawę, że la Beauvoir, jak ją nazywał, po prostu grymasi, ale udał, że porównanie mu pochlebia. Dodał nawet, że Guillaume Apollinaire, jego przyjaciel i ojciec rzeczonych Cycków, nigdy nie opuścił jego umysłu i jego serca, i była to najświętsza prawda.

Niechże uchodzi za farsę! Z powodu tragicznych czasów każdy z ulgą rozpoznaje w sobie nastrój żartownisia. A Kuzynka, alias Simone de Beauvoir w dzień czytania sama broniła tekstu, który po sześciu latach w Sile wieku uzna za zabawkę. Z tej okazji zrobiła się na bóstwo. U Leirisów sama śmietanka i każdy się stroi, ażeby zaprezentować się przed autorem. Czyż Picasso nie ma wzroku absolutnego? Simone de Beauvoir koronę z warkocza podwyższyła falą włosów. Wyglądała niezwykle zmysłowo w swoim jaskrawoczerwonym pulowerku. Mówiła pani, że zabawka, droga Simone, ale wygląda na to, że zagra pani z rozkoszą! Wygląda pani pięknie i przekonująco, gdy ze łzami w oczach przywołuje pani tego człowieka, którego wspomnienie najwyraźniej pani nie opuszcza: „Poznałam w Chateauroux pewnego pana, architekta w okularach, który chciał mnie utrzymywać. Bardzo solidny, bogaty pan. Nigdy nie pozwalał, żebym płaciła sama za obiad. To on mnie właśnie nauczył oprawiać prawidłowo flandrę...”.

Pani jako jedyna zadbała o nauczenie się roli na pamięć. Więc nie musi pani wbijać oczu w tekst. Wykorzysta to pani,

żeby wydobyć efekt z każdej swojej najdrobniejszej kwestii. Albert Camus będzie bardzo zadowolony z pani gry, a Picasso z pani elegancji. Pablo podkreśla, że kontrast między pani naszyjnikiem z wielkich niebieskich pereł a czerwoną angorą jest naprawdę znakomity! A pani, Simone, rumieni się, słysząc komplement. Żeby rozproszyć skrepowanie, dodaje pani nawet, że naszyjnik i pulower pożyczły pani dwie zupełnie różne przyjaciółki.

Dzisiaj ponownie czytam Pożądanie schwyte za ogon. Każda kwestia nosi piętno czasu przeszłego. Widzę twarze aktorów. Byli tacy młodzi. Żywi. Pamiętam, że Picasso napisał sztukę jednym pociągnięciem, jakby jednym haustem, w dzień i chyba nie dłużej. Powracają tamte emocje. Czy te słowa wypowiedane jak w malignie nie przypominały tych, które potajemnie wypowiadamy w napadach szaleństwa? „Dzień dobry. Dobry wieczór! Przynoszę panu orgię, jestem zupełnie naga i umieram z pragnienia... najpierw niech mnie pan pocałuje w usta i tu, i wszędzie. Chyba pana kocham, skoro przyszedłem tu tak po sąsiedzku w starych pantoflach zupełnie naga, żeby pana pozdrowić i żeby pan uwierzył, że pan mnie kocha i że mimo braku chęci chce mnie pan wziąć, swoją kochaneczkę, pełną myśli o panu...”.

Tak właśnie Ekierka zwraca się do Wielkiej Stopy granej przez Michela Leirisa, którego ogolona i surowa czaszka jakby przeczyła jedności tekstu. Jeśli chodzi o Ekierkę, to gra ją prześliczna Zanie Campan, żona wydawcy Jeana Aubier. Rola cudownie jej leży i Zanie odnosi błyskotliwy sukces osobisty. Byłby triumfem, gdyby mogła podążyć za wskazówkami autora gorliwie pozmienianymi przez Alberta Camusa, inscenizatora. Czyż w drugiej scenie aktu II nie ma precyzyjnej wskazówki, że Ekierka powinna wyjść nago z wielkiej wanny ustawionej na scenie, w samych pończochach?

Rola Chudej Trwogi, w którą wślizgnęłam się z ogromnym trudem, miała brawurowe kawałki. Tak, Chuda Trwoga, ona też, oznajmia swoją namiętność do Wielkiej Stopy, alias Michela Leirisa, alias Picassa: „On jest piękny jak gwiazda. To sen wymalowany akwarelami na perle... - Jego spodnie wydeły się we wszystkie wonie Arabii. Jego ręce to przeźrocyste lody brzoskwiniowe i pistacjowe. Ostrygi jego oczu mieszczą w sobie ogrody o otwartych ustach wiszących na słowach jego spojrzeń...”.

Przelicytowuje ją Tłusta Trwoga czytana przez żonę poety Georges'a Hugneta: „Zrobiłabym z nim chętnie numer bez jego wiedzy”.

Jednakże w rozwiązaniu wszystkie postaci nieruchomieją. Następuje zmiana tonu. Czyż moja siostra zwana Tłustą Trwogą nie przepowiada, że „to źle się skończy”? Wielka Stopa w ostatniej kwestii jest bardziej picassowska niż sam Picasso: „Posypmy zużyte prześcieradła i poszewki różowym proszkiem aniołów i odwróćmy materace w krzakach jeżyny. Zapalmy wszystkie latarnie. Ciśnijmy ze wszystkich sił stada gołębi przeciw kulom i zamknijmy na dwa spusty domy zburzone przez bomby”.

Na zakończenie Camus dodaje, że nagle pojawia się złota kula i oślepia postaci. Te zawiążą sobie oczy. Ostatnia wskazówka: na złotej kuli pojawiają się litery słowa „nikt”.

CISZA

To nie kule roztrzaskują nam głowy, nie bomby je druzgoczą. Ale burza oklasków. Uśmiechamy się. Zginamy się w pół. Jeszcze chwila, a zaczniemy traktować siebie samych poważnie. Sartre i Camus plądrują stojące w salonie wazony, ażeby dać kwiaty wykonawczyniom płci żeńskiej. Lecz cały dym kadzidła płynie w stronę Picassa. To z Rabelais'go, to z Alfreda Jarry. Słowem, to z Picassa.

- Trwa zabawa! - obwieszcza Camus.

Ma piękny śpiewny głos. Jeszcze nie panuje nad swoim silnym algierskim akcentem.

- Rozpoczyna się zabawa! - poprawia Picasso.

Na jego znak zostaje ustawiony bufet, i to nie taki, jak w obleżonym mieście. W Pożądaniu schwytanym za ogon postaci wyglądają jak narysowane przez Arcimbolda. Marzenia więźniów: mięsiwa, zapach bażantów. Przechodzimy od marzeń do rzeczywistości. Leirisowie nie byliby w stanie podać tylu potraw i tylu butelek. Szczodrzy ofiarodawcy? Para Argentyńczyków, przebogatych wielbicieli Picassa. Od dawna błagali go, żeby zechciał malować boazerie do ich zamku. Moje malarstwo nie służy do dekorowania salonów - odpowiedział. Ale, że tak do końca nie odmówił, więc oboje nadal mieli nadzieję. Nawet mnie prosili, żebym się za nimi wstawiła, nazywając mnie z tej okazji Argentina Dora. Pochlebiało im, że tego wieczoru uczestniczyli w najbardziej paryskim wydarzeniu w tych straszliwych czasach. Któryś z panów, już nie wiem który - Sartre, Queneau, Picasso czy Camus? - adaptuje po swojemu arię z Życia paryskiego: „Jestem Argentyńczykiem, złoto mam... Paryżu, Paryżu, znów powracam tu!”.

Zadowolona para, może się chełpić, że tego wieczoru postawiła jedzenie i picie całemu Rive gauche jęczącemu pod niemieckim batem. Przekąski, mięsiwa, bordo, delikatesy z Capua, ryby, dziczyzna, szampan, olbrzymi tort ociekający czarną czekoladą, dekoracyjne przysmaki. Zabawa trwała całą noc. Czyż nie mieliśmy powodu, żeby bawić się do białego rana? Do licha z zaciemnieniem! Jesteśmy podchmielonymi więźniami ogarniętego wojną miasta. Ważne, żeby przetrwać do rana.

Ta noc lansuje modę na, jak to ochrzcił Michel Leiris, fiestę. Zanim Paryż zostanie wyzwolony i skończą się ostatnie walki, odbędzie się jeszcze wiele takich fiest, ale żadna nie

pozostawi takiego wspomnienia. Picasso jest jej centrum i jej światłem. Świetnie się bawi, choć tego nie zamierzał. Z jego powodu wszyscy chcą wziąć udział w bachanaliach. Starannie dobrani uczestnicy wierzą we własną długowieczność. Do tego po alkoholu zapomnieli, że odroczenie wygasa wraz z pierwszymi promieniami świtu.

Sartre i Camus wybijają na rondlu niby - afrykańskie rytmy. Queneau i Bataille toczą pojedynek na butelki, które właśnie opróżnili. A ja rzucam się na arenę, już to jako matador, już to jako byk, odgrywając w pojedynek corridę. Czyż nie jestem kobietą mistrza? Tak jak inni uczestniczę w towarzyskiej ekstazie i nikt nie każe mi zejść z piedestału. Nigdy nie było żadnych plisowanych spódniczek. Nigdy nie było żadnych uczennic. Kobieta mistrza, mówię, to moja posada! Jutro, kochanie moje, pójdziemy do Saint - Roch, pożegnać Maxa.

To dla mnie początek końca, ale o tym nie wiem. Wiedzieć nie chcę. Jakże to przyznać tej nocy? Zwłaszcza tej nocy. Czyż w tej właśnie chwili nie myślimy wszyscy o pokoju?

I chyba już nastał. A czyż z braku tych, którzy walczą, nie jesteśmy tego ranka zwiastunami pokoju? Niebawem Picasso zacznie znów publicznie wystawiać i każdy będzie mógł ocenić przebytą drogę. Czyż nie przemierzyliśmy jej razem? Na dobre i na złe, jak powiadają w kościele, przed wojną i w czasie wojny, więc dlaczego nie po wojnie? Czyż nie jesteśmy nierozłączni? Wszyscy kojarzą nasze imiona. Jest Picasso i Dora. Nikomu nie przyjdzie na myśl, by anonsować obecność jednego i z miejsca nie wspomnieć o obecności drugiego. Zabawne spotkania, uczennice i zabawa w ciuciubabkę nie zaciążyły na naszej miłości. Nie spowodowały też wzajemnego wstrętu. Nasze emocje bowiem rozkwitają na terenie przemocy. Nic na to nie poradzimy, kochanie moje. To

sprawa ciała, twojego i mojego. Przemoc sumuje się w naszych ciałach razem.

Nad ranem najsilniej przeżywałam nieobecność Eluarda i Nush. W oparach alkoholu i znużenia, przeczuwałam, że ich także nieuchronnie stracę. A przecież kilka dni wcześniej widziałam Paula. Jak huragan przemknął rue des Grands - Augustins, a że mnie nie zastał, jeszcze zboczył, by mnie uściskać na rue de Savoie. Teraz ukrywa się w kolejnych mieszkaniach. W Paryżu czy gdzie indziej. Sama już nie wiem, czy zaryzykuje, wyłaniając się nagle z podziemia, i przyjdzie nazajutrz do Saint - Roch na mszę żałobną Maxa.

W salonie Leirisów jedni przysnęli, inni, dzieląc się swoimi czarnorynkowymi papierosami, nadal rozmawiali. Pamiętam, że rozsunęłam zasłony w oknie. Sekwana toczy swoje wody w pierwszych promieniach światła. Będzie piękny dzień. Znikają ciemne lizaje zimy. Jakże nie pomyśleć o Apollinerze?

Miłość jak woda bieżąca odpływa

I odpływa życie

Woda jakże leniwa

Nadzieja nasza jakże natarczywa.

(Z wiersza Apollinaire'a Le Pont Mirabeau, w przekładzie A. Ważyka Most Mirabeau, cyt. za G. Apollinaire, Poezje wybrane. Redagował Adam Ważyk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957, s. 17.)

XI

Dlaczego nigdy nie umiałam postępować jak inni? Paryż zostaje wyzwolony, Francja - biedna, zboląta, podzielona, ale z jakąż ulgą - odzyskuje pokój, tymczasem dla mnie zaczyna się może nie piekło, ale coś, czego inaczej nie umiem nazwać. Miesiące, nawet lata upadku, którego nic nie może powstrzymać. Przy długich okresach wyciszenia i nawet chwilach szczęścia, gdy oszołomienie chce uchodzić za ekstazę.

Sierpień 1944. Czuję się z miejsca wykluczona z tej okropnej walki toczącej się na ulicach Paryża. Strzelają na każdym rogu, nawet z dachów. Giną młodzi, kobiety i mężczyźni - niektórzy zyskają prawo do tych maleńkich tabliczek, których dzisiaj już nikt nie ozdabia kwiatami, a które sprawiają, że chce mi się płakać - wszyscy rozstrzygają swój los z bronią w ręku, a ja zamykam się w egoistycznym osamotnieniu, w głupim lamencie istot słabych, w zbytnej bezwolności: gdy nie ma tej jedynej istoty, świat się wyludnia. Brak mi go do tego stopnia, że już nie wiem, kim jestem. Ale czyż przed nim nie istniałam? Czyż nie byłam już dorosła, gdy uroczyście zwrócił się do mnie per „pani”: „Ależ moja droga, wszystkiego panią nauczę. Miłości i malarstwa. Ale czy pani zrozumiała lekcję?” A ja, idiotka, pragnęłam tylko jednego, przedłużyć tę lekcję, za co przyszło mi zapłacić poniżeniem.

Za bardzo cię kocham, żeby zdobyć się na bunt. A przecież zwykły wyskok pozwoliłby mi wyrwać się spod twojego wpływu. Odzyskałabym wtedy poczucie harmonii ze sobą. A teraz pograżam się, akurat wtedy, gdy wszędzie powraca radość. Miłość odpływa jak bieżąca woda... A ja pod prąd w nurt życia. Tłum weseli się, a ja rozpaczam.

Gdy w Paryżu rozpoczęły się walki, postanowiłam opuścić Grands - Augustins, żeby przenieść się na bulwar Henri - IV, do Marie - Therese i Mai, zajmujących tam mieszkanie od

końca pobytu w Royan. Powiedziałaś mi, że sytuacja jest zbyt niebezpieczna i że twoja córka potrzebuje ojca, by ją chronił. Co na to można odpowiedzieć? Próbuję replikować, że skoro razem zaznaliśmy męki wojny, to miło byłoby razem zaznać radości wyzwolenia. Milknę. Ty wtedy dorzucasz w ostatniej chwili, że rachunki na pewno zostaną wyrównane. Kolaboranci wykorzystają to, przychodząc na Grands - Augustins, by się z tobą policzyć i zniszczyć twoje dzieła - dla nich symbole nieznośnej wolności. Gdy się dowiedzą, że na Grands - Augustins cię nie ma, nie będą tracić czasu i dzieła ocaleją.

Mętne rozumowanie, którego kurczowo się trzymasz. Mówisz mi do widzenia. Odpowiadam wymijająco. Prawdę mówiąc, nawet nie widzę, w jaki sposób moglibyśmy się odnaleźć. Nie, żebym bała się, że umrę albo że ciebie zabiją, ale między nami czuję już geograficzną, historyczną, fizyczną niemożność ponownego zespolenia. Coraz częściej rozwiera się przede mną otchłań trwogi, która wcale nie musi się zamknąć. Czyż z natury nie zmierza w nieskończoność? Mogłaby zamieszkać w mieście Trwóg z Pożądania schwytanego za ogon. Nieustannie się pojawia. Jakże wojna na ulicach miałaby się zakończyć, skoro między nami właśnie rozgorzała?

Odszedłeś. Pozostaję w mojej fortecy przy rue de Savoie. Szaniec. Ojciec, niepokojąc się o moje bezpieczeństwo, chciał wprowadzić się do mnie. Uspokoiliam go. Nie ma powodu bać się o mnie, przecież Picasso jest ze mną. To początek kłamstwa. Wierzmy, że ochroni nas niczym rów dawne fortyfikacje. Kłamstwo draży wokół nas fosę. I tylko zamyka nas w sobie. A nasze sumienie, co przypomina? Nic. Jest puste. Definitywnie puste. Nikt nie ma ochoty w nie wnikać. I wręcz śmieszny byłby, zbędny już, napis u wejścia: wstęp wzbroniony.

Zanim się pojawiłeś, byłam młodą kobietą, o której mówiono, że jest wolna. Miałam przyjaciół, niektórych z nich nazywano surrealistami. Byłam fotografikiem. Miałam nazwisko. Często kojarzono je z wojującymi grupami skrajnej lewicy. Czyż nie uznałeś, że miałam udział w twojej Guernice i stanowisku, jakie zająłeś, opowiadając się za republikanami? Co się ze mną stało? Dzisiaj, gdy Paryż się dźwiga, czekam w udręce. Kim jestem, że jak tropiciel szukam na wyspie jedyne go śladu Minotaura, podczas gdy wszechobecna woń prochu świadczy o całkiem innej bitwie?

W Vert - Galant, daleko od zbrojnego zgiełku, wciąż myślę o tobie. Moja ręka na próżno pieści pień wielkiego drzewa na samym krańcu wyspy, które się pnie w twoich najnowszych obrazach. Ono ci przypomniało drzewa Matisse'a i dlatego właśnie je wybrałeś.

Wróciłeś i wszystko się zmieniło. Była piękna pogoda. W oddali wciąż toczyły się walki. W Paryżu strzały milkły. Z obozów śmierci nie wróciła jeszcze żadna mara, ażeby tym, którzy nie chcieli o tym słyszeć, ukazać grozę prawdziwą, przekraczającą wszelkie wyobrażenie.

W tym pośrednim stanie ni to wojny, ni to pokoju tworzy się wielka przestrzeń, w której pleni się radość. Jak na pustyni po dziesiątkach lat suszy, gdy wreszcie nadchodzi deszcz. Rozrywa stare nasiona i w zarodniki, które uznano za martwe, wlewa niepowstrzymany żywioł.

Naszą dzielnicę, tak starą i stateczną, zalewają teraz hordy młodych ludzi, jakby samorzutnie zrodzonych z materii, której przywrócono wolność. Korowód odwiedzających mistrza - drugi, tuż po wieży Eiffla monument Paryża. Od powrotu na Grands - Augustins Picasso - Hiszpan, Picasso - były koryfeusz sztuki zdegenerowanej staje się przedmiotem uwielbienia młodości. Jest symbolem, duchem Francji wyzwolonej. Widzieć chcą go wszyscy.

Pierwszy jest Ernest Hemingway. Przybywa na Grands - Augustins, gdy Picasso przemieszkuje jeszcze u Marie - Therese. Pisarz - kombatant zostawia w portierni skrzynkę granatów, na której przerażona dozorczyńni może odcyfrować jedynie te francuskie słowa: „Dla Picassa od Hemingwaya”.

Pojawią się inni. Angielscy i amerykańscy oficerowie. Przybywają prosto z frontu i zasypiają w fotelach albo na gołej podłodze przy Grands - Augustins. Pracownia przypomina poczekalnię. Twoje dzieła oglądają mimochodem. Widzieć chcą ciebie. O tobie czytają w nagłówkach amerykańskich gazet. Stałeś się ikoną i świeżo zdemobilizowani żołnierze śpieszą cię uczcić. Niektórzy chcieliby podejść. Bliżej ciebie, mój Boże, bliżej ciebie... Dotknąć cię. Albo lepiej - zostać dotkniętym przez ciebie. Przychodzą wreszcie młode kobiety. I jeśli na Grands - Augustins nie wchodzi jeszcze na kolanach, to chętnie rzucają ci się w ramiona. Sabartes jest wściekły. Mnie, swojemu dawnemu wrogowi, skarży się na to rozpasanie. Czyż nie musiał przeganiać dziewczyny, której nigdy przedtem nie widziałeś, a której udało się nago wśliznąć ci do łóżka? Ty, łowca, sam nagle poczułeś się jak zwierzyna i musiałeś wzywać na pomoc Sabartesa, swoją przyzwoitkę, który z miejsca wyrzucił intruza.

Nie byłam przeciwna twojemu wstąpieniu do partii komunistycznej. Zdziwią się tym pewnie ci, którzy twierdzą, że dzisiaj jestem dewotką! To prawda, że w 1944 wojna się dla nas jeszcze nie skończyła i zarysowywały się inne wybory. Do tego obok ciebie był Eluard. I to on sekundował twoim poczynaniom, a ja mu całkowicie ufałam. I to nigdy się nie zmieniło. Nawet w najgorszych chwilach Paul Eluard był u mego boku. To była przyjaźń z miłości, gdy miłość potrafi uwolnić się od namiętności i żywi się najgłębszą empatią.

Picasso z powrotem na Augustins. Ponowiliśmy rytuał telefonowania i naszych śniadań u Katalończyka, ale już rzadziej bywałam w jego pracowni. Tłum, a ja niechętnie patrzyłam na to, jak to niezrównane dzieło staje się zjawiskiem mody. A przynajmniej taka była moja argumentacja i starałam się jej trzymać. Czułam niejasno, że jest znacznie gorzej, że właśnie tracę mężczyznę, którego kocham, i że toczy się gra o moje życie. Mogłam bić się z adoratorami Picassa i przetrzeć drogę prowadzącą do niego poprzez opary kadzidła. Bardziej bolesne było dla mnie snucie domysłów na temat plisowanej spódniczki, która nieustannie kręciła się na wszystkie strony przed oczami malarza. Nie chciałam widzieć tej młodej osóбки, rozpoznawać jej profilu, sylwetki, które przecież pojawiły się w Bachanaliach zainspirowanych przez Poussina, które ukończyłeś w sierpniu 44 po powrocie na Grands - Augustins. Nie chciałam łączyć jej z imieniem, a tym bardziej z twarzą.

Picasso był mistrzem w naginaniu nawet najbardziej skomplikowanych sytuacji do swoich potrzeb. Materia była mu posłuszna. Czemuż więc ludzie mieliby manifestować większy opór? Jego pobyt u Marie - Therese pozbawił mnie nadziei. Picasso nie kłamał. Marie - Therese nie była moim wrogiem, teraz już nie. Czułam, że rodzi się kolejna miłość i że w tym rodzinnym zaciszu Picasso widzi swego rodzaju no man's land. Dał sobie czas niezbędny na metamorfozę. Rodził się nowy świat i Picasso ponownie chciał go wyprzedzić. Nie byłam pewna, czy w tym świecie zechce mnie u swego boku. Od tego jednak zależało moje przetrwanie.

Grands - Augustins stała się przedpokojem obowiązkowym dla wszystkich tych, którzy przypuszczali szturm do chwały - artystycznej bądź literackiej. Wypadało sprawiać wrażenie, że się zostało namaszczone przez mistrza. A jeśli raczył się pokazać tylko na krótką chwilę,

kontynuowano rozmowy we własnym gronie, ledwie omiatając spojrzeniem zgromadzone dzieła. Zresztą, na wernisażach, na które obowiązkowo zostało się zaproszonym, zapanował zwyczaj odwracania się do nich tyłem. W końcu Picasso ukazywał się oczom swoich osłupiałych pochlebców. Z uśmiechem na twarzy, zaaferowany, był oczywiście młodszy niż oni wszyscy razem wzięci. Później będą opowiadać, „byłem tam”, niektórzy o tym napiszą. Dla mnie niebezpieczeństwo tkwiło gdzie indziej. Lecz tego niebezpieczeństwa nie miałam możliwości zażegnać.

Data twojego przystąpienia do partii komunistycznej została jednak przedyskutowana w trójkącie, ty, Paul i ja. Miało to nastąpić w październiku. Nie przebierałeś w środkach. Z jednej strony salon jesienny, w którym nigdy nie chciałeś uczestniczyć, miał przedstawić retrospektywę twojej twórczości. Z drugiej strony na dwa dni przed otwarciem salonu miałaś ogłosić wiadomość o twoim przystąpieniu do partii.

Piątego października 1944 jesteś na pierwszej stronie „L'Humanite”. Dziennik ma problemy z zaopatrzeniem w papier i dzień w dzień ukazuje się tylko w dwustronicowym wydaniu. Tego dnia połowa ich pierwszej strony jest poświęcona tobie. Na zdjęciach ty z Marcelem Cachinem i Jacques'em Duclos'em. Pod reprodukcją Mężczyzny z jagnięciem tekst Eluarda: „Cała delikatność i głęboka dobroć artysty rozbłyskują w skupionej twarzy człowieka ludu”.

Zachowałam egzemplarz „Humanite” z 5 października 44 roku. Zapomniałam, że wojna jeszcze trwała. Obok trzech kolumn poświęconych Picassowi, dwie inne mówiące o toczących się walkach. Tytuł: „Goebbels wzywa do rozpaczliwej walki partyzanckiej” i słowa samego Goebbelsa: „Każdy dom - oznajmił - ma się przekształcić w fortecę, wszyscy mają się przygotować do walki na śmierć i życie.

Nieprzyjaciel podczas swego pochodu musi mieć przed sobą i za sobą fanatyczną ludność, która będzie go bezustannie nękać". Tak mówi Goebbels, który otruje się wraz z całą rodziną w berlińskim bunkrze podczas ostatnich dni walki.

Ten początek października, towarzyszę ci na cmentarz Pere - Lachaise, gdzie partia komunistyczna organizuje apel ku czci intelektualistów zabitych podczas wojny. Korzystam z okazji, żeby zrobić zdjęcia, które zostaną opublikowane przez „Ce soir”, dziennik Aragona. Widać cię na czele pochodu. Po twojej prawej Paul, jak pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy, a po lewej - Raymond Queneau. W drugim szeregu miga Nush, jej kołysząca się torebeczka, sfatygowana, na końcu drobnego ramienia. Moja piękna Nush, która niebawem zniknie. I spowodowany tym wstrząs, który będzie miał swój udział w mojej nadchodzącej rozpacz.

W tym okresie - jesiennego salonu - wybucha skandal, i to jaki! To twoje dzieła spośród wszystkich innych, zapóźnionych o sto lat, pobudzają umysły. Pokazujesz, często po raz pierwszy, wielkoformatowe obrazy i rzeźby, od tych, które powstawały w 1937 roku, po najnowsze, ledwie przeschnięte martwe natury. Na honorowym miejscu figurują liczne portrety Marie - Therese i moje. Młodzi kolaboranci ponieważ chcą w złości opluć wizerunki naszych podobizn. Mówią o nas, dziwki bazgracza. I rzeczywiście, równoczesne ogłoszenie twojego przystąpienia do partii zadziało jak iskra rzucona na proch. Młodzi zwolennicy Doriota, w zмовie z panami z Instytutu, krzyczą jak przerażone mewy i lżą twoje malarstwo, według nich coraz bardziej zdegenerowane: „Zwrócić nam pieniądze! Zdjąć obrazy ze ścian! Spalić”. Pewnie z nostalgią przypomnieli sobie autodafe w Tuileries, gdzie ludzie im podobni ułożyli stos z płócien Kleego, Masona, Miro, Legera i rzecz jasna Picassa.

Ani myślisz postawić nogę w salonie, ale robisz taką minę, jakby cała heca cię bawiła. Replikujesz i po wielokroć powtórzysz: „Najgorzej byłoby wtedy, gdyby się nic nie stało”. Co więcej, protest podpisany przez wszystkich liczących się, Valery'ego, Mauriaca, Eluarda, Sartre'a, Aragona, piętnuje krzykaczy i wynosi twórcę.

Wybucha taka wrzawa, że niektórzy wręcz twierdzą, iż Picasso swoje zaangażowanie - słowo zrobiło się modne - zamienia w chwyt reklamowy. Musisz tłumaczyć się z tego w skrajnie lewicowym amerykańskim czasopiśmie. Tekst zostaje przedrukowany w „L'Humanite”: „Moje przystąpienie do partii komunistycznej jest logicznym następstwem całego mojego życia, całej twórczości. Mówię to z dumą, ponieważ nigdy nie uważałem malarstwa za sztukę zabawową, rozrywkową; za pomocą rysunku i koloru, ponieważ to jest mój oręż, zawsze chcę przenikać dalej w poznawaniu świata i ludzi, ażeby to poznanie każdego dnia coraz bardziej nas wyzwalało”.

Na jesiennym salonie organizuje się młoda gwardia broniąca dzieł mistrza. Wielbiciele, członkowie ruchu oporu, studenci, malarze. Dziewczyny, w spódnicach plisowanych lub nie, nie zawahałyby się rzucić swoich ciał na szaniec.

Lata wojny ogołociły kraj z artystów i ich dzieł. Rząd Vichy spowodował w umysłach straszny regres estetyczny. W 44 upodobania publiczności i dzieła artystów dzieli fosa niezrozumienia.

Jeszcze istnieję i zależy mi na tym, by o tym wiedziano. Nigdy tyle nie malowałam, co od śmierci mojej matki. Cierpienie mnie nie wyzwoliło. Czuję natomiast potrzebę uczepienia się jakiejś boi ratunkowej. Gdy moja lewa ręka ściska konwulsyjnie pędzel, zawsze myślę o palcach mojej matki kurczowo zaciśniętych na słuchawce telefonu, w której nie usłyszy już mojego głosu. Dlaczego nie znalazłyśmy słów?

Dlaczego zawsze jest za późno? Dlaczego istnieją chwile, których nie można cofnąć? Jestem teraz sama na rue de Savoie i trzymam pędzel. Tylko dzięki niemu mogę się zmusić do dalszego marszu. Ciągnie mnie do przodu. Całe moje ciało uwieszone na nim.

Ale Picasso mi mówi: „Daj się sobie ponieść. Twój pędzel to nie scyzoryk, który radośnie wbijesz sobie w dłoń, żeby ukarać grzesznicę! Malowanie to nie pokuta. Nie zapominaj, Doro, nie zapominaj o radości. Świat wokół ciebie jest pełen błędów, ich naprawianie nie jest twoim obowiązkiem. Pokaż go, ten świat, tak jak na to zasługuje: postawiony na głowie z tyłkiem wypiętym do góry!”.

Zamiast słuchać go błogo jak zwykle, któregoś wieczoru odparłam, że jego zdolności pedagogiczne zdecydowanie się poprawiły. I że najpewniej wypróbował je u innych. I uwierzyć, że obiektem mojej zazdrości były dzisiaj uczennice, tak jak jego był kiedyś Georges Bataille. Trzasnął drzwiami, a ja go nie zatrzymywałam. Wiedziałam, że go tracę.

XII

Wchodzę w okres nieładu. Nie ma już nici przewodniej, żadnej chronologii. Wszystko gmatwa mi się w głowie. W kraju mówi się tylko o odbudowie. A ja zawsze pod prąd.

Przeżyłam w tych latach, może były to dwa lata, rozpad na kawałki czasu i mnie samej. Przypominam sobie fakty, przypominam sobie moje uczucia, nie udaje mi się odtworzyć ich logicznej kolejności. Najgorzej, że nie chcę porządkować sobie pamięci, ani odnajdywać na dnię moich walizek dokumentów, wycinków prasowych czy katalogów wystaw, które posłużyłyby mi za punkty orientacyjne. Zamęt w moich wspomnieniach najlepiej odzwierciedla to, co przeżywałam przez te miesiące. Bez niedomówień - nikogo nie oskarżam. Nie twierdzę, że to elektrowstrząsy uszkodziły mi pamięć bezpośrednią i wprowadziły zamęt do moich wspomnień. Nosłam w sobie ten zamęt, jeszcze zanim przeszłam brutalną kurację w Sainte - Anne.

Nie zapomniałam niczego, a w każdym razie niewiele. Zmniejszyła się jedynie intensywność tego bólu, którego powtarzające się ataki odczuwałam przez ponad dwa lata. Podobnie ze skrajnymi wrażeniami termicznymi. Nawet jeśli odczuło się je na własnym ciele, z trudem przychodzi przypomnienie sobie cierpienia. Było mi albo bardzo gorąco, albo bardzo zimno. Na palcach odmrożenia. Kostki puchły w gorączce żaru. Niech tam! Ale jakim sposobem chłód albo skwar? Nie mogę już odczuć intensywności chwili. Czy moglibyśmy dalej żyć, gdyby nasza pamięć musiała gromadzić wszystkie nasze cierpienia w stanie nieoswojonym? Nasze koszmary to jedynie ich echo.

Umieram dlatego, że umrzeć nie mogę, najwyższa rozkosz, nadir cierpienia. Topór na skraju zranienia, pisał Eluard.

Wszystko to musiało się dziać między rokiem 1944 a 1946. Nie wiem, po co. Nie wiem już, w jaki sposób. Przede wszystkim nie wiem, w jakim porządku, ponieważ porządku już nie było. Mam wrażenie, że jakoś ewoluowałam w rozbłyskach tego modnego dzisiaj odmiennego światła, którym oświetla się parkiety w nocnych lokalach. Światła, które każdą sylwetkę wycina w niespokojnym rytmie afrykańskiego transu.

W tych latach miałam pewnie ze dwie czy trzy wystawy. Można by powiedzieć, że ci wszyscy zmarli, których zwłoki ułożone w piramidę mogłyby sięgnąć nieba, że wszyscy ci nieszczęśni zmarli, każdy niepowtarzalny, zostali poświęceni dla zachcianki tych, którzy przeżyli. Wracali wygnańcy. Galerie ponownie otwierały swoje podwoje. Każdy artysta czuł się zmuszony wystawić swoje ostatnie dzieła, ażeby dać do zrozumienia, że jeszcze żyje.

Wiedziałam, że to nie moje obrazy przyjdą oglądać u Jeanne Bucher, przy bulwarze Montparnasse. Nikt nawet nie będzie się już zajmował rosnącym wpływem mistrza na ucznia. To, że obrazy wiszą, nie ma znaczenia. Wydarzenie nie rozgrywa się na ścianach. Spektakl jest gdzie indziej. To ja jestem widowiskiem. Już nie podobizna, którą geniusz Picassa oddał adoracji estetów z całego świata, lecz naznaczona cierpieniami twarz, z której niebawem trzeba będzie wycierać plwociny.

Przyszli wszyscy. Taka gratka! Coś wreszcie się dzieje na lewym brzegu. Długa cisza, przez którą ledwie mogły się przebić dźwięki syren i wybuchy granatów, należała do przeszłości. Przybiegnijcie wszyscy. Będziecie mieli co opowiadać dzieciom. Co za wydarzenie! Picasso niezmiennie deus ex machina. Nie zmienił się. I patrzcie, Dora, Dora Maar, kiedyś bardziej dumna niż Hiszpanka. Zamordował ją,

oszukał. Jutro od niej odejdzie. Na jej twarzy widać już znamiona porzucenia. Ubiera się tylko na czarno.

Oszupienie! Ośmieliła się przyjść do Jeanne Bucher. Ona. Zaledwie dwadzieścia lat i ma czelność rzucać mi wyzwanie na moim terenie. Precz z plisowaną spódniczką, uczennica wystroiła się na tę okazję. Pstrokata bardziej niż koliber, przeciska się przez tłum. Szuka go. Wie, że przyjdzie. Miesiącami go tropiła. Dopadła u Katalończyka. Od tego czasu pewnie nieprzerwanie się za nim ugania i Sabartes na pewno nie potrafił jej przepędzić z łóżka na Grands - Augustins. Dzisiaj wysiliła się na kolor, ażeby Picasso zdołał ją dostrzec w tłumie.

Nadchodzi. Za nim jego kamaryla. Zmierza w moją stronę. Rzec by można Wersal - król składa ostatni hołd faworycie, którą chce odprawić. Dworzanie cofają się o krok, żeby zrobić przejście dla jego majestatu. Ścisk, deptanie po nogach.

Tymczasem gra zostanie rozegrana we troje. Dostrzegam kolibra, nagle przestraszonego, który otrzepuje swoje niepokładane młode piórka i odlatuje. Picasso nagle wszystkich opuszcza i pośpiesznie rusza w stronę schodów w pogoni za kapryśnym ptaszkiem. Słyszę jeszcze, jak natarczywie woła ją po swojemu, to grożąc, to błagając. Wraca po kilku minutach, uparty wzrok, czoło zmarszczone jak zwykle w ciężkich chwilach. Ale i tak wie, że w końcu usidli kolibra, zbyt zawziętego, żeby się ulotnić.

Wchodzę na Grands - Augustins, nie dzwoniąc, bez zapowiedzi. To moja błyskawiczna metoda, włamanie. Nie zastaję żadnego gościa, żadnego gapia, żadnej kobiety na horyzoncie. Ani plisowanej spódniczki, ani kolibra. Gdybym ośmieliła się zajrzeć do pokoju, odkryłabym z pewnością pustkę. I tylko Paul piszący w zeszycie otwartym na kolanach, i Picasso, który rysuje na stojąco. Nie ruszyli się z miejsca, kiedy weszłam. Powiedzieli mi po prostu dzień dobry, jak na

nich trochę za słodziutko. Domyślam się, że obawiają się z mojej strony jakiegoś nowego szaleństwa, a ja chcę ich w tych obawach utwierdzić. Podchodzę do nich, tych dwóch najbardziej ukochanych przeze mnie osób na świecie, i wygłaszam swoje przemówienie: „Naglący powód zmusza mnie do tych odwiedzin; tego, co ci mam powiedzieć, nie godzi się odwlekać”. (Molier, Don Juan, czyli Kamienny gość. W przekładzie Tadeusza Żeleńskiego (Boya), akt IV, sc. 9, w: Teatr, t. I. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972, s. 282.)

Zbija ich z tropu ten jawnie nie mój styl, którego jednak ani jeden, ani drugi chwilowo nie rozpoznaje. Więc rozpalam się nieco bardziej i dostarczam klucz do mojej postaci: „Donia Elwira, czy to wam coś mówi?”. Oni nadal ani w ząb, więc irytuję się i powtarzam moją kwestię.

Zanim nawiązałam do słów, które Molier włożył w usta przeczystej Elwiry, podsuwam moim przyjaciołom parę oskarżeń własnego pomysłu. Wyrzucam im, że uważają się za zbawców świata - artystów - komunistów, osobliwa sztuczka - i wykorzystuję moment, żeby przejechać się po ich rodzinach. Paul, który nie może tego znieść, robi krok w moją stronę w nadziei, że uda mu się mnie uspokoić, tak że obrywa mu się jako pierwszemu; wyrzucam mu rzeczy, które w ogóle nie powinny mnie obchodzić. Posuwam się do tego, że reguluję z nim rachunki, które wcale mnie nie dotyczyły. Wypominam, że Nush musi na niego czekać, gdy on zadaje się z prostytutką, że prosi ją, by zaczekała na niego na tarasie bistro naprzeciw. Paul nie odpowiada i gdy Pablo chce mnie uciszyć, ja dalej wyrzucam, co mi leży na sercu. Za jednym zamachem potępiam plisowane spódniczki, kolibry, straty, na jakie narażony został mój wizerunek i ja sama, oszukaństwa i kłamstwa.

A przede wszystkim obojętność Picassa w sprawie religii. Bo cały ten wywód apeluje do jego duszy. Moja kruczata na Grands - Augustins. Chcę wzbudzić skruchę w tych dwóch grzesznikach i doprowadzić do tego, by zmienili swoje życie. To Elwira na ziemi misyjnej:

„Kochałam cię miłością bez granic, nie było dla mnie nic droższego na świecie. Dla ciebie zdeptałam obowiązki, wszystko uczyniłam dla ciebie; a cała nagroda, jakiej zebrzę dzisiaj, to abys zechciał odmienić życie i ustrzec się ostatecznej zguby. Ratuj się, błagam, przez miłość dla siebie albo przez miłość dla mnie...”. (Tamże, s. 283.)

Rolę Elwiry znam na pamięć. Powiedziałabym nawet, że dla mnie została napisana. Za młodu w Buenos Aires zawładnęła mną. Występowałam w amatorskim zespole w Alliance francaise. I od razu polubiłam namawianie Don Juana do skruchy.

Od twojej śmierci, kochanie moje, niekiedy nawet wyobrażam sobie, że moje dawne napomnienia nie były bezskuteczne.

Był sobie pierścień. Wspaniały rubinowy kaboszon osadzony w złocie. Ogień i krew. Picasso poprawiał: ledwo wyschnięta krew, jak krew Dory na rękawiczkach z pierwszego dnia. Pierścionek ten należał do mojej przyjaciółki Lise Deharme. Oszalałam na punkcie tego klejnotu, kiedy Picasso zaproponował Lise, że w zamian za pierścionek da jej obraz. Zgoda! Lise dostała swój obraz, a pierścionek Picasso włożył mi na palec.

Kilka lat później spacerowaliśmy po Pont - Neuf. Nie wiem, z jakiego powodu, ale zaczęliśmy się spierać. Pamiętam tylko, że rozdźwięk był głęboki. Picasso najpierw zmusił mnie, żebym zwolniła kroku, a potem zatrzymała się. Na pewno żałował, że nie udało mu się skłonić mnie do pochylenia się i zdjęcia butów. Nie mógł znieść, że jestem

wyższa od niego, a tego dnia moje wysokie obcasy powiększały różnicę wzrostu. Zmęczona kłótnią, schowałam twarz w dłoniach. Gdy zauważył rubin skrzący się na moim palcu, przypomniał sobie handel wymienny z Lise. Czyż nie przeze mnie musiał pozbyć się pięknej akwareli w zamian za nędzny czerwony kamyk? Wolała pani, powiedział, mroczne dzieło czasu od błysku jego kreski, wartość klejnotu od niepowtarzalności mojego dzieła. Mało, że nie kocha pani we mnie ani mężczyzny, ani twórcy, to jeszcze jest pani interesowna. Czerwony kamyk, byle tylko kosztował fortunę, zawsze będzie dla pani więcej wart, niż podpisane przeze mnie dzieło.

Ta mowa oskarżycielska wydała mi się tak niesprawiedliwa, że nie mogłam zdobyć się na odpowiedź. Próbowałam wykonać jakiś gest, ale nie wiedziałam już, po co tam jestem. Poczułam, że ulatniam się z samej siebie. W milczeniu zaczęłam ściągać pierścionek z palca. Musiałam jednak zmobilizować wszystkie swoje siły, bo pierścień był bardzo ciasny. W końcu udało mi się go ściągnąć. Na pierścień nawet nie spojrzałam, także na ofiarodawcę. Jedno machnięcie i wyrzuciłam za barierę piękny rubin, zaschniętą kobiecą krew. Nawet nie spojrzałam, jak znikał w falach.

Co się działo potem? A cóż mogło się stać? W mojej głowie mrok. Na pewno krzyknęłaś, że zwariowałam. Nie bez racji. Później opowiesz Paulowi, który cię skrytykuje za twój stosunek do mnie: „Ach, Dora była szalona, jeszcze zanim oszalała!”. Nie chciałaś jednak przyznać, że jeśli szalała, to najbardziej za tobą. Szaleństwa boisz się tak samo jak śmierci. Jak faktycznie można się nie bać jednego i drugiego? Więc sądziłaś, że moje szaleństwo kompletnie cię nie dotyczy. Zaczęło się już przed tobą. Jest wynikiem połączonych wpływów Georges'a Bataille'a i moich przyjaciół surrealistów. No a Picasso? Picasso nie miał nic do rzeczy. Picasso w

zamian nauczył Dorę tego wszystkiego, co mogło pomóc jej załagodzić deficyty biologiczne pogłębiane przez wszelkiego rodzaju zaburzenia i rozwiązłość.

Kilka tygodni po stracie pierścionka dowiedziałam się, że na wysokości Pont - Neuf oczyszczano Sekwanę. Pod koniec wojny zaczęło się wielkie sprzątanie rzeki i, jak się okazało, od tego odcinka. Od razu poszłam do Samaritaine, żeby kupić tam łopatę, i próbowałam przekopywać sterty rozkładającego się na stromym brzegu śmierdzącego błota w nadziei, że odnajdę rubin. Równie dobrze można by szuflą łapać uciekający czas.

I nasza miłość

Czy on musi mi ją przypominać

A jednak odczuwałam rozkosz, przeszukując rękami te nieczystości. Rękami, które Picasso kochał i malował, tymi, dla których stworzył niepowtarzalne klejnoty, tylko dlatego przestałam grzebać nimi w nieczystościach, bo przegoniono mnie jak żebraczkę.

Tego dnia rano zatelefonowała do mnie Nush. Długo rozmawiałyśmy i nie ukrywałam przed nią mojego przygnębienia. Zdarzało mi się zwierzać jej z tego, co przemilczałam sama przed sobą. Opowiedziała mi, jak brakuje jej Paula. Pojechał na spotkanie z Lachenalem, swoim genewskim wydawcą, u którego redagowali serię. Okazało się, że akurat przebywał w Valais, gdzie, jak liczył, uda mu się jeszcze przez kilka tygodni popracować w samotności hotelu Mirabeau de Montana. Właśnie napisał do niej, że jest zniechęcony. Wojna ledwo się skończyła, cała młoda IV Republika zabrała się do handlowania i przetargów. On sam miał dość bycia Paulem Eluardem, poetą, którego kupuje się dla jego nazwiska, a którego się nie czyta. Szukał nowego pseudonimu, ażeby zacząć nowe życie poetyckie. Nush

czytała mi rymowane wiersze załączone do listu. Pod koniec głos trochę jej drżał:

Łagodna przyszłość, to wydrażone oko to ja.

Otwarte trzewia i nerwy w strzępach

To ja, podmiot robactwa i wron,

Syn nicości - tak jak się bywa synem króla.

Chyba zainspirował go Villon, nadmienila. Ja, słuchając, jak czyta te wiersze, pomyślałam o Baudelaire. Zresztą nonsense. Przecież to słowa Paula Eluarda i tylko jego. Może sobie zmieniać nazwisko, i tak pozostanie Eluardem. Na co Nush powiedziała mi, że musi skończyć, żeby się zająć swoją teściową, która miała silną gorączkę, ale że chce się ze mną widzieć. Uzgodniłyśmy, że spotkamy się w mojej pracowni wczesnym popołudniem i że przekąsimy coś drobnego.

Gdy kilka godzin później usłyszałam dzwonek, poszłam otworzyć, pewna, że na klatce schodowej zastanę moją piękną Nush. Stał tam Picasso, zatroskana mina, na ramionach pośpiesznie narzucony nieśmiertelny nieprzemakalny płaszcz. Wszedł bez słowa. Odezwałam się, żeby w ogóle coś powiedzieć:

- Już dawno nie robiłeś takich niespodzianek!

- Niepokoję się o Nush - odparł przygnębiony.

- Gdy zadzwoniłeś, myślałam, że to ona. Czekałam na nią.

- Toteż zdziwiłem się, widząc uśmiech na twojej twarzy. Teraz już rozumiem. Uśmiech nie był przeznaczony dla mnie, prawda?

Wyraźny niepokój nie przeszkadzał mu wbić mi w ciało ostatniej chorągiewki. Dodał, że właśnie dzwonił na Augustins, żeby mu powiedzieć, iż Nush zaniemogła. Nagle zemdląca i okazuje się, że od tamtej pory jest w śpiączce. Lekarz rodzinny był przy niej i próbował ją reanimować.

Od razu wysłaliśmy telegram do Paula, prosząc go o pilny powrót, bo Nush jest chora. Po godzinie dowiedzieliśmy się, że zmarła nie odzyskawszy przytomności. Osłupiałam i tylko powtarzałam mechanicznie, że to niemożliwe. To nie było możliwe.

Wróciliśmy na Grands - Augustins. W przedpokoju zwariowany tłum oczekujący na powrót Picassa. Mieszają się wszystkie języki. Pamiętam tłum wypowiadający niezrozumiałe słowa. Do amerykańskich nabywców dołączyły inne typy, których tożsamości nie miałam ochoty ustalać. Holendrzy, Finowie, Szwedzi? Walili buciarami jak w poczekalni trzeciej klasy. Na pewno ze zniecierpliwienia, bo przecież nie było zimno. Gdy mistrz przybył, zamilkli. Dał nura w tłum, z nikim się nie witając. Z trudem otwierał usta, gdy mówił, że Nush nie żyje. W stronę Brassai'a zajętego fotografowaniem głowy z brązu dodał: „Tak ją kochaliśmy, tak ją kochaliśmy... Nush już nie ma!”.

Przyjechał Paul. Nie chciał uwierzyć w jej śmierć. Wziął ciało Nush w ramiona, żeby pokazać lekarzowi, że jej członki wciąż zachowały giętkość. Że tylko trzeba cierpliwości, że się obudzi, na pewno. Wystarczy jej tylko trochę pomóc, żeby wróciła do nas. Całował ją w szyję, w kark. Zapewniał, że jest ciepła, a nawet rozpalona. Lekarz musiał przeciąć brzytwą żyły na jej nadgarstku, ażeby udowodnić przerażającą prawdę. Nie żyje. Krew Nush nie płynęła. Usta Paula zamilkły.

Później napisze:

Moja miłość jest coraz realniejsza jest ziemska I nigdzie indziej nie wyobrażam sobie jej zapachu Moja miłość mój mały moja korona zapachów Nic a nic nie miałeś wspólnego ze śmiercią Twoja czaszka nie zaznała nocy czasów.

Napisałam dzisiaj te słowa, a znam je na pamięć. Paul Eluard łączy się teraz w śmierci z Nush. Wiem, że nie wierzył w drugą szansę, zresztą jeszcze mniej w zaświaty. Z naszej

czwórki tylko ja jeszcze żyję. Jedyna. Czyż nie takie imię nadałam sobie w dzieciństwie? A ty, kochanie moje, umarłeś tego roku. Bez końca powtarzałam z myślą o tobie słowa napisane dla Nush:

Moja miłość mój mały moja korona zapachów Twoja czaszka nie zaznała nocy czasów...

Uczennica już była w twoim życiu, ale jeszcze zatelefonowałaś do mnie i poprosiłaś, żebym przyszła na obiad do Katalończyka. Nie powiedziałeś nic, co mogłoby wskazywać na koniec naszego związku. Ale nocy nie mieliśmy już wspólnych. Niepewność była taką samą udręką jak miłość. Pewnego wieczoru, nie mogąc już tego znieść, udałam się na Grands - Augustins bez zaproszenia, nie myśląc o konsekwencjach swojego kroku. Wydawało mi się, że więcej ryzykuję, żyjąc blisko ciebie, ledwo sto metrów, niż ulegając takiemu natręctwu. Czyż nasze dwa domy nie obcowały ze sobą podczas tych lat? Nasze dwa ciała się nie spleły? Usta wespół nie oddychały? Nasze ręce nie dały życia Picamaarom? Nasze wyobrażenie na dwie gry i na dwa dzieła? Nie było Picassa i Dory? A twój pysk Minotaura, który mnie pożerał chciwie? W tych chwilach nie byłam Kobieta płaczącą. Jeśli z moich oczu płynęły łzy, to wywołała je ofiarowana mi przez ciebie rozkosz.

Noc dawno zapadła i przy Grands - Augustins zastałam zamknięte drzwi. Widziałam światło na drugim piętrze. Ines, która usłyszała moje pukanie, była wyraźnie zaskoczona, nawet poruszona. Przemawiała do mnie łagodnym głosem, ledwie słyszalnym. Spytałam, czy obawia się, że obudzi swojego syna - nie powinien już spać o tej porze? - albo czy zaniepokoił ją mój wygląd. Oh! Proszę pani, odparła, przyszła pani tak późno. Co tu powiedzieć? Tutaj nie ma już nikogo.

Wyglądała pięknie w swojej długiej kwiecistej koszuli córki Południa. Macierzyństwo sprawiało, że jeszcze bardziej

rozkwitła. Spotykając ją, nie mogłam nie pomyśleć o hotelu Vaste - Horizon, gdzie ją poznaliśmy, gdzie się poznałyśmy. Zawsze istniała między nami nić porozumienia wyrażanego spojrzeniami, uśmiechami, tym urokiem, jaki nawzajem na siebie wywierałyśmy.

Teraz wpatrywała się we mnie z przestraczem w oczach. Mogłam położyć kres jej katuszom, nie próbując zmusić jej do powiedzenia mi tego, co mogłoby mnie zniszczyć. Ale nalegałam. Na górze nie świeciło się światło? Widziałam je, przechodząc przez dziedziniec, jestem pewna. Ma pani rację, ustąpiła. Jeszcze nie pogasiłam świateł. Twierdziła, że spóźnia się z obowiązkami, ale była już w koszuli i miała bose stopy.

Jestem pewna, że on tu jest, Ines. Na próżno pani zaprzecza, jestem tego pewna. Widząc smutek w jej oczach, zrozumiałam, że przegrałam. Nie chciała potwierdzić i tylko powtarzała „proszę panią”. Gdy pływałyśmy razem w Mougins, chyba nawet zwracała się do mnie po imieniu. To nie był już mój dom, inna go zamieszkiwała. Ines była strażniczką innej miłości, której nie mogła mi wyjawić.

Pewnie jeszcze nalegałam. Jest z nią, prawda? Znałam imię mojej rywalki. Zakazałam sobie wymawiania go. Dlaczego nie potrafiłam nakazać zamilknąć swojej rozpacz? Przecież może mi pani powiedzieć, Ines, że są razem. Niczego nowego się nie dowiem. Wiem wszystko, rozumie pani?

Szarpnęłam się tak, że rozsypał mi się kok. Ines podeszła, objęła mnie i łagodnie pogłaskała po głowie. Spytała mnie po hiszpańsku, czy chcę, żeby mnie odprowadziła do domu. Podziękowałam. Wszystko w porządku. Przeszła ze mną przez dziedziniec, jakby chcąc mi uniemożliwić ponowne podniesienie wzroku w stronę rozświetlonego okna. Nie miała czasu na włożenie butów i stąpała bosymi stopami po bruku. Powiedziałam jej, że się zaziębi. Na chodniku przy Grands - Augustins pocałowałyśmy się na pożegnanie. Wróciłam sama.

Wszedłeś do Flore i nikogo poza tobą nie widziałam. Chyba ucieszyłeś się, że przypadek nas zetknął. Długo cię nie było. Ruszyłeś w moją stronę. Wtedy właśnie ją spostrzegłam. Trzymałeś ją chyba za rękę jak dziecko, ażeby ją zmusić, by posłusznie poszła za tobą, i zmusiłeś ją do spotkania ze mną.

Miałam zaszczyt zostać oficjalnie przedstawiona. To było ponad moją wytrzymałość. A ty byłeś zadowolony i dumny. Dawniej myślałam, że ukaranie Don Juana polegało na tym, że w końcu stanął przed straszliwym zgromadzeniem kobiet, które w swoim życiu kochał, a potem porzucił. W obecności nas obu raczej nie wyglądałeś na zażenowanego. Nawet sprawiało ci to radość i bez najmniejszego oporu kazałeś mi podziwiać kobietę, którą nazywałeś swoim odkryciem. Jest nadzwyczajna, prawda? Na bankiecie nawet usiadłeś przy mnie na ławce, a jej kazałeś usiąść naprzeciwko. Niewiele brakowało, a kazałbyś jej prawić mi komplementy. Nagle znalazłam się w pozycji ciotki czy matki, której prezentuje się ostatnią zdobycz. Jak na końskim rynku uniosłeś jej chrapy, żeby pokazać, iż dziąsła i uzębienie ma w doskonałym stanie. Jamę ustną miała zdrową, jak można sądzić na podstawie całej reszty jej osoby.

Odczuwałam w stosunku do niej coś w rodzaju współczucia. Była taka młoda. Pewnie miała dwadzieścia lat, a wyglądała na siedemnaście. Domyślałam się, że nie jest jedną z tych młodych dziewic, które składano w ofierze w Inca. Moja rywalka była kowalem własnego losu. Czoło, spojrzenie, podbródek - miała w sobie coś nieugiętego. Kroczyła z otwartymi oczami i pomimo młodzieńczej świeżości, czuło się, że mięśnie ma silniejsze niż zmysły, a inteligencję bardziej wymagającą od zmysłowości. To dziecko, rumieniące się, ilekroć napotkało moje spojrzenie, stawiało nam teraz opór z zaskakująco zimną krwią. Dorosła do tej sytuacji. To był jej egzamin wstępny.

Chciała go, swojego starszego pana. Czyż nie był genialny i sławny, nie był pięćdziesiąt lat starszy od niej i nie miał fortuny? Minotaur najpierw pożre ją łakomie, żeby następnie od razu zwymiotować. Czemu miałyby służyć mówienie młodej uczennicy, że nie była pierwsza i że nie będzie ostatnia? Wszyscy chcemy kęs Picassa, lecz zwierzę jest łykowate. Można sobie połamać ząbki.

Wstałam, żeby wyjść, ale zatrzymał mnie.

- Dokąd pani idzie?

- Do siebie.

- Za godzinę będziemy u pani.

- Po co?

- Muszę z panią porozmawiać. A to dziecko chciałoby zobaczyć pani obrazy i moje również, tak samo jak moje.

Przemawiał tonem właściciela, a takiej subtelności nie mogłam się oprzeć. Zgodziłam się na tę domową wizytę, żeby móc już odejść. Ostatecznie musiałam posprzątać mieszkanie przed wizytą mistrza. Myślałam wtedy, że wytatuuje może na jej pięknej białej skórze, napiętej i matowej, podobne zwierzątko. Wyssałyby z niego krew, szpik i limfę. Poprosił, żeby mu pokazać moje ostatnie martwe natury. Słowo martwa natura, które zawsze odrzucałam, nagle wydało się uzasadnione. Moja twórczość była już tylko martwą naturą.

Gość zachwycił się jak należy. Znajdowaliśmy się w dobrym towarzystwie. Lecz Picasso nie zabrał nas dla przyjemności związanej z prowadzeniem konwencjonalnej konwersacji. Chodziło o nadanie sprawie większego znaczenia. Czyż nie wybrał dogodnej dla siebie chwili? Już nikt nie był w stanie go zatrzymać.

„Otóż chcę - powiedział - żeby wszystko było między nami jasne. To dziecko ma niepotrzebne skrupuły. Roi sobie, że ponosi częściową odpowiedzialność za nasze zerwanie, zastanawia się, czy żyć ze mną, ponieważ obawia się, że

zajmie pani miejsce. Zapewniłem ją, że między nami wszystko skończone, i chcę, żeby pani też to jej powiedziała, żeby ona w to uwierzyła".

Tak oto zawiadomił mnie o mojej dymisji. Był jednak na tyle delikatny, że nie nasłał na mnie komorników, którzy zabraliby podarowane mi przez niego obrazy. Później stwierdzi, że wobec nikogo nie był tak szczodry jak w stosunku do mnie. Dora? Z tym, co jej dałem, mogłaby przeżyć kilka istnień, nie robiąc nic. I to się zgadza, kochanie moje. Ale widzisz, wolę niczego nie sprzedawać i zadowolić się jednym życiem, w którym dane mi było cię kochać.

Oświadczenie Picassa było na tyle kategoryczne, że całkowicie pozbawiło mnie woli obrony. Mogłam już tylko przytaknąć. Poszłam jeszcze dalej. Między nami wszystko było oczywiście skończone. I to od dawna. Sprawa była załatwiona.

Jak śmiał powiedzieć mi to wszystko w jej obecności? Nie widział, że jestem rozdarta? Mógł obawiać się mojej reakcji? Najwyraźniej, ufać można tylko wariatom! Tego dnia perfekcyjnie zagrałam swoją rolę. Uczennica mogła być spokojna. Będzie przeżywać swoją miłość na Grands - Augustins bez poczucia winy.

W chwili, gdy dwie turkaweczki wychodziły pogruchać sobie na koncercie, wariatka nie omieszkała dorzucić, że pan Picasso bardzo szybko znudzi się biedną dziewczyną, jedynym jej talentem była ambicja. No a miłość? Pan Picasso nigdy nikogo nie kochał i był trochę za stary na to, żeby zaczynać. Tak właśnie sformułowałam moje weselne błogosławieństwo. Można by powiedzieć, że wszystkie owady na ścianie się poruszyły. Niebawem wyroją się setkami. Pan Picasso jak przyszedł, tak wyszedł, ciągnąc za sobą swoją młodą narzeczoną.

W tym okresie dopuściłam się wielu wybryków, których nie zachowałam w pamięci. Paul opowiadał mi o tych, których był świadkiem. Uważał, że zamiast wstydić się ich, powinnam je uznać - w ten sposób szybciej się zabiżni.

Nękany strasznym cierpieniem spowodowanym żalobą, któregoś dnia próbował się ze mną zobaczyć. Mój telefon nie odpowiadał i Paul się zaniepokoił. Kiedy przyszedł na rue de Savoie - to był dzień czy noc? - znalazł mnie nagą na schodach budynku. Byłam półprzytomna. Usiadł obok mnie i chciał mi zarzucić na ramiona swoją marynarkę. Marynarkę odrzuciłam, ale zaakceptowałam jego rękę wokół moich ramion. Powiedział, że chce mnie poślubić. Powiedział, że utraciłam Picassa tak, jak on utracił Nush, a że przyszło nam żyć bez nich, więc dlaczego nie razem?

Roześmiałam się pewnie jak szalona. A może zadowoliliam się skrzywieniem ust. To była odpowiedź wariatki księciu życia. Powiedział, że powinnam dać sobie czas na odpowiedź. Powinnam najpierw dojść do siebie, zanim znów o tym porozmawiamy.

W tym momencie z wyższego piętra zeszło na dół dziesięć osób na czele z muzykiem grającym na organkach. Pozostałe oczekiwały na dziedzicu, słyszeliśmy ich wołania. Wesele. Ci ludzie pewnie byli moimi sąsiadami, a ja ich nie rozpoznałam. Niewzruszona. Paul ponownie spróbował zarzucić mi na ramiona marynarkę, a ja ponownie ją odrzuciłam. Wtedy na siłę przytulił mnie do siebie, żeby ukryć przed spojrzeniami moją nagość. Schodząca ze schodów rozśpiewana grupa przestraszyła się trochę na mój widok, wydając z siebie ciche okrzyki, jakby znajdowali się w tunelu grozy w wesołym miasteczku. Jeden z drużbów zawołał nawet: „Wariatka dnia szczęście na zawsze da!”. Włączyłam to nieznane powiedzonko do zbioru aforyzmów surrealistycznych, które jeszcze niedawno mnie bawiły, w rodzaju: „Matkę trzeba bić,

póki jest na to czas!". Wybuchnęłam śmiechem, wyswobadzając się z objęć Paula. Panna młoda chciała podejść do mnie, a ja, obawiając się, że owinie mnie swoim welonem niczym myśliwy sidłami zwierzynę, zawylałam i schowałam głowę w ramionach Paula. Któż miałby zauważyć mnie i moją nagość? Nikt. Nie widząc innych wierzyłam, że sama jestem niewidzialna.

Przez długi czas byłam przekonana, że doniósł na mnie jeden z weselników. Gdy tylko obudziłam się w Sainte - Anne, pomyślałam, że ani chybi wesele dało znać na policję o moich wyskokach. Uważałam się za ofiarę tego systemu denuncjowania, który pojawił się i osiągnął doskonałość za okupacji. W moim chorym umyśle ślub stał się instancją oskarżycielską, którą ja z kolei obciążałam za wszelkie zło. I rzeczywiście, wolałam wierzyć, że sąsiedzi ostrzegali przede mną i zawiadomili władze, niż wyobrazać sobie, że ci, którzy mnie kochali albo których ja kochałam - mój ojciec, Picasso, Paul? - skazują mnie na umieszczenie w zakładzie zamkniętym, co odczuwałam jako hańbę. Oni nie mieli ze sprawą nic wspólnego. Dałabym głowę, że to weselnicy.

Według mnie piekło jest z lodu. Przenigdy nie wcisnę się w foremkę konformizmu. Nawet jeśli chodzi o dogmaty będące podstawą mojej dzisiejszej wiary, a które przyswoiłam sobie moją lewą ręką. Szpital psychiatryczny Sainte - Anne pozostawił mi wspomnienie zimna. Pory roku już nie pamiętam. Lato, zima, wszystko jedno. Chłód tkwił we mnie i wyładowania elektryczne przecinające mnie zygzakiem niczym niebo w czasie burzy ponad Olimpem w końcu i tak nie rozmroziły mojej głowy i mojego ciała. Gdy ktoś, wchodząc do mojego pokoju - pielęgniarzka lub gość - próbował otworzyć okno, od razu krzyczałam, chowając głowę pod kaftanem lub prześcieradłem: „Nie, tylko nie okno! Jest mi za zimno!".

Był to chłód praczasów. Chłód archaiczny. Zanik wszystkich zmysłów, gdy same organy szukają we wnętrzu jaskini swojego natrętnego tam - tamu. Nie ma niczego innego, tylko to wewnętrzne pulsowanie. Leżąc w zimnej katedrze, nieruchoma, widziałam, poznałam tyle ławic lodowych, że ich wspomnienie nawiedza mnie przez całe życie. W Menerbes zdarzało się, że gdy panował skwar, ja budziłam się w środku nocy, dygocąc z zimna.

Już jako dziecko wiedziałam, że nie ma różnicy między wielkim zimnem a wielkim gorącem. Moi rodzice kazali mi odkrywać Ziemię Ognistą. Wszyscy troje byliśmy przez cztery dni i cztery noce odcięci przez śniegi pod osłoną dachu z gontu. Ta podróż na Ziemię Ognistą sprawiła, że namiętnie czytałam książki o Jacku Londonie i jego przyjaciółach, Białym Kle, Bucku na szlakach Alaski.

Picasso, który nigdy nie chciał niczego zrozumieć z mojej choroby, przypisywał ją zgubnemu wpływowi, jaki wywarli na mnie surrealiści i Georges Bataille. Powie do Paula: „Spójrz, do czego doprowadziły te wasze eksperymenty związane ze zniesieniem jakiegokolwiek orientacji!”. O, Pablo, jakże miałbyś dostrzec moje cierpienie, skoro tobie nigdy nie było zimno? Przecież pamiętasz swój wojenny refren: „Hiszpanowi nigdy nie jest zimno!”. Zaprzeczanie pozwalało ci przyśpieszyć proces rozgrzewania. Jest coś gorszego niż to rozchwianie, które przypisywałeś Bataille'owi i surrealitom. Cisza, lód i przejrzystość. A pośrodku całej tej bieli wykwit czerwonej skóry wywróconej jak skóra królika.

Nie zapominaj jednak, że nie zawsze oszczędzano ci cierpienia, a jak miałeś rwę kulszową, byłeś najbardziej gderliwym chorym. Po całych miesiącach niby - impotencji, lekarzowi udało się ostatecznie wyleczyć cię poprzez zaaplikowanie u nasady nosa całej serii elektrowstrząsów. Gdy sama przechodziłam wstrząsy jako obłąkana, myślałam o

tobie. Elektrody miałam na skroniach i nie były to delikatne łąskotania, lecz cały ciąg drgawek epileptycznych. Pełna moc! Bliższe to było prawdziwej śmierci niż orgazmu. W tamtych czasach elektrody instalowano bez znieczulenia i nie było mowy o dokładnym dawkowaniu. W ostatniej chwili między szczęki wsuwano tampon, żeby nie dopuścić do połamania zębów i połknięcia języka. Czy pamięta pan, kochanie moje, że w całej serii Kobiet płaczących i w Guernice zrobiłeś mi język w kształcie szydła? Czyżby już wtedy przeczuwał pan moją szpitalną przyszłość?

Za pierwszym razem nie przypuszczałam, co mnie czeka, a nikt mnie nie uprzedził. Wczesnie rano, przypuszczam, że musiało być wczesnie, gdy niewielki zespół, chyba trzy osoby, wtargnął do mojego pokoju. Pchali przed sobą obiekt, kufer, na wpół mebel na rolkach. Silnik uruchomił różnego rodzaju nibynóżki, które zaczęły się przyklejać do mojej czaszki, umocowywać na skroniach, owijać wokół lewego ramienia. Jaką barbarzyńską modlitwę każą mi zaraz mówić wbrew mojej woli? Do skóry przylgnęły mi dziwne rzemienie modlitewne. Rzec by można, morskie zwierzę, które chciało mnie owinąć swoimi pęcherzykowatymi mackami. Pomyślałam o monstrach, które przemocą wprowadziłam na swoje zdjęcia. Pomyślałam o Lautreamoncie. A potem już o niczym. Jego uścisk mnie poraził.

To był hispano z Marcelem za kierownicą. Wyjechaliśmy z Mougins, a może z Antibes. W końcu zgodziłeś się tego roku na podróż. Jedziemy do Florencji skosztować arcydzieła, powiedziałaś, przyjmując pozę artysty malarza. Wszystko szło dobrze aż do granicy. Potem poprosiłeś Marcela, żeby przyśpieszył pomimo krętej drogi. Nie było mowy o tym, żeby się zatrzymać i pokontemplować pejzaż. Stwierdziłeś, że chcesz swój zachwyty zachować dla tej całej minestrone z arcydzieł. Dora, czym przyprawisz swoją zupę?

Rafaelem, Michałem Aniołem, Leonardem i Spółką? Zapomniałaś o Masacciu. Jak mogłaś zapomnieć o Masacciu, kochanie moje?

W Turynie zauważył, że to właśnie tam Nietzsche oszalał. I nie naradzając się ze mną, dodał: „No to wystarczy, wracamy!”. Nigdy nie widziałam Florencji, on też nie. Nie można powiedzieć, że padłam ofiarą syndromu Stendhala i że nadmiar toskańskiego piękna mnie powalił.

W drodze powrotnej próbował jednak się wytłumaczyć. Nie mogę iść tak z pustymi rękami i oglądać tych wszystkich ludzi, rozumiesz, tych Leonardów, Rafaelów i tutti quanti. Durer i Rafael korespondowali ze sobą, wymieniali się autoportretami. Podobałoby mi się, gdyby tak wprowadzić do Luwru kilka moich prac i zawiesić je gdzieś między Leonardem a Tycjanem, między Watteau a Delacroix, między Goyą a Manetem albo gdzie indziej. Nie mogę przechadzać się przed nimi jako turysta, Doro. Należę do rodziny. Niewykluczone, że może nawet zostanie jej głową.

Zanim mnie zamknięto, pojawiały się alarmujące sygnały. Miałam wrażenie, że wszystko ode mnie się oderwało, mężczyzna, którego kochałam. Zwierzęta, a nawet przedmioty... To właśnie w tym momencie

straciłam swój rower. Byłam przekonana, że mi go skradziono. Szukałam go wszędzie. Na skarpach Sekwany, w okolicy, gdzie przekopywałam szlam, żeby znaleźć pierścionek, podszedł do mnie policjant. Powiedziałam mu o zaginionym rowerze, ale on w kradzież nie uwierzył. Zaproponował, że mnie odprowadzi do domu, i zgodziłam się.

Kilka miesięcy wcześniej mój pies zniknął i Picasso, chcąc mnie pocieszyć, ofiarował mi maleńką kotkę. Nazwałam ją Moumoune. Ale przecież kotka nie zastąpi psa, tak jak jedna miłość nie zastąpi drugiej miłości. Każda jest niepowtarzalna.

Teraz mam wrażenie, że właśnie uciekają mi kończyny. Budzę się w nocy i szukam ich, porozrzucanych po czterech kątach łóżka. W Sainte - Anne zapewne zawijali mnie w pieluchę, tak jak kiedyś noworodki. Tym sposobem moje ramiona i nogi byłyby ściśnięte wewnątrz kokonu. Gdyby nieszczęśliwie wysliznęły się z mojej pieluchy, służba sprzątająca nie omieszkałaby wysłać ich na publiczne śmietnisko nawet bez złych zamiarów. Do zespołu sprawującego opiekę należy zapewnienie integralności mojej osoby.

Przypominam sobie tę fotografię. Torturowany człowiek. Scena rozgrywająca się w Chinach. Pokazał mi ją Georges Bataille. Podarował mu ją Adrien Borel, jego psychoanalityk, gdy przyszedł do niego na pierwszy seans. Chińczyk ze zdjęcia, tłumaczył mi, zabił księcia krwi i cesarz skazał go na poćwiartowanie na sto kawałków. Nie ma mowy o zabiciu, lecz o obcinaniu na żywo. Na szalkach wagi z jednej strony książę krwi, z drugiej posiekany zabójca we własnej krwi. Idealnie jest wtedy, gdy śmierć nie następuje przed odcięciem setnego kawałka.

Zdjęcie ukazywało nieszczęśnika w trakcie męczarni. Można było się domyślać, że setnego kawałka jeszcze mu nie wyrwano, ani siedemdziesiątego czy może nawet

pięćdziesiątego piątego. Daleko było do końca. Kara nie powinna dobiec końca przed wyczerpaniem się sił konającego, któremu również podawano silne zastrzyki z opium, ażeby jak najdłużej utrzymać go przy życiu. Na tym właśnie to polegało - na podtrzymywaniu przyjemności. Włosy stanęły mu na głowie, a krew tryskała ze wszystkich otworów w ciele. We Francji rodzina naszych katów, Sansonowie, nigdy nie stworzyła równie pięknego dzieła.

Tymczasem, i właśnie to najbardziej poruszało w tej Golgocie, na obliczu tego człowieka malowała się dziwna łagodność. Śmierć jeszcze nim nie zawładnęła. Jego osoba, to, co z niej zostało, emanowała spełnieniem i tchnęła swego rodzaju zachwytem. Przypominam sobie, że Georges Bataille porównywał tę ekspresję błogości pod potarganą czupryną do wizerunku świętej Teresy Berniniego z kościoła Santa Maria de la Victoria w Rzymie. Zdjęcie pozwoliło mu skojarzyć najwyższą grozę z nacechowanym seksualnie uściskiem, opiumowe rozkosze z boską ekstazą.

Z kolei ja wierzyłam, że odnajdę w tej medytacji sakralne źródło nieszczęsnych konwulsji wstrząsających moją głowę i moimi narządami. Czyż funkcja elektrowstrząsów nie polegała na wywoływaniu ataku epilepsji? Czyż nie można ich porównać z tą wzniosłą chorobą, która sprawiała, że Pytia wieszczyła? Czyż znajdę się w stanie uniesienia, ekstazy jak święta Teresa, gdy setny kawałek mnie samej zostanie mi odjęty?

Zostajemy w Rzymie. Świnie, które pójdą na ubój w rzymskich ubojniach, najpierw zostają poddane działaniu prądu. Chwyta się je za głowy, tuż przed uszami, wprowadza odgałęzienia ogromnych szczypców, którymi puszcza się prąd elektryczny. Zwierzę wstrząsane konwulsjami bez kwiku pada na ziemię. Następnie rzeźnik zabija je uderzeniem pałki w kark. Zwierzęta, które nie zostały zabite, jeszcze przez chwilę

się rzucają, następnie podnoszą się, nie doznawszy na pozór żadnej zauważalnej szkody.

Uczeni wyciągnęli stąd wniosek, że wyładowanie elektryczne, jeśli nie jest zbyt silne, nie zabija. Wywołuje natomiast swego rodzaju konwulsje epileptyczne, które wykorzystuje się w rzeźniach, żeby znieść cierpienie związane z samym ubojem.

Metodę elektrowstrząsów po raz pierwszy zaprezentowano w Akademii Rzymskiej w 1938 roku. a jakiś czas później wprowadzono ją we Francji. Praktyczna i niekosztowna, była często wykorzystywana w czasach okupacji i po wojnie. Nie potwierdziły jej definitywnie żadne badania i wydawało się, że w takiej samej mierze można ją stosować wobec ludzi do leczenia przypadków melancholii, co wobec świń przygotowywanych do uboju.

To było przedtem. A potem? Nie wiem. W każdym razie scena nie rozegrała się w Sainte - Anne, ponieważ Picasso nigdy nie przyszedł mnie odwiedzić do tego zakładu. On, przed którym trzeba było ukrywać śmierć jednego z jego ptaszków - potajemnie go usuwano, ażeby mistrzowi od walk byków nie zrobiło się niedobrze - unikał odwiedzin w zakładzie psychiatrycznym. Ale za to zaszczycił mnie swoimi odwiedzinami w moim mieszkaniu przy rue de Savoie, zanim nie zwariowałam na tyle, że mnie zamknęto.

Przyszedł, żeby poprosić o klucz do domu w Menerbes. Chciał spędzić tam część lata. O ile nie krzyżuje to twoich planów, dodał pro forma. Wiedziałam, że ta prośba maskuje rozkaz. Czyż nie otrzymałam tego domu od niego? Nie ofiarował mi go? Nie zapłacił za niego tym, co w nim najlepsze? Nie odstąpił w zamian obrazu?

Rok wcześniej lato spędzaliśmy jeszcze razem, w Antibes. A teraz nie tylko zrezygnował z mojego towarzystwa, ale jeszcze zażyczył sobie, pod wpływem chwilowej egzaltacji,

zamienić moją obecność na obecność innej, i to w moim własnym domu, czy też w domu, który za własny uważałam. Miał minę łobuza, który cieszy się z figla, którego zamierza spłatać. Już nic nie mogło go zatrzymać. Zresztą, zatrzymać przy czym? Miał do dyspozycji całą ziemię i z powodu jakiegoś dziwnego pomysłu postanowił wybrać dom byłej kochanki, by w nim kryć się ze swoimi nowymi miłośkami? Nieświadomość? Prowokacja? Sadyzm? Może zwykłe pragnienie podparcia się jedną miłością dla tym skuteczniejszego uwiedzenia kogoś innego? Czyż nie czytał mi niedawno listów Olgi i Marie - Therese? Może dziecięce pragnienie uzyskania mojej aprobaty? Być może dziecinny sposób na zapytanie, czyż moja kobieta - kwiat nie jest najpiękniejsza, najmłodsza, najświeższa? Bo wiem, że jego pędzel przedstawia ją jako nagle wybuchłą, długo oczekiwaną wiosnę. Jest tam. Od kilku miesięcy wciska się na wszystkie jego płótna i to ucieleśnienie jest jeszcze silniejszym wyznaniem niż jej rzeczywista obecność na rue des Grands - Augustins.

Dałam mu klucz i oboje wyjechali do Menerbes. Później dowiedziałam się, że wybór tego domu nie spodobał się głównej zainteresowanej prawie tak samo jak mnie. Kobieta - kwiat chciała stamtąd wyjechać. Tak to jest, gdy zmusza się dzieci do noszenia ciuchów po starszej siostrze.

Miasteczko na długo zachowało wspomnienie po tej niesamowitej parze. Mieszkańcy byli zaszokowani dzielącą ich różnicą wieku i publicznymi demonstracjami ich miłości. Na stromy brzeg Menerbes nie napierały jeszcze fale turystów. Było to w czasach, gdy miasteczko zamykało się w sobie i swojej przeszłości. Picasso za bardzo załatywał siarką, a jego kobieta - kwiat była za młoda. Potem zapomnieli o tych troskach, a myśl, że ich pierwsze dziecko poczęte zostało w Menerbes, utonęła we wzajemnych żalach.

Do elektrowstrząsów nie usypiano mnie, a jednak z trudem udawało się mnie wybudzić. Patrzyłam na siebie samą jak na jedną z tych świń z rzymskich rzeźni. Czekałam na cios pałką, który położyłby kres mojemu wspaniałemu przeznaczeniu. Chociaż aplikowano mi te seanse oczyszczające, nie pytając mnie o zdanie, chętnie bym się im poddała, gdyby mi darowano przebudzenie. Nie chciałam wracać z tamtego świata. Skoro już miałam sposobność przyjrzenia mu się z bliska, to dlaczego nie miałabym w nim zostać? Nikomu nie przyszłoby na myśl tłumaczyć się przed nimi. Nikt nie przyszedłby mnie tam szukać. Nie byłam Eurydyką. Nie miałam swojego Orfeusza. Poza tym sama procedura zaczerpnęła swoją symbolikę z innej już mitologii. Za rzymskimi rzeźniami zarysowywał się chrześcijański tryptyk świętego tygodnia: droga krzyżowa, śmierć i zmartwychwstanie. Godziłam się na śmierć, pod warunkiem że nie wrócę. Byłam dzwonem wysłanym w Wielki Czwartek do Rzymu, dzwonem, który nie chciał ponownie zadzwonić w dzień Wielkiej Nocy na szczycie dzwonnicy, z której pochodził. Melancholia nie usposabiała mnie do tego, by przetrwać.

Gdy po przebudzeniu ujrzałam pochyloną nade mną twarz pielęgniarki, która myślała, że musi się zdobyć na uśmiech Piety, wydawało mi się, że rozpoznaję w jej spojrzeniu wymówki, którymi przytłaczała mnie matka. Skoro nie dano mi miłości, to może sama nie byłam zdolna do jej dawania? Odraza całkowicie pozbawiała mnie chęci życia. Choćby wstrząsano wszystkimi moimi zmysłami i przepuszczano przez ciało wszystkie błyskawice z nieba, i tak nie uda się zadowalająco ułożyć szwankującej materii mojego organizmu. Żeby pozwolono mu spocząć w cudownej równowadze niekończącego się snu. Doszło do tego, że pragnęłam kolejnego seansu w nadziei, że definitywnie zniknę.

Gdy Jacques Lacan, który nie był Orfeuszem, choć go przypominał, odszukał mnie w Sainte - Anne, żeby mnie zabrać do prywatnej kliniki, gdzie miałby mnie leczyć innymi metodami, na protesty nie miałam siły. Miałam jednak niejasne uczucie żalu, że nie udało mi się doprowadzić do końca procesu mojego unicestwienia.

XIII

I już nic więcej mi się nie przydarzyło. Chcę przez to powiedzieć, że fakty, wydarzenia i - jak się je nazywa w czasopiśmie - anegdoty, wszystko to w ogóle mnie już nie dotyczyło. Przy czym nie umarłam, nawet jeśli tego pragnęłam. „Umieram, że umrzeć nie mogę” wypowiediane w uniesieniu miłości lub wiary - tej pierwszej już nie miałam, tej drugiej jeszcze.

Słowa, jakie wydobył ze mnie Jacques Lacan, wyłuskiwałam wprawdzie jak modlitwę, ale jeszcze nie wiedziałam, jakiego boga mam wzywać. Znałam tylko jednego. Nazywał się Picasso i wydawało mi się, że straciłam go na zawsze. Był to czas, gdy chciałam zniszczyć wszystko, co od niego dostałam. Spalić wszystkie wspomnienia. Przeorać miejsca święte, jak dzieje się wtedy, gdy jedna religia zastępuje inną. Czyż ja także nie chciałam kierować swoich modlitw do innych bóstw? Okaleczyć posągi, oszpecić obraz? Zniszczyć przeszłość, a potem kopnąć stołek i zakołysać się na końcu sznura? Ale od czego miałam zacząć ofiarowanie? Wszystko, co miałam, pochodziło od niego. Nie mogłam sobie wyobrazić chwili bądź miejsca, w których nie byłby obecny. Wszyscy i wszystko mówiło mi o Picassie. Wykorzenie ze mnie bólu wymagałoby dziesięciu Hiroszim.

Lacan nauczył mnie z tym żyć. Nie zaprzyjaźniłam się z bólem, wciąż trzymałam go na dystans. Połączyłam się z nim. Stał się moją tkanką łączną, włóknem moich mięśni, materią mojego istnienia, a także sposobem istnienia. Nie niszczył mnie, ale i ja go już nie tępiłam. A dzisiaj, po latach, ów Bóg, którego chcę kochać, ów rzekomo zazdrosny Bóg wie, na ile ten ból, zadany mi przez innego, stał się odskocznią, która pomogła mi wzbić się ku Niemu. Ten człowiek śmiertelnie mnie zranił, ale to jego geniusz pozwolił mi przewyciężyć

mój ból. Ta droga miała się okazać tak długa, jak moje życie. Gdy odeszli ci, których kochałam, przestałam być niecierpliwa.

Gdy wróciłam na rue de Savoie, do wyzdrowienia było jeszcze daleko. Zrozumiałam nawet, że wyzdrowienie nie nastąpi. Trzeba to było zaakceptować. Do rzadkości należą dzieci, które nie chcąc rosnać, mówią nagle stop! Nie bawię się dalej, zostawcie mnie w tym wieku, ponieważ teraz czuję się dobrze! Poza tym dzieci o zdanie nikt nie pyta. A ja o mały włos spopiелona przez płomień namiętności, nie zamierzałam wracać do poprzedniego stadium tylko po to, by pousuwać blizny. Przeszłam przez fazy, w których chętnie je obnażałam jak stygmaty.

Zresztą, czy moim jedynym tytułem do chwały nie jest to, że byłam kochanką Picassa? Czyż teraz nie mówi się o mnie jako „byłej kochance Picassa”? Gdyby to określenie mnie oburzało, sama bym je wykorzystała - nie po to, by pomniejszyć jego sens, lecz je ograniczyć, by nie skaziło całej reszty. W duchu zdawałam sobie sprawę, że jest za późno. Szkody już powstały i spustoszone ziemie na zawsze pozostaną pustyniami. Łudziłam się jednak, że zlokalizowane już szkody można obrysować grubym konturem. Widziałam siebie jako dziecko przed czarną tablicą, pilnie zakreślałam kredą wyrażenie „była kochanka Picassa”. Starłam się pogrubić napis, tak że aż kreda skrzypi na gładkiej powierzchni.

Gdy zapraszano mnie na wieczór, mogłam od razu określić, czy zaproszenie dotyczy Dory Maar, czy „byłej kochanki Picassa”. Czasem myślałam sobie, że tę odznakę, „była kochanka Picassa”, przyznają mi pośmiertnie i że przyciągnie ona wszystkie spojrzenia do mojego katafalku. Zazdrościli mi. Litowali się nade mną. Ale ostatecznie pokochano by mnie, gdybym zdobyła się na publiczne

oskarżenie mężczyzny, który mnie dobijał, który swoim geniuszem olśnił wszystkich rywali. Czyż rana zadana z tak wysoka nie była szlachetna? A jednak wszelkie zabiegi wzbudzały we mnie opór. Nie chciałam ani oskarżać, ani się mścić. Panowie, nie jestem posągiem Komandora i jeśli mam przyjąć jakąś rolę, to wolę rolę Elwiry. Nie wygłasza publicznych oskarżeń pod adresem człowieka, którego kocha. Kierując się wzniosłą ambicją, poprzestaje na pragnieniu ocalenia ukochanej istoty.

U Marie - Laure de Noailles potrafią przyjąć mnie jako mnie. Marie - Laure jest inteligentna, a bajeczne bogactwo, tak jak u innych uroda czy geniusz, było jej życiowym i towarzyskim oparciem. Przy niej nikt nie musiał się tłumaczyć, tym mniej skarżyć. Nie pozbawiła mnie swojej gościnności. W jej kubistycznej willi Hyeres odzyskiwałam siły o wiele skuteczniej niż w Sainte - Anne.

Tytuł „była kochanka Picassa” zastąpił moją prawdziwą tożsamość, a opinia wariatki nie szkodzi mojej opinii, a wręcz dodaje mi blasku. Irracjonalizm jest w modzie. To podrobione dziedzictwo surrealistów, grzmiał Pablo. Zazdroszczą mi przywileju melancholii, której przejawy i spowodowane przez nią szkody jednak ukrywałam. Nad moją głową chcą widzieć aureolę męczennicy. Jeśli chodzi o szaleńczą miłość, to czy obłęd nie jest godzien beatyfikacji?

W tych warunkach wszyscy szydzą z malarstwa Dory Maar. Dora Maar przecież sama przez siebie nie istnieje, więc jakim sposobem byłaby zdolna do stworzenia dzieła? Niech cierpi i da nam spokój! Czy każde z nas w swojej specjalności nie należy do XX wieku? Picasso opromienił ją swoją chwałą. Nie będzie chyba twierdziła, że ma talent!

Kandydatów do odwiedzin oczywiście w nadmiarze. Rue de Savoie przyciąga. Natarczywe umizgi. Ponieważ przez długi czas przebywałam w towarzystwie słońca, więc mogę

jeszcze odbijać jego promienie. Błagają. Chcą obejrzeć moje obrazy, ale nie mają na myśli moich własnych. Żądają mojego łupu wojennego. To on rozbudza żądze. Sprawia, że trudno mi się oprzeć. Kursuje tyle legend na temat tego łupu. Rzekomo przywłaszczyłam go sobie kawałek po kawałku. Dora?

Prawdziwa zwycięzcy. Co zranienie, to obraz. Co zdrada, to wielka rzeźba. Urocza historia. W kompozycji uczestniczą wszystkie składniki sukcesu: pieniądze, przemoc i szaleństwo. Bohaterka zyskuje sławę i traci tożsamość. Jak inna głupiutka swój szklany pantofelek.

Moim malarstwem nikt się nie interesuje. A jeśli mimo wszystko udaje mi się jednak je pokazać, czuję, jak w oglądających rośnie zakłopotanie. Niewiele brakuje, aby moja postawa wydawała im się bezwstydną. Że afiszuję się tak, jakbym zadzierała publicznie spódnicę! Czy nie pokazałam się już nago na schodach weselnikom? Mając takiego mistrza jak Picasso, nie wolno sobie pozwalać na wystawianie brudnopisów.

Sprawa jest załatwiona. Nie będę za każdym razem wszystkiego sobie przypominała, żeby się usprawiedliwić. Malarką byłam, zanim zostałam fotografikiem. Ale też obiecuję sobie, że nigdy nie będę pokazywać tego, co robię. Czyż twórczość nie żywi się tajemnicą? Tyle widziałam zmarnowanych talentów, które na prawo i lewo opowiadają o swoich przyszłych dziełach, lecz nigdy ich nie zaczynają!

Wiele lat później, chyba w 56, przypominam sobie, że poszłam odwiedzić Lacanów w ich domu, La Prevote w Guitrancourt, opodal Mantes - la - Jolie. Przez całe śniadanie Jacques Lacan czytał, przerywając jedynie po to, by pośpiesznie zapisać kilka słów na marginesie książki albo z fenomenalną szybkością pochłonać to, co żona kładła mu na talerzu. Sylwii poznałam jakieś dwadzieścia lat wcześniej - najpierw narzeczona Georges'a Bataille'a, potem aktorka

debiutująca razem z Jeanem Renoirem w jego Zbrodni pana Lange. To właśnie na projekcji tego filmu po raz pierwszy zobaczyłam Picassa.

Te dwie istoty przygarnęły mnie do siebie z naturalnością i dyskrecją ludzi, którzy niezależnie od tego, czy chodziło o sprawców, czy świadków, nigdy nie występowali w roli sędziów. Widzieli, jak odbiłam się od trampoliny i rzuciłam się w miłość. Kiedy wydawało mi się, że rozbiłam się na dnie basenu, Jacques pomógł mi mocno odbić się stopą i wynurzyć na powierzchnię.

Po śniadaniu Lacan wreszcie zamknął swoją książkę i dał mi znak, żebym poszła za nim. Znałam ten wielki gabinet, który urządził sobie naprzeciwko ogrodu. Były w nim liczne dzieła sztuki, których poszukiwanie i kontemplowanie należało do pasji Lacana. Poprowadził mnie schodami w górę w stronę półpiętra. Chciał mi pokazać swój ostatni nabytek, najbardziej niesłychany, powiedział. Uprzedził mnie, znaleziony przez Sylwię obraz jest zbyt skandaliczny, by go zostawiać bez zasłony. Sprzątaczką mogłaby doznać szoku. Za delikatniejszym obrazem Andre Massona ukrył jego przyrodniego brata.

Czy jest pani przygotowana, Doro? Czy jest pani przygotowana na to, by na niego spojrzeć? Nie miałam najmniejszego pojęcia, co zamierza mi pokazać, ale posiadałam odwagę, jaką daje pewne obycie. Ponadto Lacan nie lekceważył niczego, co należało do mojego wykształcenia. Czyż nie był lekarzem mistrza i ucznia, Picassa i Dory? Chyba odpowiedziałam, że mam do niego pełne zaufanie. Najwyraźniej cieszył się, że pokaże mi swoją nową terapię. Jeszcze nigdy nie widziałam go w stanie takiego radosnego podniecenia.

W ostatnim jednak momencie przestraszyłam się, że za Massonem odkryję Picassa. Picasso! Ciągłe Picasso! Chociaż

raz chciałam spróbować innego narkotyku. Zakryłam oczy dłońmi i obwieściłam niczym w zabawie w chowanego: „Gotowa!”.

Poprosił, żebym otworzyła oczy dopiero, jak mi powie. Słyszałam, jak przesuwiał panneau Massona, żeby wydobyć owo tak wysoko cenione w tym domu dzieło. Boże, spraw, żebym tylko się nie zawiodła!

Oto Początek świata, mówi z niejaką dumą w głosie. Oczy miałam wciąż zasłonięte i nie za bardzo zrozumiałam jego zapowiedź. Początek świata, powtórzył. Obraz Courbeta, Doro, obraz, który rzekomo zniknął... Wpadłam mu w słowo. Początek świata! Nie czekając na pozwolenie, oderwałam dłoń od oczu. Istny cud! Nie, nie zawiodłam się. Ten żeński narząd płciowy wart był wszystkich legend, wszystkich tajemnic, jakie zrodził. Jego odkrycie na półpiętrze u mojego psychoanalityka oszołomiło mnie do tego stopnia, że nie przyszło mi do głowy, żeby go zapytać, skąd wytrzasnął to dzieło, które podobno bezpowrotnie zaginęło. Niektórzy utrzymywali, że ostatni raz widzieli je w rękach nazistów, inni twierdzili, że znajdowało się w niewoli zwycięskich Sowietów. Zakazana ikona podróżowała tak, że nikt nie mógł jej zatrzymać. Czy w ogóle istniała?

W pierwszym odruchu zapytałam Lacana, czy pokazał ją Picassowi. Odparł, że owszem, kilka dni wcześniej. W głębi okazałego kobiecego narządu widniał jeszcze ślad Minotaura, którego szukałam i dzięki Lacanowi ponownie odkryłam.

- I co powiedział?

- Powiedział: „Rzeczywistość to to, co niemożliwe”.

Picasso roześmiał się z uciechy. Robić z Courbeta realistę, dobry kawał! Ostatecznie, jeśli chodzi o jego martwe natury. Martwe jak realizm. To Genesis, Stworzenie świata, po prostu stworzenie! To Courbet, nic, tylko Courbet, a nie złudzenie rzeczywistości. Na próżno Minotaur polizał widniejący

narząd, nie udało mu się go pobudzić. Nie ma znaczenia, odpowiedział Courbet, ponieważ to ciało zrodziło nas wszystkich! Bóg jest zbędny. Czyżby Courbetowi wystarczyło namalowanie pięknego kobiecego ciała i nazwanie go Początkiem świata? Dzięki, panie Gustavie!

Pomyślałam o moim własnym narzędziu, o tym, w jaki sposób Picasso przedstawił go na obrazie Dora i Minotaur. Jego pysk między moimi rozsuniętymi nogami, pewnie widział mnie zgodnie z tą osią, a resztę w perspektywie. Świetne. Poprzez to odbicie Picassa w Courbecie ciało wygładziło się i jak w Złotej legendzie stało się nieskazitelne.

Myślałam o Michale Aniele malującym Stworzenie Adama w kaplicy Sykstyńskiej. Czyż to nie ta sama swoboda? Nie to samo bezgrzeszne ciało? Lecz w Watykanie Bóg daje, a po upadku odbiera. U Courbeta Boga nie ma, nie ma nawet bogini. Ciało jest z tak pięknej materii, że samo się z siebie rodzi.

Ta cudna pizda unieśmiertelniona przez pana Courbeta na dłuższy czas przepadła w środkowoeuropejskich peregrynacjach. Czyż teraz tak dokładnie ukryta na półpiętrze w Guitrancourt nie podjęła z całym spokojem swojej podróży do wieczności? W taką nieśmiertelność wyposażył mnie - zarówno w całości, jak i w częściach - Picasso. W sprawach wiary zdarzały mi się momenty zwątpienia. A jeśli sztuka była jedyną nieśmiertelnością? A jeśli dusza trzymała się ciała tak, jak mięso kości? A jeśli człowiek stworzył Boga na swój obraz, nie godząc się na śmierć i zepsucie własnego ciała? Dlaczego nawet święci i święte nie godzą się na skazywanie swojego cielesnego odzienia na zbutwienie? Czyż Teresa, święta Teresa z Avila, Teresa od „umieram, bo umrzeć nie mogę” nie uchroniła swojego ciała od rozkładu po zatrzymaniu jego czynności życiowych? Ribera opowiada: „Była w tak nienaruszonym stanie, że mój towarzysz Cristobal

de San Alberto i ja wyszliśmy, kiedy ją rozbierano; przywołano mnie, gdy była przykryta prześcieradłem; odsłaniając jej piersi, byłem zaskoczony, widząc je tak pełnymi i sterczącymi... Lekarze długo badali ciało i uznali, iż niemożliwością jest, by była to rzecz naturalna, chyba że prawdziwie cudowna... ponieważ po trzech latach, bez balsamowania znajdowało się w tak nienaruszonym stanie, że nie brakowało mu nic i wydzielalo zachwycający zapach".

Picasso mawiał: „Rzeczywistość to to, co niemożliwe”. A ja szukam i szukam. I szukać nie przestałam.

Wykonywałam gesty. Wypowiadałam modlitwy. Wraz ze słowami pojawia się dzieciństwo i czasem niewyraźnie widzę Boga. Moja wiara jest jeszcze bardzo nietrwała. Uparcie jednak pragnę ją wzmacniać. Czyż nie jest on jedyną miłością, której mogę pożądać? Pokochanie mężczyzny nie wchodzi w grę, a nie jestem jeszcze pustelnicą, którą chciałabym zostać w podeszłym wieku. Mam przyjaciół, mężczyzn i kobiety, cenię ich sobie od lat. Zdarza mi się przyjmować zaproszenia i znajdować przyjemność w spotkaniach, a nawet w wydarzeniach życia towarzyskiego. Chodzę do kina, najczęściej sama. Jestem również trochę próżna, nawet jeśli nie mam już wpływu na modę, jak w czasach chwały, gdy publicznie nigdy nie pokazywałam się bez Picassa. Zachowałam pewne upodobanie do luksusu. Oczywiście, mój dom w Menerbes to tylko dumna ruina, w której podtrzymuję jedynie to, co grozi zawaleniem. Nie mam w nim wygod, a skorpiony czują się w nim tak swobodnie, jak ich pobratymcy reprezentujący rodzaj ludzki. Z kolei na rue de Savoie widzę ogromne rojowisko złotych skarabeuszy, narysowanych przez mistrza, otoczonych jego dziełami, których część musiałam jednak umieścić w bankowym sejfie.

Raz na tydzień zamawiam do domu manikiurzystkę. Jej zadanie nie polega na upiększaniu moich rąk. Ma je

utrzymywać w stanie, w jakim pozostawił je Picasso. Czyż na rue de Augustins nie zachował w gablocie rękawiczek z plamami mojej krwi z naszego pierwszego spotkania? Manikiur musi mieć swój rytuał. Zasiadamy przed tym obrazem olejnym datowanym w listopadzie 36. Picasso uchwycił w mojej twarzy młodość i olśnienie naszego pierwszego lata w Mougins. Moja ręka ma idealny kształt naszej miłości. Muszę zachować ten niepowtarzalny wdzięk, który teraz służy modlitwie.

Po Picassie czyżby już tylko Bóg? Gdybym tego nie powiedziała, zmuszono by mnie do tego. Gdybym tego nie powiedziała, nigdy nie przestałabym o tym myśleć.

XIV

Mam przyjaciela. Jest piękny. Jest młody, piętnaście lat młodszy ode mnie. Wylądował we Francji 14 września 44 na Omaha Beach na normandzkim wybrzeżu, walczył ramie z ramie z nami, pod dowództwem generała Pattona. Poza tym nie miał w sobie ognia wojny. Ledwie go zdemobilizowali, ruszył do Paryża z jedną myślą w głowie, żeby poznać Picassa, najśłynniejszego artystę na świecie.

Blondyn, wydał mi się niezgrabny, zbyt kruchy jak na swoje wielkie ciało, idąc podskakiwał jak Kazbek obok podziwianego mistrza. Obaj wyszli mi na spotkanie na chodniku rue de Savoie. Amerykanin był nieproszonym gościem, naprzeciw którego przyszło mi usiąść u Katalończyka. Milczeniem zakrawającym na wyniosłość wyraziłam swoją naganę i otwierając wargi jedynie po to, by dymem wyrazić swoją pogardę, energicznie wyrwałam z ust cygarniczkę mającą formę trąbki.

Czyżby Picasso nie mógł się powstrzymać i pozwalał się uwodzić tym, których bez wysiłku ujarzmił?

Musiał aż weryfikować swoją władzę nad tymi młodymi cielećkami, które wodziły za nim maślanym wzrokiem? Żucie gumy, whisky i francuski pocałunek? Tak bardzo pragnął powszechnego uznania, że doszedł do wniosku, iż musi o nie prosić. Zamiast przeganiać wszelkiego rodzaju nudziarzy wyczekujących na niego w przedpokoju, chętnie poddawał się ich pieścizotom - jak dziwka. Przez długi czas ukryty w swojej fortecy Grands - Augustins wchodził teraz w fazę uwodzenia i oddawał swoją osobę powszechnej adoracji. I ten biedny jankes, który czuł, że w jego obecności stawał się kimś niepowtarzalnym! Czyż oczy Picassa nie odzwierciedlały wizerunku, jakiego pragnął? Nie było to spojrzenie absolutne? Czyż uzyskanie w tych oczach potwierdzenia własnej wyjątkowości nie nabierało waloru pasowania na rycerza?

Ilekcio suzeren omieszkał rzucić mu okruchy, młodzieniec stroił miny. W pewnym momencie Picasso, chcąc mieć pewność, że nasz młody gość nie zrozumie, zaczął rozmawiać ze mną po katalońsku. Już nie pamiętam, co mu odpowiedziałam, ale pamiętam doskonale, że wybuchnęliśmy śmiechem, doznając tej jednoczesnej rozkoszy, jaką sprawiało trzymanie na dystans wszystkich obcych względem nas dwojga ciał.

Rzeczony obce ciało, przypadkowy Amerykanin, wykazywał się wyjątkową bezczelnością. Zastanawiam się, jak udało mu się zaaranżować to, że w ogóle otworzono przed nim drzwi na Grands - Augustins, a zwłaszcza jak Picasso z miejsca pozwolił mu przyjść na śniadanie i zakłócić nasze sam na sam u Katalończyka. Później wyzna mi, że udawał przed Sabartesem, iż lekko kuleje wskutek wojennej kontuzji.

Uroda, młodość, męstwo. Nie sposób się oprzeć. I on, mój przyszły przyjaciel, który na razie był tylko i wyłącznie gorącym wielbicielem Picassa, oszust, ośmielił się nawet prosić mistrza, by zrobił mu portret. Tak, w zatłoczonej restauracji, w porze przerwy obiadowej! Nie omieszkałam odpowiedzieć zamiast Picassa, że na portret trzeba poważnie zasłużyć, przynajmniej ponosząc śmierć w walce. Przypadkowe zranienie miałoby zasługiwać na taki zaszczyt? Ale tamten nie ustępował. Chociaż mały rysuneczek, nalegał. Picasso, zadziwiony tupetem swojego gościa, wzbraniał się łagodnie. Pokazał, że nie ma przy sobie przyborów, co nie było prawdą. Podszewka jego marynarki miała wystarczająco dużo kieszeni, niektóre zapięte za pomocą agrafek, kieszeni, w których nosił swój sprzęt bojowy. Jeśli chodzi o papier do rysowania, to często zastępował go obrus u Katalończyka. Ja zawsze nosiłam przy sobie scyzoryk pamiętający nasze pierwsze spotkanie w Deux - Magots, подарowany mi kiedyś przez ojca w Argentynie. Wykorzystywałam go do wycinania

obrusu po naszych wizytach. Mężczyzna, którego kochałam, nie omieszkał za każdym razem narysować tam mojej twarzy czy ręki, cygarniczki w kształcie trąbki czy rozczochranej główki mojego białego pinczera, którego właśnie straciłam; dwie dziurki wypalone gauloisem przedstawiały jego pokryte czerwonymi żyłkami oczy.

Amerykański gość nie dał się tak łatwo spławić, wyjął ze swojego chlebaka szkicownik i ołówki. Rozsiadł się przed Picassem, który znokautowany tupetem nie mógł się już nie zgodzić. Oczywiście błyskawicznie się z tym uporał. Mgnienie oka, pieszczota ołówkiem, ledwie zgrzytnięcie. Czego więcej oczekiwać? Czyż nie chciał zobaczyć, jak jego własna twarz, twarz zwykłego śmiertelnika wnika w Picassa przez szczelinę wzroku, a potem przedziera się z mózgu w kierunku jego ręki i na zawsze utrwała się na czystej kartce? Resztę załatwiał prestiż podpisu.

Malarz podał modelowi ukończony rysunek. Amerykanin ledwie śmiał spojrzeć na swój wizerunek poprawiony przez geniusza. Rozpływał się w podziękowaniach. Gdy wychodziliśmy z restauracji, zapomniał o kuśtykaniu. Po trzech miesiącach, gdy tymczasem dołączył do swojego oddziału w Mannheim, amerykański przyjaciel znowu spróbował. Ponownie udało mu się dostać na Grands - Augustins, gdzie tym razem przyszedł z pięknym arkuszem papieru rysunkowego i wielkim ołówkiem, największym, jaki był dostępny na rynku. Tego dnia nie było mnie w pracowni i tę historię James Lord, ów amerykański przyjaciel, opowie mi po latach. Twierdził beczelnie, że wskutek nieszczęśliwego wypadku w restauracji rysunek został uszkodzony. Zaklinał zarazem mistrza, by zechciał sięgnąć po papier i ołówek, i wykonać drugi. Najbardziej niesamowite jest to, że Picasso nie wyrzucił śmiałka na bruk. Jeszcze nie wiedział, że pierwszy rysunek w rzeczywistości pozostał nietknięty, ale że

na nieszczęście nie zadowalał modela. Ten uznał, że jest zbyt pośpiesznie nagryzmołony. I Picasso nie pozbył się w mgnieniu oka nudziarza? Nie wiedział jeszcze, czym jest upór nudziarza, który wymyślił wypadek, żeby zdobyć kolejny portret. Ileż beztroski i zuchwalstwa trzeba, żeby uciec się do takiego wybiegu wobec takiego człowieka! Tego dnia Jamesa zapewne wspierali bogowie. Dostał od mistrza to, czego chciał. Drugi rysunek zaspokoił wszystkie jego życzenia. Gdyby byli sami i gdyby mistrz mu pozwolił, chętnie rzuciłby mu się do stóp, żeby je ucałować. Był zakochany w malarzu, tak jak był we własnym wizerunku.

Żołnierz musiał wracać do swojego kraju. Nie umiał zapomnieć o Francji i pracowni malarza, którego dwukrotnie zmusił do zrobienia mu portretu. Do Paryża wrócił dwa lata później. Zmieniło się wszystko. Inna kobieta rządziła na Grands - Augustins. Zresztą, słowo „rządzić” kiepsko pasuje do sytuacji. Żadna kobieta nigdy nie rządziła na włościach Picassa, a tym bardziej nim samym. Gwoli ścisłości muszę powiedzieć, że inna mieszkała na Grands - Augustins, ja tymczasem zostałam wygnana.

Jamesa Lorda spotkałam przypadkowo w sklepie w mojej dzielnicy. Nie miał już nic wspólnego z wojskiem. Najwyraźniej ucieszył się ze spotkania, ja też. Kiedyś nie chciałam otworzyć mu drzwi, a teraz sama zachęcałam go do wejścia. Zaprzyjaźniliśmy się. Rozmawialiśmy o Picassie. On od czasu do czasu go widywał. Ja już nie. Po okrutnej śmierci mojego kochanego Eluarda w listopadzie 52, James pozostał, co za szyderstwo, moim jedynym łącznikiem z człowiekiem, który był i wciąż jest moim życiem.

Zdarzało mi się jednak pisać do Picassa. Patetyczne listy Elwiry, która chciała ocalić duszę Don Juana, a nie umiała zapomnieć o jego ciele. Odpisywał mi, że jego dusza nie będzie zagrożona tak długo, jak długo przyjemność będzie mu

sprawić rzucanie na cztery wiatry własnej twórczości, gestem świętego Franciszka, który karmił wróble z Alviano, rozsiewając ziarno ręką.

Któregoś dnia dostarczono mi na rue de Savoie ogromną paczkę, którą dwóch ludzi z najwyższym trudem wtaszczyło na drugie piętro. Nazwisko nadawcy było wyraźnie oznaczone. Najpierw rozpoznałam pismo. Napisał własnoręcznie: Picasso - Vallauris.

Zatelefonowałam do mojego amerykańskiego przyjaciela, prosząc, żeby przyszedł pomóc mi wyciągnąć meteoryt, który cudem przyleciał z innego układu słonecznego. Potrzebowaliśmy dobrej godziny, żeby uporać się z niewiarygodnie skomplikowanym zabezpieczeniem. Nadmiar opakowań nasuwał myśl o ukrytym w środku cennym, niepowtarzalnym przedmiocie. Spodziewałam się figury z brązu pokrytej pieszczotami czasu i dłoni mistrza. Czyż Picasso nie był szczodrym ofiarodawcą? To, co odkryłam, przerażało tyleż banalnością, co brzydotą. Przedmiot ten, długo rozpakowywany niczym stara zalotnica ze spódniczki, nie miał w sobie nic Picassowskiego, poza dziwaczną, perwersyjną, wręcz prowokacyjną intencją przysłania mi podobnego rupiecia, którego Picasso najwyraźniej nie był ani twórcą, ani pomysłodawcą. Faktycznie, rzecz byłaby zupełnie bez znaczenia, gdyby nie troska o to, by ją zabezpieczyć lepiej niż mumię faraona i gdyby nadawca nie wyeksponował nazwiska człowieka, którego kochałam, a od którego nie otrzymywałam już wiadomości.

Za sprawą jakiej aberracji ów człowiek, skąpiący czasu, uciekł się dobrowolnie do takiego podstępu wojennego akurat w chwili, gdy jego towarzyszka opuściła go i zabrała oboje dzieci? Jaka racja czy też jakie szaleństwo przekonało go, że ten kloc jest dość brzydki, by zainteresować Dorę? Ukryta w niej surrealistka nie omieszkałaby odszukać w nim kilku

tajemnych i świętych znaków. Być może uznał, że mimo lat separacji przetrwało porozumienie, pozwalające na odnalezienie się w absurdalności rzeczy i pełen dystansu śmiech. Czy pan Picasso aby nie przecenił tego przedmiotu? Nie przypisał mu magicznej zdolności połączenia nas w jednym cynicznym geście?

Co to właściwie było? Uroczy upominek zapowiedziany fanfara? Krzesło! Nędzne krzesło! Ciężkie, masywne, zawadzające. I na domiar wszystkiego - bezużyteczne! Krzesło, na którym nie sposób było usiąść czy spocząć. Co więcej, jego proporcje zakłócały panującą wokół harmonię.

Amerykański przyjaciel spytał mnie, czy zamierzam odesłać je do nadawcy. W rzeczywistości przypuszczał, że zechcę je zatrzymać. On sam zapewne umieściłby je na piedestale, gdyby tylko mistrz umyślił sobie sprawić mi podobny upominek. Czyż nie był to sposób Picassa na sprawdzenie zasięgu swej władzy? Czyż najpodlejsza materia nie nabierała wartości tylko dlatego, że ją tknął? Cud był stałym jego towarzyszem, podczas gdy król uzdrawiał ze skrofulów jedynie w dni świąteczne.

Kilka miesięcy później, w porze Wielkiejnocy, pojechałam z moim młodym towarzyszem do Menerbes. Z wdziękiem znosił niewygodę domu i nagłe zmiany humoru gospodyni. Często zostawiałam go samego w towarzystwie skorpionów, wyjeżdżając tymczasem moim pomalowanym we wzorki motorowerem. Obawiając się, że się zanudzi, zasugerowałam, żeby złożył wizytę Picassowi, który, jak wiedziałam, jest w Vallauris. Natychmiast zawiadomił Picassa, kiedy chciałby go odwiedzić. Cieszyła go perspektywa tych ponownych odwiedzin, a ja nie żałowałam, że sprowokowałam spotkanie.

W rzeczywistości chciałam Picassowi odplacić jego monetą za krzesło. Zastanawiałam się, jaki upominek

amerykański przyjaciel mógłby mu przynieść. Byłam za starą porzuconą na antresoli łopata, która pewnie była tak stara jak dom. Brzeszczot miała odrapany i zardzewiały. Jej rozsypujący się trzonek nie mógłby posłużyć nawet jako wehikuł czarownicom, które zresztą i tak korzystają z mioteł. Kiepska jakość materiału nie pozwalała już mistrzowi na włączenie go do którejś z jego rzeźb i jego geniusz recyklingu nic by tu już nie wskórał!

Z maniakalną starannością owinęłam łopatę. Paski szarego papieru wzmocnione płataniną szpagatu. Oczywiście, nie był to chrześcijański postęp, ale zniechęcałam się do niego, nie miałam ochoty wybaczać. W tym upominku widziałam przede wszystkim sposób na zmanifestowanie mojego istnienia człowiekowi, który nie chciał uszanować mojej dyskrecji i mojego cierpienia. Rzeczywiście ponownie odkryłam ducha licytacji, której kiedyś oddawaliśmy się zarówno w zabawie, jak i w gniewie. Czyż nie byliśmy współnikami? Czyż to nie współnik w tych nieprawdopodobnych zabawach wysłał mi to obrzydliwe krzesło? Tymczasem zaznaczyłam imię ofiarodawcy: Dora Maar. Menerbes (Vaucluse). Wszystko zbędne, ponieważ mój przyjaciel osobiście dostarczy do domu subtelny prezent. I uczynił to któregoś dnia.

Po odwiedzinach u Jeana Cocteau, który przebywał wtedy na przylądku Ferrat w wystawnej posiadłości Francine Weisweiller, udał się do Vallauris, gdzie został przyjęty w La Galloise. Gdy wpuszczono Jamesa, Picasso półnagi siedział na łóżku zajęty sprawdzaniem poczty. Według relacji, jaką uzyskałam po powrocie Jamesa, mistrz zapytał, jak miewa się dom w Menebres i jego nowa właścicielka, jakby obu specjalnie nie rozróżniał. Typowa właściwie dla niego byłaby chęć dowiedzenia się, czy Dora nadal znajduje się w opłakanym stanie i czy dom w M. nawet we śnie zachowuje swój majestatyczny wygląd, który tak mu się podobał. Ale nie,

wydawało się, że jest dobrze usposobiony i okazał zainteresowanie. Od razu domyślił się, że paczka, ciężąca na ramieniu gościa, może być tylko odpowiedzią kochanki dla kochanka.

Dora adora, powiedział, jestem pewien, że długo się zastanawiała i że dokonała najlepszego wyboru. Nikt jej lepiej nie zna! Zanim rozpakował paczkę, nie odmówił sobie złośliwej przyjemności spytania posłańca, czy widział zdumiewający dar, jaki mi przesłał kilka tygodni wcześniej. Odpowiedział mu, że otworzenie paczki i zdjęcie wszystkich opakowań zajęło ponad godzinę. Picasso śmiał się jak dziecko. Ohyda, podniecał się, prawda, że ohyda!? Jestem pewien, że trzyma u siebie to okropne krzesło. Znam ją, jest przekonana, że powinna je zatrzymać. Wiesz, że pomalowałem ubikację w Menebres, żeby nawet tam nie mogła o mnie zapomnieć. Tak to już jest między nami!

Nie szamotał się długo z opakowaniem. Bez skrzywienia spojrzął na łopatę, a potem stwierdził, że się nie mylił, obdarzając mnie zaufaniem. Doskonale, powtarzał. Bezwzględnie doskonale! Stanowczo, Dora nigdy mnie nie zawiedzie. Z nią zawsze możliwy był dialog, nawet teraz, prawdziwy dialog! Spytał jeszcze swojego gościa, czy jak należy podziwiać sedes pomalowany pieczołowicie w ubikacji w Menerbes. Mój przyjaciel wyznał mi później, że mało delikatnie odpowiedział, iż zastąpiłam go czymś wygodniejszym, a Picasso, słysząc to, z wściekłością wyrzucił mój upominek przez okno. To był z pewnością dialog, ale on mógł go w każdej chwili przerwać.

Po powrocie posłańca pozamykałam drzwi w Menerbes z tym samym uczuciem co zawsze; jakbym zamykała nawias. Zbieraliśmy się do drogi i wracaliśmy do Paryża. Nie wiem, dlaczego czas spędzony w Menerbes zawsze postrzegałam jakby poza czasem. Nawet obecność przyjaciela w tym

miejscu, gdzie zawsze bywałam sama, ostatecznie nie urealniała przepływu godzin i dni. Tutaj nie jestem starsza niż dom, którego daty budowy nigdy właściwe nie znałam. Unoszę się w stanie, w jakim zazwyczaj znajdujemy się rano, po przebudzeniu. Gdy zastanawiam się, co to za pokój? Czy to mój dziecięcy pokój w Buenos Aires? Czy najpóźniejszy ze wszystkich pokój cierpień? Czy ostatni? A może ten, w którym kochałam? Rozwieram ramiona, czy odnajdę ciepłe ciało mojego kochanka? Czy moje ciało nadal żyje? Czyż nie utraciłam wszystkich swoich członków?

W Menerbes wciąż pytam. Mianowicie o to, czy życie się zaczyna, czy już się kończy! Teraźniejszość nie zna wieku, gdy siadam na motorower i wyruszam nim w pola, żeby malować. Nie zna wieku, gdy padam na kolana w wiejskim kościele. Żadna z tych czynności nie wpisuje się już w czas. Należą one do rytuału porzucenia. Miast jak kiedyś lękać się porzucenia - przez rodziców, człowieka, którego kocham - pozwalałam toczyć się swojemu istnieniu. I przestaję się kurczowo trzymać. Puszczam strzemiona. Poza tym wiem, dokąd chcę iść.

Wyżłobione od używania schody w Menerbes. Wpisuję moje kroki w ślady tych, którzy nimi przeszli, tych, którzy jeszcze przejdą.

Droga powrotna. Pierwszy etap obok mostu du Gard w zamku de Castille. To zapowiadane przez niekończące się amfilady i barokowe krzywizny osiemnastowieczne szaleństwo jest własnością bardzo bogatego oryginalnego angielskiego historyka sztuki, Douglasa Coopera. Ma imponujący zbiór Picassa. Tego wieczoru zostaliśmy z Jamesem zaproszeni do zamku, skąd podejmiemy naszą podróż do Paryża.

Od przejazdu przez Awinion zauważam na każdym rogu afisze zapowiadające corridę w Nimes. Z tego co czytam,

wynika, że właśnie się kończy. Nie do pomyślenia, żeby nasz gość i jego przyjaciel przepuścili takie wydarzenie. Na pewno jadą z powrotem i przyjedziemy w tym samym momencie. Prawdę mówiąc, trudno mi wyobrazić sobie arenę w Nimes bez Picassa. Gonitwa myśli w mojej głowie. A jeśli amerykański przyjaciel okazał się zbyt odważny? A jeśli posłaniec nie poprzestał na dostarczeniu Picassowi mojego zardzewiałego upominku? A jeśli opowiadał o naszym planowanym obiedzie w zamku Castille, albo niebacznie wyjawiał datę? A jeśli Picasso skorzystał z corridy, żeby przyjąć wspaniałomyślną gościnę Douglasa Coopera?

Zawrotne wrażenie. Od tylu lat się nie widzieliśmy. Czy te afisze mają zwiastować twoją obecność? Gotowa jestem zawrócić, albo też zmasakrować każdego, kto przeszkodziłby mi tam jechać. I już nie wiem, co we mnie silniejsze, nieprzytomne pragnienie ujrzenia cię czy przeraźliwy strach przed spotkaniem z tobą.

Niczego nie wybrałam, ani godziny, ani miejsca. O wszystkim, jak zwykle, zdecydował Picasso.

Przyjechaliśmy do Argilliers i od razu zobaczyłam hispano - suiza. Czy to naprawdę znany mi kiedyś samochód? Dzisiaj przeraża mnie. Nigdy nie wydawał się taki czarny. Rzec by można karawan.

A więc jest tam. Tego wieczoru zamieszkał w zamku, który mógłby być zamkiem Don Giovanniego. Zapamiętał datę, która niedyskretnie wypsnęła się posłańcowi. Czy to już ostatni akt? Co więcej, nie będzie sam. Będą mu towarzyszyć jego zwycięskie trofea. Niektóre jego dzieła kaleczą mury zamku swoim olśniewającym przepychem.

A więc jest tam. Człowiek, którego kocham. I czuję, że znowu go znienawidzę. Nie widziałam go od... od... liczę na palcach. Osiem lat. Nie spotkaliśmy się od ośmiu lat. Mam ochotę błyskawicznym ruchem powyłamywać sobie palce,

żeby zakończyć ten niepokój. Ale nie jestem już chora. Co ja mówię? Nigdy nie byłam chora.

Jakże mogłabym uciec od kogoś, o kim nigdy nie przestałam myśleć? Co to jest osiem lat? Chwila, wieczność! I kto mówi o rozłące? Odnajdywałam cię co dzień i co noc w bliskości doprawdy nieziemskiej. A tego wieczoru, panie Picasso, chciałam już tylko zniszczyć tę bliskość, która do pana już nie należy. Powie pan, marzenie. Przez całe osiem lat nic, tylko marzyłam. I wreszcie przebudzenie. Tak więc, panie Picasso, nie dla pana bliskość, w której miłuję już kogoś innego, kogoś, kto nie broniąc się, poddaje się mojej miłości.

Towarzyszący mi przyjaciel połapał się, w czym rzecz. Niewątpliwie żałuje swojej niedyskrecji. Dlaczego nie trzymał języka za zębami? Idziemy między kolumnami. Pochyla się w moją stronę niczym powiernik w tragedii z zamiarem podszeptnięcia mi rady, lecz jego głos zostaje od razu zagłuszony przez cygańską orkiestrę, która wyszła powitać nas na taras. Tancerka z uniesionym ramieniem wywija czerwoną chustą. Odniosłam wrażenie, że rozpoznaję słowa i rytmy. Przypominałam sobie, że chyba chodzi o pożegnalną pieśń:

Vi nie zalite menia cigani
Sad zbogom cigani posledni je cas.
Dai, dai, dai, dai, laila,
Dai, dai, dai, dai, laila...

A potem refren śpiewany przez mojego ojca w momencie stukania się kieliszkami, refren, którego sam nauczył się od Cyganów w dzieciństwie na Bałkanach. Trącanie się kieliszkami z wódką. Splecione ramiona.

Dobri czas! Zbogom! Trzeba mieć siłę, żeby opuścić obóz - wołają.

W środku towarzystwo. Widzę go. I słyszę. Cyganie milkną. I on w ciszy podchodzi do mnie. Zapomniałam o

przyjacielu u mego boku, lecz Picasso robi minę, podkreślając wobec innych, że nie jestem sama. Brawo! - krzyczy. Na pewno macie zamiar się pobrać. Doro, kochanie, nigdy nie wątpiłem, że trafisz na najlepszą z partii! A do tego blondyn, młody, tuzinkowy, rozpoznaję, moja słodka, twoje upodobania. Kiedy wesele? Jeśli ma się odbyć w Menerbes, to mam nadzieję, że nie omieszkasz zaprosić jego dawnego właściciela. Zrobię piękny prezent ślubny, mam zwyczaj dawania prezentów. Chyba, że jest już po wszystkim i nawet nie zadaliście sobie trudu, żeby mnie zawiadomić. Odpowiedz, Doro, pobraliście się?

- Tylko zaręczyliśmy!

- Co za niespodzianka, kochanie, spotkać was tutaj. W Nimes nikt mi nie mówił. Na pewno wiesz, że właśnie oglądaliśmy novilladę, młode byczki, zaledwie trzymiesięczne. Ale, jak dobrze rozumiem, moja słodka, ty wolisz młode cielęta. Ale popatrz, co za szczęście, tak wpaść na siebie w pięknym zamku Douglasa. Naprawdę niesamowite szczęście.

- Dla kogo szczęście?

- Dla mnie. Dla mnie, oczywiście. Od tak dawna nie miałem okazji cię widzieć i sądziłem, że jesteś zajęta wyłącznie zbawieniem swojej duszy. A tu nagle cud. Jaka wiosna dla mnie. I w końcu spotykam cię w towarzystwie Cyganów. Cóż za widok, Doro! A ty, jak mnie znajdujesz?

- Nie zmienił się pan.

- Więc nie mogę cię już zaskoczyć?

- Powiedziałam, że się pan nie zmienił. Właśnie dlatego, że się pan nie zmienia, wciąż mnie pan zaskakuje.

- Zestarzałem się, wiesz. Widzisz przed sobą samotnego mężczyznę. Odeszła. Zabrała dzieci. Uczyniłem ją królową, a ona potraktowała mnie jak błazna.

- Dobri czas! Zbogom!

- Gdybyś wiedziała, w jakim jestem stanie, zdobyłabyś się na większą wyrozumiałość.

Stoimy w trójkę w holu przed wielkim obrazem Nicolasa de Stael, mojego sąsiada z Menerbes. Jego dzieła skłaniały Picassa wyłącznie do ironicznej pogardy. Pan domu przyszedł nas przywitać, następnie wprowadził całe towarzystwo do salonu, tak jakby chciał sprawić, by ponownie zawiązały się między nami wątki krwawej gry, która kiedyś robiła furorę, a którą niebawem będzie się popisował jako jej nowy organizator. Minotaur, chociaż narzeka i knuje, nic nie stracił ze swojej wojowniczości i amerykański przyjaciel przygotowuje się do klęski.

- Twój upominek, Doro, cudo! Rozpoznaję cię w tym. Twój smak, humor! Ale dlaczego sama mi go nie przyniosłaś albo, ostatecznie, nie wysłałaś pocztą? Nie lubię, gdy ktoś między nas wkracza.

Następnie zwraca się do naszego przyjaciela i nie mogąc go zmierzyć wzrokiem, zniewala go swoim mrocznym spojrzeniem i ściąga niczym zahipnotyzowanego ptaka.

- Zastanawiam się - mówi do mnie - co ty w nim widzisz?

- Jest piękny, miły, młody i inteligentny.

- To dużo jak na nieznajomego. Nieznajomego, którego przeznaczeniem jest pozostać nieznajomym. Nieznajomy, którego jedynym tytułem do chwały pozostanie to, że udało mu się wyciągnąć ode mnie dwa podpisane portrety. Można powiedzieć, że to prawdziwy wyczyn! Przypominam sobie nawet, moja słodka, że swego czasu pani żałowała, iż udało mu się między nas wtrącić. Teraz, gdy go już nie chcę, z pewnością panią prosi o zrobienie portretu?

- Otóż to.

- A że jest pani niezwykle uczynna, więc na pewno pani zrobiła.

- Jest pan wciąż bardzo zazdrosny, i to bardziej o modeli niż o swoje kochanki.

Nagle chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę salonu, gdzie zebrali się już pozostali goście. Myślę o naszej plaży. Myślę o Mougins. Czyż nie kazał mi pójść za sobą bez oglądania się? To zalecenie byłoby dzisiaj zbędne. Gdy odwracam się, spoglądając w moją przeszłość, widzę tylko jego. Ponownie daję się więc wciągnąć w pułapkę i salon zamyka się za mną jak magiczne pudełko pomalowane w Picassowskie kolory. Ściany są całkowicie pokryte jego dziełami. Niektóre należą do tych dawnych okresów, gdy dopiero się rodziłam, inne należą do mojego czasu, naszego, czasu naszej miłości, wreszcie ostatnie, ledwie wyschnięte i pochodzące z innego świata, ale przecież nie całkiem mi obce. Mam wrażenie, że podglądam własne życie. Uzurpuję sobie oczywiście prawo, którego nikt mi nie przyznał, ale w każdym z tych dzieł wychwytyuję znikomy odprysk mojej miłości do człowieka, który je stworzył. Jestem tylko widmem składającym wizytę i właśnie to widmo Picasso trzyma za rękę.

Rozparty na środku salonu wskazuje mi swoje obrazy. Widzisz, mówi, to wszystko żyje nadal już beze mnie. Ale to moje dzieci, rozpoznaję je. A ty, moja droga, jak ci się żyje z tymi, które ci dałem? Czy się o nie troszczysz? O ile dobrze pamiętam, masz ich całkiem dużo!

- O, cały sierociniec!

- Skłonny byłem nawet twierdzić, że niektóre są do ciebie podobne kropka w kropkę! Robić dzieci, które są podobne do swojej matki, to apogeum dla artysty malarza kpiącego sobie z realizmu! Być może ty też nie jesteś rzeczywista, moja słodka, ponieważ widzę, że się nie zmieniłaś, jesteś taka, jaką cię poznałem tego dnia w Deux - Magots. Pokaż swoje ręce. Czy nadal są takie piękne? Wciąż krwawią?

- Poprzestają na modlitwie. Odstawiłam scyzoryk.
- Mylisz się, jeśli sądzisz, że mistyczne róże nie mają kolców.

- Ależ mają i właśnie dlatego je lubię.

- Dobrze cię w tym rozpoznaję. Ale czy nie wolałabyś pieścić mnie tymi pięknymi rękami? Modlić się. Modlić, na modlitwę będziesz miała czas, jak będziesz stara. Wieczór przy świecy itede, itepe... Picasso wielbił mnie, gdy byłam piękna itede, itepe... Dlaczego, do diabła, rozstaliśmy się? To nie ma sensu. Powiedz mi, dlaczego?

- Trudno, żebym zabójcy tłumaczyła powody jego zbrodni.

- Wielkie słowa, Doro! Czy sądzisz, że ty mnie nie poraniłaś? Sądzisz, że nie cierpiałem przez ciebie?

Ponieważ nie odpowiadam, pyta mnie z uśmiechem zbrodniczego dziecka:

- Powiedz mi, jestem pewien, że wydało ci się wspaniałe, to krzesło, które ci wysiałem? Gdy zareplikowałaś mi łopata, zrozumiałem, że między nami nic się nigdy nie zmieni.

Przeszliśmy do stołu. Douglas Cooper poprosił Picassa, żeby usiadł po jego prawej stronie, na co ten zaprotestował, mnie chcąc zaproponować miejsce honorowe, które według niego mi się należało. Ja oczywiście odmówiłam, z zażenowaniem obserwując popis nietaktowności naszego gospodarza. Sama nigdy nie przywiązywałam najmniejszej wagi do kwestii pierwszeństwa, a długo przebywając w towarzystwie Picassa przyzwyczałam się do tego, że wszędzie traktowano go lepiej niż króla. Zejście na drugi plan, gdy on jest na pierwszym, nie może narazić na szwank mojej próżności. Bóg i Picasso uczą pokory. Staje się ona czymś naturalnym i wygodnym.

Trwa ożywiona rozmowa i mimo że mistrz milczy, wszystkie spojrzenia są skierowane na niego. Jego

błyskawiczne riposty budzą lęk. Zdarza mu się sponiewierać gramatykę, ale to nie przeszkadza mu za każdym razem trafiać w sedno. Wszyscy czekają na jego aprobatę. Byle go rozśmieszyć i partia wygrana. Widziałam ohydne wiekowe damy - wyglądały, jakby namalował je Goya - które zapominały o wszelkiej przyzwoitości i błaznowały, by zdobyć jego uśmiech. Widziałam brzuchatych panów, zabierających się do tańczenia flamenco w nadziei, że go oczarują. Jednakże Picasso osiąga szczyt swoich zdolności uwodzicielskich, gdy milczy. Umie słuchać i - nienasycony - wysysa innych do samej duszy. Czy Sprawcy tego świata udało się arcydzieło, gdy temu człowiekowi udzielił mitycznego wizerunku Twórcy? Jego spojrzenie bierze. Jego spojrzenie daje. Lecz uwaga, wszystko jest możliwe! W jego przypadku nigdy nie pozostaje się długo w oku cyklonu, w owym punkcie skupienia cudownie chronionym przed nie wiadomo jaką, trwającą na zewnątrz zawieją.

Stół jest wąski i Picasso nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Czuję, że chce demonstrować łączące nas porozumienie, niespokojne i pełne uroku, które nie nosi na sobie piętna przeszłości. W pewnym momencie, akurat gdy ktoś mówił do niego z drugiego końca stołu, odwrócił się do mnie. Doro, powiedział, mam ochotę cię rysować, rozumiesz? Mówiąc o moich obrazach, powiedziałaś przed chwilą, że masz u siebie cały sierociniec. Czy nie chciałabyś, żebym ci jeszcze zrobił kilkoro dzieci?

Czułam, że się oblewam rumieńcem. Żar w wycięciu mojego dekoltu. Jednym haustem opróżniłam kieliszek wina i zapaliłam papierosa. Płomień mojej starej zapalniczki, zrobionej przez Picassa. Śmieje się, widząc moje emocje, reszta nie rozumiała naszych manewrów. Dodaje, że kiedyś w Wenecji kobieta tylko wtedy uchodziła za piękną, gdy

widziano, jak wino spływa jej do gardła. Odpowiadam, że lepiej zrobi, powstrzymując mnie od picia i palenia.

- Wino, moja droga, służy pani lepiej niż woda święcona. Czy pamiętasz, że spotykaliśmy się w czasach, gdy ty bawiłaś się w rewolucjonistkę? Może naprawdę nią byłaś. Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Należałaś do grupy tych szaleńców... zapomniałem nazwy...

- Contre - Attaque.

- Otóż to, Contre - Attaque. Cały program... Byłaś w dobrym towarzystwie, twoi przyjaciele surrealiści i słynny Bataille.

- Zapominasz o najważniejszym. Z nami był Paul Eluard. Jak mogłeś zapomnieć o naszym drogim Paulu?

- Nie tylko nie zapomniałem, nie tylko nie mogę zapomnieć, ale nie wytrzymuję, gdy słyszę jego nazwisko. Utraciłem w nim najdroższą mi istotę. Pamiętasz zdjęcie, które zrobiłaś w Mougins, w hotelu Vaste - Horizon? Ja z nim na tarasie. Paski cienia rzucanego przez trzciny, jakbyśmy stali za żaluzją. Mam to zdjęcie przed oczami w Vallauris. Powiedz mi, dlaczego on także mnie opuścił, tak go kochałem? Nie potrzebuję twojego Boga, Doro, nie chcę go. Zabrał mi Apollinaire'a. Zabrał mi Eluarda.

- Może kiedyś ci ich odda.

- Mówisz jak zakonnica! W czasach Guerniki nie paliłaś jeszcze świeczek, ale to ja uczyniłem z ciebie tę, która niesie światło. Chodziło o inne światło. Nie mów mi o zbawieniu mojej duszy. Ja chcę ocalić swoją skórę. To nie ciała eksplodują w Dien Bien Fhu, nie skóra pęka, nie ciała tam śmierdzą? I trzeba coraz więcej kostnic, ażeby ostatecznie zniknęła z powierzchni ziemi ta kolonialna zgnilizna, utuczona na piaszczach, pokropiona wodą święconą. Nie mów, zwłaszcza o mojej duszy, Doro.

Oddziały francuskie znalazły się w potrzasku. Kilka dni później zostały pokonane. Nadciąga katastrofa i po obu stronach ludzie rzucają się na oślep w bagno. Toteż Picasso wprowadził wojnę w sam środek rozmowy, forsując ton, by tym lepiej podkreślić obsceniczną tego przypomnienia w tym miejscu, przy tym stole, wśród współbiesiadników. Zgnilizna, cierpienie, śmierć nagle zagościły na zamku Castille, gdzie nikt ich nie zapraszał. I to on, Picasso, komunista wprowadził do jadalni wietnamskich bojowników. Osiemnaście lat po Guernice, dziewięć lat po Kostnicy, powraca do służby i chce mnie zwerbować na swoją stronę. Nikt nie ośmiela mu się przeciwstawić. A w bogatej barokowej siedzibie, gdzie zwartymi szeregami defiluje całe dwudziestowieczne malarstwo, wznosi się toasty Petrussem ku czi wietnamskich bojowników. Czegóż się nie zrobi, żeby się przypodobać Picassowi? Dobri czas! Zbogom!

Mówi mi przyjdź. Pan domu wstaje i zachęca nas do opuszczenia stołu. Równocześnie jednak zatrzymuje, prosząc Artystę o dokonanie wpisu do złotej księgi. Zmusza go, by znów stał się instytucją Picasso. Przejawem złej woli byłoby nie odpowiedzieć na taką prośbę sformułowaną w takim miejscu, w tym sensie, że jego dzieło bodaj zawsze zamieszkiwało zamek. Ono tu króluje.

Dostarczonym mu piórem kreśli kilka pionowych linii i wieńczy je wygiętymi falistymi liniami. Wyłania się stylizowana amfilada kolumn. Zamek jest barokowy, jego perspektywy imponujące. Artysta okazuje swemu gospodarzowi wspaniałomyślność. Opowiada mu o jego domu, a zarazem o panu domu. Podczas postoju w najlepszym zajęździe nie powierza się złotej księdze stanów swojej duszy, podkreśla się zalety kuchni i gościnność. Picasso zamknął stronicę hieroglifem zamku Castille. A my, skromni wasale, dodajemy po kolei nasze podpisy pod tym, który złożył mistrz.

- Jakie piękne dzieło! - woła Douglas Cooper. - Jakie piękne towarzystwo! Dziękuję, dziękuję wszystkim.

- Jestem sam - mruczy Picasso. - Proszę mi jeszcze powiedzieć o pięknym towarzystwie! Jeszcze nigdy nie czułem się tak samotny jak przez ten rok.

Odwraca się do mnie i ciągnie tonem zwierzenia: „Jeszcze nigdy tak nie egzystowałem. Nie zdarzyło mi się funkcjonować bez kobiety. Nie mogę już znieść tej samotności. Ona mnie wykańcza”. I znowu bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą. Przechodzimy przez ogromny pokój, jak na filmie w zwolnionym tempie. Publiczność świadoma rozwoju wydarzeń, nad którym przestaję panować, odprowadza nas spojrzeniami. Czuję je wszystkie na sobie - zamiast mnie krępować, koją niczym pieszczota. Zatrzymujemy się z dala od innych. Spojrzenia wciąż mamy na sobie. On i ja - nabożny zmartwychwstały sztych. Nie wiem, co nastąpi. Nie mogę o tym myśleć. Nie wiem nawet, że ta chwila jest jakby zawieszona i że od niej zależy reszta mojego życia. Inni to wiedzą, ja nie, jeszcze nie. Nie ma mnie w sobie, nawet z tobą mnie nie ma. Jestem jak inni, patrzę na nas. Jesteśmy w tej chwili jarmarcznym wizerunkiem naszej miłości. Może zaraz powiesz mi to, na co tak długo czekałam. Pozostaje tylko dorysować chmurki, w których pojawią się decydujące słowa, oczywiście twoje słowa. Te słowa to... Ale ty przecież nie odzywasz się. Patrzysz na mnie, a w twoich oczach nie ma już nic dziecięcego. To oczy, których jeszcze nie znałam i które odkryję zbyt późno, gdy ty znikniesz już na zawsze. To oczy twojego ostatniego autoportretu, wytrzeszczone z powodu bliskości śmierci, której chcesz spojrzeć w twarz. Nic nie mówisz, tylko odwracasz się nagle tyłem, zanim jeszcze raz mnie porzucisz. Bo faktycznie zostawiasz mnie na lodzie. Przechodzisz w odwrotnym kierunku przez salę. Jesteś ostentacyjnie sam, podczas gdy ja

w drugim końcu pomieszczenia wyczekuję w samotności, która jest warta samotności twojej. Rozmowy toczą się z trudem, z trudem odrywają się od nas spojrzenia. Chciałeś świadków, więc ich masz. Uważasz się za matadora czy za byka? Nie jestem pewna, czy nie zostawiłeś na arenie flaków, jak koń, gdy jeszcze nie okrywano ich czaprakiem.

Skąd ten nagły zwrot? Dlaczego chciałeś mnie odciągnąć na bok? Jakim sekretem chciałeś się ze mną podzielić? Dlaczego się rozmyśliłeś? A jeśli wszystko, co przeżyłam w marzeniu, to tylko pułapka? Jeśli chciałeś pokazać całemu światu, że nie straciłeś na mnie wpływu, że wystarczy twoje słowo, bym usłuchała jak marionetka? Nie pragnąłeś publicznie zademonstrować swej władzy nade mną, tylko dlatego, że innym kobietom udało się wyrwać spod twojej władzy?

Towarzystwo wróciło do rozmowy, a ja zostałam, kontemplując nową klęskę. Ledwie zdecydowałam się podejść do grupy, zatrzymał mnie twój głos. Niespodziewanie miał w sobie coś sztucznego: „Twój przyjaciel powiedział mi, że liczycie na postój w Burgundii u Balthusa. Wspaniały pomysł! Balthus, proszę bardzo, ktoś, kto mi się podoba. Znamy się od ponad dwudziestu lat i mam u siebie piękne jego płótno. Znasz je, moja słodka, byliśmy razem, gdy je kupiłem. Będę wam towarzyszył u Balthusa. Dora, wsiądziesz ze mną do hispano, a twój narzeczony pojedzie z bagażami za nami. Dobry pomysł, prawda? Przypominasz sobie, Doro, Vaste - Horizon? Znowu będzie tak jak w Mougins. Balthus będzie chciał nas zatrzymać, a my nie damy się prosić. Jest wiosna, prześpimy się wszyscy w polu. Malować na dworze, nie, dziękujemy, to nie w naszym stylu. Ale spać, ach, przespać się w zamku Draculi, w głębokiej Burgundii... Po przebudzeniu ciężkie wino i kiełbasa czosnkowa! Paulo poprowadzi. Paulo, mistrz kierownicy i wspaniały organizator wszystkich moich zabaw.

Wystarczy, że gwizdnę, i Paulo w lot chwyta, czego chcę. Prawda, Paulo, że nigdy się tak dobrze nie rozumieliśmy?"

Paulo jest synem Olgi i Picassa. Został kierowcą swojego ojca, gdy Marcel został zwolniony po osiemnastu latach służby. Pewnej nocy Marcel miał nieszczęście wypożyczyć bez pytania białego oldsmobile'a, którego amerykański marszand Kootz zaproponował swojemu mistrzowi. Na drodze do Deauville miał wypadek. Nazajutrz Picasso oznajmił mu, że skoro nie ma samochodu, to nie potrzebuje już kierowcy. Faktycznie został mu nieśmiertelny hispano. Dzięki niemu syn podjął służbę u ojca. Nie była to fortunna decyzja - ani dla jednego, ani dla drugiego.

Picasso coraz bardziej zapalał się do swojego pomysłu odwiedzin u Balthusa i próbował mnie do niego przekonać. Widział same zalety. Czyż nie bylibyśmy znów razem jak kiedyś w naszym hispano? Błagał mnie, żebym się zgodziła, raz po raz wybuchając śmiechem, który powtarzając się, nabrał sardonicznego zabarwienia. Czuję, jak bardzo byłby usatysfakcjonowany, upokarzając mojego przyjaciela, wyganiając go do drugiego samochodu.

- Pański pomysł jest doskonały - mówię.

- A widzi pani! Zadzwonimy do Balthusa, żeby go uprzedzić.

- On nie ma telefonu.

- No to zrobmy mu niespodziankę! Tak dobrze nam będzie w hispano.

- Spotkamy się u Balthusa. Pojadę z moim przyjacielem, tak jak wcześniej zaplanowałam.

- To nie ma sensu!

- Tak pan uważa?

- Dlaczego z nim? Nie jesteście ani małżeństwem, ani narzeczeństwem, ani niczym takim. Ale ostatecznie, spójrz na niego, przecież on się nie nadaje na twojego męża! To nie jest

facet dla ciebie, to w ogóle nie jest facet! Jakie to wszystko śmieszne! Skoro chcesz podróżować z nim, życzę szczęścia! Ja wracam do Vallauris. W drogę, Paulo, mamy trochę kilometrów do zrobienia i choć nikt na nas nie czeka, to trzeba przyjechać, nim wstanie dzień. Mam nadzieję, że Cyganie spodobali ci się. Zabiorę ze sobą dwóch czy trzech, żebyśmy nie zasnęli po drodze. Dobri czas! Zbogom!

Wyjechał i życie zamarło. Ruszyli za nim do samochodu, by uprosić go, żeby jeszcze został. Jestem pewna, że ich błagania niczego nie działają. Postanowił wyjechać i wyjedzie. Jego szalone pomysły, prowokacje i różne zmiany to jego prawo. Obok mnie został tylko przyjaciel, który bardziej niż kiedykolwiek przypomina powiernika z tragedii. Nie mamy odwagi, by na siebie spojrzeć. Upokorzenia, jakie go spotkały ze strony Picassa, mniej mu ciążyły niż jego mimowolna odpowiedzialność za gniew mistrza i jego nagły wyjazd. Odwraca się do mnie: „Jeśli pani chce wyjechać, Doro, to proszę to szybko zrobić. Z powodzeniem mogę za panią pojechać albo nawet wrócić prosto do Paryża, bez przewidzianego postoju u Balthusa. Niech pani jedzie, Doro, jeśli właśnie tego pani chce...”.

Miałam odpowiedzieć, że trochę za późno. Picasso już wyjechał. Wyjechałby tak czy inaczej. Jutro, pojutrze. Wyjechałby z zamku Castille albo z zamku Balthusa. Znowu by się odciął ode mnie, a ja nie dysponowałam już żadnymi środkami opatrunkowymi. Za późno. W oddali zagrała muzyka. Urojenie dźwiękowe? Cyganie, którzy mieli mu towarzyszyć, jakby się zbliżali. Nadzieja, szalona, nadzieja niedorzeczna! Rozmyślił się? Wracał po własnych śladach razem z muzykami tworzącymi jego eskortę? Czy zostało mu coś z dawnej miłości? Czyż kiedyś nie kochał mnie trochę? W końcu ocknęłam się z bezruchu. Ruszam biegiem. Przez wielkie zamkowe sale. I wyłaniam się z labiryntu. Wychodzę

mu naprzeciw, on rzuca się w moją stronę. Może zejdziemy się. Tym razem to nie sen, nawet nie koszmar. Znow stoję na progu i znow przed sobą widzę tylko noc.

Goście jakby z żalem ruszają schodami w górę. Wychodzą z mroku, a ich twarze wyrażają już tylko zmęczenie. Zabawa skończona. Cyganie nadal grają, bez przekonania. Nie znoszę teraz tych dźwięków - bezwiednie grają na włóknach nerwów. Hispano ruszył jak huragan i po prostu odjechał. Picasso poprosił Cyganów, by mu towarzyszyli aż do Vallauris, ale potem wyrzucił ich z samochodu.

Już go nie ujrzę. Odtąd definitywna pustka.

XV

Niedziela, 8 kwietnia. Niedziela tego samego 1973 roku, który miał dobiec końca za kilka dni. Niedziela, której pogłos będzie odzywał się we mnie do końca. I tego 8 kwietnia po południu zadzwoniła do mnie przyjaciółka. Musiała być piętnasta. Powiedziała mi, że wiadomość z ostatniej chwili przerwała programy w telewizji. Poinformowano, że Pablo Picasso zmarł w swoim domu Notre - Dame - de - Vie w Mougins. Chciała mnie uprzedzić, żeby wiadomość nie ugodziła mnie zbyt brutalnie. Podziękowałam jej. Chyba niepokoiła się o mnie. Odpowiedziałam, że nie jestem zaskoczona. Donoszono mi, że od kilku tygodni słabnie. A jednak spytałam ją, czy informacja jest potwierdzona. Ona na to, że to chyba wiadomość oficjalna, ale nigdy nic nie wiadomo. Od razu jednak proponuje, że przyjdzie, aby mi potowarzyszyć na rue de Savoie. Uspokajam ją. Trzymam się. Wolę posiedzieć sama i się pomodlić.

Odłożyłam słuchawkę, ale nie padłam na kolana. Nawet nie włączyłam radia, żeby uzyskać potwierdzenie informacji. Pozostawiam wolną przestrzeń trwania. Nie mogę nic robić. Czuję pustkę. Sekundy czy minuty? Nie wiem. Nie słyszę ani serca, które bije, ani głowy, która myśli. Czy dawniej kobiety nie miały zwyczaju omdlewania z powodu mniejszych emocji? Ta do mniejszych nie należy, a ja nie mdleję. A jednak moje ciało i dusza milczą. Przygotowują się na przyjęcie najgorszego? Czy już się z tym pogodziły? A jeśli to przebaczenie, które uzyskałam, jest tylko refleksem jego przebaczenia, tam w Notre - Dame - de - Vie? Może jeszcze żyje? Może jego śmierć żyła realnością niepowstrzymanej plotki?

Wychodzę z letargu, ale tylko po to, by zabrać się do poszukiwania radia. Nie znalazłam go ani w pracowni, ani w salonie. Jak lunatyczka popycham drzwi do kuchni, na których

wciąż widnieją czerwone litery wyrysowane przez Picassa: wstęp wzbroniony! Obok zlewu, między brudnym talerzem a pokrywką od garnka, odbiornik tranzystorowy czeka na uwolnienie wiadomości. Mówią o nim wszystkie rozgłośnie. Przeskakuję od jednej do drugiej. Francja, potem BBC, radio włoskie, szwajcarskie, jeszcze inne... Wszędzie słyszę jego imię, niewypowiadalne imię mojej miłości, imię tego, którego już nigdy nie zobaczę, człowieka, którego widziałam po raz ostatni przed dziewiętnastu laty w zamku Castille. Mówią, że zmarł rano, kwadrans po jedenastej. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata.

Dałeś mi wszystko. Wszystko mi zabrałeś. Tego dnia, 8 kwietnia 73 roku zabrałeś mi nawet żałobę po ojcu. Nie tak dawno odszedł, pan Joseph Marković. Zaledwie przed czterema laty. Z ojcem co niedziela chodziliśmy razem na obiad do restauracji hotelu Lutecja. Mawiał, że jestem jego niedzielnym dzieckiem. I właśnie w niedzielę twoje serce przestało bić, kochanie moje. Ta niedziela zatarła wszystkie poprzednie. Od zawsze jestem sierotą, ponieważ ciebie już nie ma. Czy jednak wiesz, że twoja śmierć przyprawiła mnie nie tylko o rozpacz? Czuję, że kiedyś będę mogła w duchu dysponować tobą ze swobodą, której nikt mnie nie pozbawi, zwłaszcza ty.

Gdzie jesteś, mój ukochany, duszo moja? Gdzie przebywasz w tej chwili? W którą stronę zmierzasz? Tak daleko zaszedłeś, twoje olbrzymie kroki poniosły cię w ciągu twoich dziewięćdziesięciu dwóch lat tak daleko, by ci wszystko przedstawić, nie pozostawiając czasu na oddech. W miłości, w sztuce, a nawet na arenie stale coś wymyślałeś. Miesiłeś materię. Katowałeś ducha. Bez wytchnienia. Aż puścił sok. Byłeś dzieckiem odkrywającym świat, który stworzyło własnym spojrzeniem.

A teraz, czyż nie stałeś się kruchy? Widzę, jak wchodzisz w pośrednią strefę, gdzie życie jest martwe, a śmierć jeszcze nie ożyła. Jesteśmy kobietami, które chcą cię zatrzymać. Umieszczone na tobie brzemie naszej miłości. Nie możemy pogodzić się z tym, że odchodzisz. Nie należysz do tych, których plecy się widzi. Nie do tych, którym zamyka się powieki. Już kiedyś twój sen napawał mnie lękiem. Nie mogłam znieść tego, że kryjesz spojrzenie, choćby pod powieką. Nigdy nie chciałam cię fotografować podczas snu. Byłby to mord. I profanacja. Lubiałam natomiast, gdy ze szczęścia otwierałeś szeroko oczy. Gdybym to ja była wdową, nie zamknęłabym ci oczu. Wolałabym widzieć, jak patrzysz śmierci w twarz, jak na ostatnim autoportrecie. Nie zamykano zmarłym oczu w starożytnym Egipcie. Otwierano je. Twoje oczy, kochanie moje, wypełniało to, co widzialne. Czy w godzinie ostatniej widzialne spotka się z Niewidzialnym?

Nie pojedę do Mougins, by czuwać przy twoich zwłokach. Nie pojedę do Vauvenargues, by cię pochować. Zresztą i tak nikt by mnie nie wpuścił. Cóż po ostatnim spojrzeniu na ciało, w którym już nie mieszkasz?

Jeszcze za wcześnie, by łączyć się z tobą w słowie modlitwy. Wzdragam się na wieść o twojej śmierci. Sięgam po słowa poety. Wspominam Paula. Wspominam Nush. Wspominam nasze wakacje w Mougins, tam gdzie umarłeś. Wspominam miłość, która jak echo przechodziła z jednych na drugie. Byliśmy wtedy nieśmiertelni, wszyscy czworo. Pierwsza odeszła Nush, Eluard się poddał, gdy krew nie trysnęła. Jego piękność nie żyła:

Moja miłość mój mały moja korona zapachów Nic a nic nie miałeś wspólnego ze śmiercią...

Zaczyna się legenda. Uważano cię za diabła, a wszyscy komentatorzy oddają cześć bogu. Bogu, który umierając, zyskuje zdolność rozpętywania żywiołów. Jeszcze nie

widziano podobnego tumultu na tym brzegu Morza Śródziemnego, zwłaszcza w wiosennej porze. Wieść o twoim odejściu postawiła Prowansję na głowie. W Mougins i wokół Notre - Dame - de - - Vie szaleje już burza. Trąby wodne wsysają długie brązowe pasma ziemi i błota. Twój kondukt żałobny musi czekać z wyjściem z Mougins na uprzątnięcie drogi. Nazajutrz rano, gdy samochody będą dojeżdżały do Vauvenargues, śnieg pokryje całą okolicę twojej ostatniej siedziby. To już nie prowansalska wiosna, lecz karpacka zima. I choć ty sam nie cierpiełeś pogrzebów państwowych w stylu Georges'a Braque'a, to twoje zwłoki muszą tymczasem prosić o pomoc pług śnieżny. Przetrze ci drogę od twojego zamku do końca świata. Młoty pneumatyczne zaczynają drażnić skałę pod schodami, dokładnie tam, gdzie masz spocząć. Musisz czekać, aż skończą swoje dzieło.

To wszystko stało się już legendą. Opowieści nie układają już naoczni świadkowie. Wszyscy mówią o tobie, lecz najrzadziej ci, którzy towarzyszyli ci w ostatniej drodze, która tak naprawdę jest drogą przedostatnią. Później dowiem się, że Marie - Therese odmówiono wstępu do Vauvenargues, a twoje dzieci, Mayę, Palomę i Claude, rozmyślnie trzymano z daleka. Nie mogły uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych własnego ojca. Pograżone w bólu uciekły na szczyt sąsiedniego wzgórza.

Te uroczystości w niczym nie przypominają ciebie. Chłód, jałowość, izolacja. Nic przypominać ciebie nie mogło. Nic a nic nie miało wspólnego ze śmiercią...

Po raz ostatni widzieliśmy się w zamku Castille. Dziewiętnaście lat temu. Lubię przypominać sobie liczby, bo jeśli chodzi o nas, większego znaczenia nie mają. Te dziewiętnaście lat nie bardziej oddzieliły mnie od ciebie niż tych poprzednich osiem lub dziewięć, gdy nie byliśmy już razem. Dlaczego śmierć miałaby zniszczyć coś, czego życie

nigdy nie tknęło? O twoim ponownym zniknięciu dowiedziałam się wczoraj. Nie spałam w nocy. Próbowałam zasnąć, ale zaraz wstawałam, chcąc na odległość towarzyszyć ci w stronę bezimiennego. Nawet paliłam świece przed twoimi obrazami. Wyglądało to jak relikwiarz ortodoksyjnego kościoła.

To nie rozpacz kazała mi czuwać. Jeszcze nie ona. Niewątpliwie nadejdzie szybciej i dotkliwiej, niż się obawiam. W tej chwili jestem w tym stanie epileptycznego uniesienia, w którym odczuwa się nadejście ataku. Wiem, jak złudne i chore jest oddawanie się ekscesom namiętności, napinanie dzikiego łuku cygańskich skrzypiec na własnych ścięgnach. Upodobanie do rozpacz zżera wam nerwy. Teresa, mała wielka Teresa z Avila, ostrzegała dziewczyny. Omdlenia i miłosne tortury nie wyznaczają najpewniejszej drogi do ekstazy. Lepiej zapomnieć o swoim ciele, zarówno o rozkoszach, jak i cierpieniach. Ale jak do tego dojść? Czyż sam Chrystus nie wydał z siebie w ogrodzie oliwnym arcyłudzkiego okrzyku? Ojczy, czemuś mnie opuścił? A ja, zwykła śmiertelniczka, podniecam się, że mogę ofiarować Bogu wszystkie porzucenia, których doznałam. Za każdym razem musiałam leczyć się z ciebie. Przypominam te wielkie przypalenia na ciele mumii, brązowe zwęglenia. Po trzykroć krzyknęłam, czemuś mnie opuścił? Po raz pierwszy, gdy odszedłeś do innej. Po raz drugi, w zamku Castille, gdzie się pojawiłeś, by zniknąć na zawsze. Po raz ostatni mnie opuściłeś dwadzieścia cztery godziny temu, definitywnie pieczętując moje przeznaczenie.

Przy każdym kolejnym porzuceniu cierpienie było słabsze i miałam wrażenie, że się hartuję. Być może nie miałam już nic, co można by mi odebrać. Nie byłeś bardziej obecny w życiu niż w śmierci? Na płótnie moje pejzaże upraszczają się, i choć maluję je w plenerze, graniczą z abstrakcją. Pod

słońcem Menerbes, prawie jak w Avilla, światło wyrównuje kontury, pali skórę, usypia uczucia. W końcu, gdy wszystko zostaje zniesione, miłość, uczucia, wyobraźnia, pozostaje już tylko abstrakcja. Ty nie chciałeś o tym słyszeć. Czuleś się zbyt żywy, żeby cię kusić. Postrzegałeś ją jako otchłań nicości. A jednak, nie poszukując jej, skierowałeś mnie w jej stronę, ponieważ pozbawiłeś mnie swojej obecności. Po cóż figuratywnie przedstawiać świat, skoro już nie należysz do niego? Twoja nieobecność ogałaca mnie z wszelkiej realności. Bez ciebie nie ma już figur i nie ma figuratywnego przedstawienia. Nie umiałam utrwalić na moim żalobnym woalu odcisku twojej kochanej twarzy. Nie jestem Weroniką, a ty nie byłeś Chrystusem. Nadal będę wykonywać gest malowania, tak jak wykonuję gest modlitewny. Nie liczą się ani słowa, ani kolory. Muszę osiągnąć idealną obojętność. Świat nie istnieje bardziej niż ja. Chcę skasować rzeczywistość, którą za bardzo uwielbiłam.

Łatwo powiedzieć. Na papierze słowa się buntują, na płótnie kolory wymykają dłoni. Chciałam siebie wymazać, a pozostaję Dorą Maar. Zabrano mi wszystko, ponieważ zabrano mi tego, kogo kochałam. Zabrano mi tego, kogo Kocham, żywego czy umarłego. Choć przesuwam na różańcu słowa modlitwy, palę świece, oddaję się wbrew sobie czystym formom abstrakcji, ręka kształtuje bunt, a mój duch oddala się od pobożnych śpiewów. Czy przeżyłam to wszystko, żeby teraz na zawsze utracić? Po co żyć, skoro znikły wszelkie po temu powody?

Mój wewnętrzny bunt nie ucichł. Jestem za burzą, ale nie tonę. Fala jeszcze mnie nie zatopiła. Wyciągam ramiona w stronę parapetu. Myślę o Guernice. Ta kobieta po prawej stronie twojego obrazu, która wyciąga rękę w kierunku wąskiego okienka na poddaszu. Archaiczny błagalny gest. Porywający krzyk buntu. Jakiego Boga przyzywać, skoro Bóg

pozbawia was miłości? Skoro Bóg skazuje was na kontynuowanie życia bez życia?

Nie ma cię tutaj, kochanie moje, a cały świat wielbi twój geniusz. A ja, ja, Dora Maar, którą zafascynował płomień twojego spojrzenia i przemyślność twojej ręki, zachowuję z tego olbrzyma, któremu sam nadałeś imię Yo, Picasso, tylko palący kontur tego, kogo kochałam. Moja miłość mój mały moja korona zapachów. Krążę w twojej pamięci. Urealniam ją, niech mi nie mówią o abstrakcji! To było. To na pewno jest. To musi pozostać. Ja to przeżyłam, nikt inny. Bóg nie ośmielił się zabrać mi tego. Dlaczego diabeł miałby tego ode mnie wymagać? Czyż sztuka nie jest przedpokojem rajy? Z przedpokojem uczyniłam pokój, a z przyjemności drogę poznania. Mówiąc to, nie jestem świętokradcą. Nie można się kajać za to, że się kochało. Wiem natomiast, że kiedyś będę musiała uciszyć w sobie to ja, które nieprzerwanie się buntuje, by wyraźniej obwieścić swoje istnienie. To ja się zwierzam, mizdrzę, rozmywam, nadymam. To ja z lubością oddaję się teraz pisaniu, by po raz ostatni stworzyć sobie złudzenie rzeczywistej obecności, rzeczywistej jak obecność Chrystusa pod postacią chleba i wina.

Dziwne, od chwili, gdy dowiedziałam się o śmierci twojego ciała, mniej troszcę się o twoją duszę. Przedtem czułam się odpowiedzialna za twoje zbawienie i niepokoiłam się o nie. Uważałam się za Elwirę, a ciebie brałam za Don Juana. Po ogłoszeniu twojej śmierci ten niepokój dziwnie minął. Na pewno, nic się już nie da zrobić.

Nie znam twoich ostatnich myśli, ale chyba nie oddawałeś się w nich skrusze. Zamiast żałować swoich uczynków, pewnie ubolewałeś, że nie masz już czasu. Zawsze widziałam cię przerzucającego się w przyszłość, najczęściej tę bardzo bliską przyszłość kolejnego malarskiego przedsięwzięcia. Nie widziałeś żadnego powodu, żeby prosić o wybaczenie.

Dlatego powinny ogarnąć cię wyrzuty sumienia i ta nostalgia za przeszłością, która była ci zupełnie obca. Malarz nie odczuwał najmniejszej skruchy, człowiek także nie. Przeżywanie przeszłości, nie, dziękuję bardzo. To naprawdę nie w twoim stylu. Gdyby próbowano przyłapać cię na gorącym uczynku, byłbyś już gdzie indziej, z inną kobietą, z innym dziełem pod ręką. Nie miałeś czasu na żale. Świat na ciebie czekał. Czułeś, jak coraz bardziej się niecierpliwi. Czyż nie należało go każdego dnia na nowo wymyślać? Na tym polegało twoje zadanie, Pablo Ruiz Picasso. Zadanie, które kiedyś wyznaczyłeś wszystkim.

Nie wyobrażam sobie ciebie z plecami przy ścianie. Nic a nic nie miałeś wspólnego ze śmiercią. Nie mogę uwierzyć, że zostałeś pozbawiony przyszłości, twój płomienny wzrok nagle przesłonięty przez ostatnią barierę, krajobraz odgradzony na zawsze. Nie widzę, byś nawet w tej ostatniej już chwili zwrócił się w stronę przeszłości, żeby dokonać aktu skruchy. Mój mały, kochanie moje, korono zapachów. Nie wyobrażam sobie, byś w ostatniej godzinie domagał się księdza z ostatnim namaszczeniem, którego, obawiam się, nawet ci nie zaproponowano. Mogę nad tym ubolewać, ale nie będzie mnie to gnębić ani, tym bardziej, obsesyjnie prześladować. Nieprzeniknione są drogi Pana, a te, które obiera geniusz, być może najszybciej i najprościej prowadzą do Boga. Teraz, gdy w tobie dokonuje się przeobrażenie, mam przeświadczenie, że całe ciało Erosa stało się namaszczeniem. Jakże Stwórca mógłby pominąć duszę swego wielkiego demiurga, niejakiego Picassa? Duszę tego, który zakłócał spokój? Czyż nie byłeś, Pablo Picasso, solą tej ziemi? Jest jałowa, odkąd odszedłeś!

Tego dnia rano, już drugiego od twojej śmierci, radio podało, że na Południu znowu spadł śnieg. Vauvenargues wciąż spowite kirem po tobie. W Paryżu zimno, ale jasno. Szłam godzinami, zatrzymując się na modlitwę w każdym

kościel. Zresztą, żeby się pomodlić, nie muszę padać na kolana czy wchodzić do miejsc kultu. Moje słowa, moje myśli, zwłaszcza odkąd nie żyjesz, łączą się instynktownie i prowadzą od ciebie do Boga. To nieustanny ruch, ustanawiający we mnie rodzaj równowagi życiowej, jaką tworzą w organizmie obiegi krwi i tlenu. Ty, ja, On. Machina się kręci.

Przeszłam przed kinem. Grają Ostatnie tango w Paryżu - przyciągnęły mnie fotosy z Marlonem Brando. Przypomniałam sobie oczywiście ten obiad u Katalończyka, chyba pod koniec 44 roku. Oszołomiła nas uroda tego młodego żołnierza marynarki, ledwie dwudziestoletniego, który w odległości kilku metrów od nas jadł w towarzystwie naszego przyjaciela Balthusa. Nie wiem, skąd Balthus wytrzasnął tego anielsko pięknego wojaka, wówczas kompletnie nieznanego, którego blask zapierał dech. Wtedy produkował się tylko w jakiejś amatorskiej trupie z Nebraski. To znaczy, był jeszcze zupełnie dziewiczy. Wystarczyło jednak spojrzeć na niego, żeby mieć pewność, że kiedyś rozbłyśnie jak gwiazda. Jego rzymski profil miał wyrazistość i wdzięk. Pod mundurem można się było domyślać ciała atlety i sprężystych mięśni wielkiego kota.

Później zobaczę go, gdy się pokaże w swojej trykotowej koszulce w Tramwaju zwanym pożądaniem Elii Kazana. Od razu napiszę do Balthusa, gratulując mu spostrzegawczości. Nieznajomy od Katalończyka został wybitnym aktorem. Przypominam sobie też, że z Balthusem rozmawialiśmy również o Brando w Burgundii. Po raz drugi utraciłam twoją miłość, ale nie chciałam innych obarczać swoim cierpieniem. Wtedy wspomniałam o filmie Mankiewicza Juliusz Cezar, który widziałam kilka tygodni wcześniej. Balthus mógł sobie pochlebić, że pod anonimowym uniformem zdołał odgadnąć

światlistą ikonę, już to chuligana z południa Stanów, już to szekspirowskiego Marka Antoniusza.

Wcale mnie nie dziwi to, że natknęłam się na Marlona Brando po naszym trzecim rozstaniu. Czyż nie pojawił się u Katalończyka w chwili, gdy między nami nastąpiły pierwsze pęknięcia? Teraz spotykam go po twoim ostatecznym odejściu. W aktorstwie został takim samotniczym olbrzymem, jakiego ty ucieleśniasz wraz ze swoim dziełem. Katalończyk, jak dawno to było. Nie ma już Katalończyka. Nie ma Grands - Augustins, ponieważ twoja noga tam nie powstała od 55 roku. Obawiam się, że niebawem natknę się tam na tablicę pamiątkową. Ta perspektywa nappełnia mnie przerażeniem. Po twoim odejściu Paryż stał się abstrakcją.

Czyż nie pojawiam się jak zjawa w dzielnicy, którą tak dawno temu opuściłeś? Słyszałam, faktycznie, że od twojej błyskawicznej wizyty w pracowni przy Grands - Augustins w 55 roku nigdy już nie powróciłeś do Paryża. Z wyjątkiem tego razu, gdy trafiłeś do szpitala, na jedną czy dwie noce. Nasze ulice niezmiennie się stykają i tworzą kąt prosty. To właśnie tu, na tym rogu, spotykaliśmy się kiedyś, na skrzyżowaniu tych dwóch ulic, które nie mogą się minąć, a pragną od siebie uciec. Dzisiaj jestem samotnym przechodniem, przechodniem wspominającym. Zresztą, czy to tylko wspomnienie? Powiedziałabym raczej, że przedłużenie tego, czego nie sposób przerwać. Nie przestałam z tobą żyć, choć opuściłeś mnie na tak długo przed śmiercią.

Twoja ręka ukształtowała mnie po twojemu na płótnie, a teraz całe płachty ciebie trzymam na rue de Savoie. Stałeś się nawet moim własnym ciałem. Wchłonęłam cię. Bądź ufny, kochanie moje, znam tajemnicę eucharystii. A gdy przechodzę przez naszą dzielnicę, idę dla ciebie. Z tobą idę, a ty we mnie. Zjawa, którą się stałam, udaje samotnego przechodnia, choć

właściwie jest dwiema osobami. Twoja pamięć zamieszkała we mnie, także twoje ciało.

W zamku Castille, gdzie widziałam cię po raz ostatni, był w twoim spojrzeniu lęk, którego przedtem u ciebie nie dostrzegałam. Nie tylko strach przed życiem bez kobiety. Francoise właśnie cię opuściła i zabrała ze sobą dzieci. W twoich oczach było coś innego, co mnie zaskoczyło i sprawiło, że bardziej niż kiedykolwiek zapragnęłam cię ukoić. Nie pocieszyć, domyślałam się, że pocieszyć cię nie sposób, ale właśnie ukoić. Trzy czy cztery tygodnie po zamku Castille znalazłeś sobie nową towarzyszkę - zostanie twoją żoną po śmierci Olgi, która nigdy nie zgodziła się na rozwód - błysk przerażenia jednak nie zniknął z twojego spojrzenia. Można by nawet powiedzieć, że jest wyraźniejszy. Oglądałam w gazetach liczne publikowane tam twoje fotografie. Gdy nie zasłaniasz się błazeństwami, niepokojący błysk nawiedza twoje spojrzenie i odbija się na kliszy. Nic a nic nie miałeś wspólnego ze śmiercią. Nic a nic. Ale odgadujesz ją, widzisz, jak nadchodzi z bardzo daleka i jest coraz bliżej i bliżej. Codziennie wygrywa. Każde twoje zdjęcie mnie boli. Nie w tym sensie, że przypomina mi nasze zerwanie - do tego nie potrzebuję przypomnienia, ale że jest świadectwem twojej walki z pracą śmierci. Twoje dzieło potrafi za każdym razem nad nią zatriumfować. Twoje dzieło śmieje się, raduje, żyje. Twoje dzieło nigdy nie czuło się tak dobrze. Tylko twoje oczy wyrażają cenę walki. Czasami widać w nich uporczywość spojrzenia z ostatniego autoportretu. Zupełnie jakby twoja gwałtowność drapieżcy obróciła się przeciwko tobie samemu.

To było w 56. Picasso właśnie skończył siedemdziesiąt pięć lat. Wiedziałam, że urodziny od dawna przestały być dla niego świętem. A te nie przyszły w najlepszym momencie. Węgry zbuntowały się i Budapeszt pod sowieckimi czołgami stał się kolejną Guerniką. Picasso podpisał więc list z

żądaniem wyjaśnienia do partii komunistycznej, do której jednak nigdy nie przestał należeć. Te urodziny wypadły źle, do tego nie było żadnej wrzawy zorganizowanej przez Francuską Partię Komunistyczną. Nikt nie miał do tego głowy.

W tym okresie wciąż uważałam się za Elwirę i roiłam sobie, że moje afektowane napomnienia i wezwania do ładu zdołają skłonić ukochaną a niepokorną istotę do zastanowienia się nad sobą, wręcz do skruchy. Przesłałam mu do jego domu La Californie w Cannes, gdzie właśnie się urządził, dzieło pewnego dominikanina, którego refleksja filozoficzna i religijna mogła go chyba zainteresować, jeśli nie przekonać. Jeśli mam być do końca szczerą, to sądzę, że woła zbawienia własnej duszy połączyła się z mroczniejszym i żywszym pragnieniem utrzymania tak drogiej więzi. Bez względu na to, jak bardzo zagubiona była owieczka, dla mnie była warta miłości.

Okazało się, że jakiś angielski dziennikarz był w La Californie akurat tego dnia, gdy nadeszła książka, i że został zobowiązany do przekazania Picassowi mojego upominku. Napisał w „Evening Standard” relację z tego spotkania, o czym dowiedziałam się dopiero kilka miesięcy po publikacji, od przyjaciela, który mi przysłał artykuł. Nie byłam niezadowolona z wrażenia, jakie wywołał mój urodzinowy prezent:

„Gdy się spotkaliśmy, obawiałem się, że Picasso nie przyjmie prezentu i będzie podkpiwał z podejmowanych przez Dorę wysiłków na rzecz jego nawrócenia. Nic takiego jednak się nie stało. Oczy rozblęły mu radością, gdy tylko chwycił broszurę.

Tumult. Jakby przebiegał równocześnie pół tuzina pokoi, wołając do swojej obecnej przyjaciółki Jacqueline Roque:

Chodź tu szybko! Gdzie jesteś? Właśnie dostałem prezent od Dory".

Później nie chciałam już być Elwirą. Ty nie byłeś Don Juanem. Dlaczego twoja dusza miałaby być zagrożona? Twoja modlitwa przenikała się z twórczością, z twoim życiem, z życiem w ogóle. Nie byłeś już młody, lecz wciąż eksplodowałeś. Z wiekiem nawet coraz gwałtowniej. Smętne dusze zarezerwowały dla ciebie zbyt chwalebny erotyzm. Nie chciały zrozumieć, że twoja seksualność pozwalała ci badać i pojmować życie. Czyż nie wchodziłeś w materię malarstwa, po swojemu interpretując Damy do towarzystwa, Śniadanie na trawie czy Algierskie kobiety? U Velazqueza, u Maneta, u Delacroix czuło się identyczny pęd życiowy, co w tej serii dwudziestu jeden sztychów, w których pokazałeś triumfującego Rafaela we wszystkich jego stanach. Te ostatnie prace wywołały piękny skandal. Od razu jednak zadbano, by je zamknąć pod kluczem w jednej z sal prywatnej galerii Leirisa, tak się obawiano nalotu policji. Ty byłeś z powrotem w swojej dzielnicy, lecz tylko poprzez swoje prace i w sposób omal niedozwolony Zabawne, że wystawa u Leirisa miała miejsce na kilka miesięcy przed wydarzeniami maja 68 i że młody człowiek, którego rozwiązłości seksualnej się obawiano, kończył właśnie dziewięćdziesiątkę. Życie, byłeś życiem. I byłeś sztuką. Jedno zaszczerpione na drugim. Jedno z drugim stanowiące jedność. Do zużycia resztek sił. I dalej poprzez wieki. Przedłużane w nieskończoność świadectwo.

Mijały dni. Noc w noc śnię o tobie. Nawet po kilka razy w ciągu jednej nocy. Nie jest to już, jak kiedyś, cierpienie. Ból daje znać o sobie dopiero wtedy, gdy po przebudzeniu moje myśli nagle wpadają w próżnię. Codziennie rano muszę sobie powtarzać, że cię już nie zobaczę. Czasami zastanawiam się, czy wstawać, bo jestem pewna, że powracając do snu, od razu cię odnajdę. Wiem jednak, że jest to pokusa, której nie wolno

się poddawać. Czyż nie śni się po to, by znaleźć siły do dalszego życia? Sny nie mogą zastępować życia. Oddaję się natomiast nękanii mojego ciała i umysłu, żeby zasłużyć na nadejście z nocą zbawiennego snu.

W Menerbes, tak samo jak na rue de Savoie, piszę. W szkolnych zeszytach. Bynajmniej nie z obawy, by nie zatarło się to, co było - dopóki pamięć będzie mi dopisywać, to, co było, ocaleje - ale po to, by słowem wesprzeć wspomnienia. Nie chcę, by to wszystko nadal kołysało się, bębniło, nieustannie kotłowało.

Namiętność jest pojemna. Uwzględniam próżność i miłość własną. Wiem, co powraca do tego ja, które się nadyma, zdobi, choć czas po temu przeminął. Stare zasklepione w sobie ja, łuszczysz się jak te brązowe plamy elegancko nazywane cmentarnymi kwiatami. Stare ja, nieprzerwanie szturchasz łokciem. Spójrz, jak pięknie zniosłam to życie! Czy nie jest dobrze powiedzieć sobie to raz na zawsze? A potem basta! Stare ja, będziesz mogło sobie zasnąć w ciasnych pieluchach swojej miłości. Te wszystkie słowa ściśle cię okleją. Prawdziwa mumia. Gdy wreszcie zaśniesz, będę mogła podjąć moją ostatnią podróż.

Wyprzedziłam falę
I już mogę swobodnie zmierzać
W stronę duchowego lata
Pojmuję
tajemnicę istnienia
tę tajemnicę dla mnie samej tajemną

XVI

Pod koniec lat sześćdziesiątych przysłałeś mi ostatni prezent. Czy pośród tylu nieśmiertelnych dzieł najpiękniejszym upominkiem nie okazało się to, że dane mi było poznać cię i kochać? Od razu zrozumiałam, że będzie to prezent ostatni. Nie przypominał tych poprzednich. Był to mały sześcian, nadzwyczaj lekki, który przyszedł pocztą zwykłym poleconym. Pod papierem pakowym, gdzie wypisałeś swoje nazwisko i małymi literkami mój adres, znajdowało się kolejne opakowanie, subtelniejsze, w kolorze fuksji. Tam napisałeś szarosrebrnym ołówkiem: „ADORA. Otworzyć dopiero po mojej śmierci”.

Rozpoznałam pismo. W potwierdzeniu odbioru widniało znakomite nazwisko nadawcy. Zresztą, kto oprócz Pabla Picassa mógł o mnie pomyśleć? Co mnie zdumiało, to to, że zdobyłeś się na nazwanie śmierci, twojej własnej śmierci. Znałam twoją bojaźń, rozpacz wobec śmierci innych, ludzi czy zwierząt. Czy teraz chodzi o wezwanie na pomoc? Od razu odpowiedziałam, dziękując i zapewniając, że instrukcji będę przestrzegać. Dodałam jeszcze, że chyba nie uda mi się otworzyć cennej paczki, bo jestem pewna, że będziesz żył długo. Chciałam ci tą odpowiedzią pokazać, że dialog zawsze można podjąć, jeśli tylko jedno z nas odczuje taką potrzebę. Potem nie miałam już znaku od ciebie.

Skreśliłeś te słowa cztery lata temu. I dzisiaj rano nadeszła pora. Odwijam papier w kolorze fuksji, nie rozdzierając go. To, co ofiarowałeś mi po raz ostatni, chcę zachować w nietkniętym stanie. Tak, jak oczekiwałam, pod opakowaniem znajdowała się mała szkatułka. Otwieram ją niepewną ręką. W środku złoty pierścionek. Rzecz by można obrączka. Choć trochę większa i nieco spłaszczona. Ledwie wyjęłam ją z pudełka, odkryłam w środku pierścienia stalowy klin. Bezlitośnie wbiłby mi się w palec, gdybym spróbowała

włożyć pierścień. Po obu stronach morderczego klina wygrawerowane inicjały. Z jednej strony D. Z drugiej E Picasso i Dora.

Pomyślałam o Dziewicy Norymberskiej. Nie jest to obraz przedstawiający narodzenie, tym mniej portret Marii, lecz narzędzie tortur i śmierci. Pancierz naszpikowany od środka gwoździami. Skazany musiał go włożyć, a gdy pancierz zamykał się, gwoździe wbijały się w ciało skazańca.

Myślę także o tym, co powiedział Bataille. Radością życia uczynił na piśmie pochwałę sadyzmu. Czyż według Bataille'a nie należy w każdej chwili myśleć o ukochanej istocie, poświęcać jej swój czas, wyobraźnię, a nawet siły twórcze, by tym skuteczniejsze zadać jej cierpienie?

Nie szukałeś inspiracji u innych. To, co chciałeś mi powiedzieć, wysyłając ten pierścień, nie należało do dziedziny gry czy okrucieństwa, ponieważ twój sekret miałam wyjawic dopiero po twoim odejściu. Tak właśnie zdecydowałeś, a ty wiesz, że ja zalecenie uszanowałam. Ty, tak bojaźliwie nastawiony do śmierci, nie przywoływałbyś swojej śmierci z błahego powodu. Ten pierścień to dowód naszej miłości, o czym świadczą dwa inicjały. To ostrze jest szydłem, wyciągniętym językiem wszystkich kobiet przerażonych przez wojnę, którą wspólnie przeżyliśmy. To Guernica. To płaczące kobiety. To nieugaszone nigdy pragnienie, a także pożądanie. To niewygasły ból, który przenika ciało i na zawsze je naznacza. To tyle co umierać dlatego, że umrzeć nie sposób. To D i E To ty i ja.

Nasza miłość istniała. Była niemożliwa.